

SCIENCE

James Kahn

FICTION

INDIANA JONES

I ŚWIĄTYNIA
PRZEZNACZENIA

Screenplay by Gloria Katz
& Willard Huyck
Story by George Lucas



JAMES KAHN

INDIANA JONES

I ŚWIĄTYNIA PRZEZNACZENIA

(INDIANA JONES AND THE TEMPLE OF DOOM)

Przełożył: Jarosław Kotarski

INTERART

Wydawnictwo: INTERART 1991

Spis treści

Karta tytułowa

I. Z deszczu pod rynną...

II. Historia pewnego chłopca

III. Święty kamień

IV. Pałac Pankot

V. Niespodzianka w sypialni

VI. Świątynia przeznaczenia

VII. W ogień...

VIII. Ku wolności

IX. Zawieszeni na skale

I.

Z deszczu pod rynnę...

Szanghaj, 1935

Nocne kluby mają specyficzną atmosferę. Atmosferę dzikości i powabu, którą uwielbiają damy i gentelmani, jak również inni przedstawiciele gatunku ludzkiego ze wszystkich stron świata. Takie właśnie towarzystwo w eleganckich strojach zasiadło tego wieczora wokół stolików w pewnym nocnym klubie w Szanghaju. Stoliki ustawione były wokół parkietu tanecznego, a na atmosferę klubu składało się wiele czynników - od długonogich fordanserek zaczynając, poprzez egzotyczne potrawy, głośniejsze lub cichsze rozmowy, zapach palonego opium, na wystroju wnętrza kończąc. Jednym słowem jaskinia rozpusty i dekadencji, coś w stylu ostatniej zabawy przed Apokalipsą - za parę lat miała zresztą zacząć się druga w dziejach świata wojna.

Nastrój ten podkreślało wyposażenie i wykończenie wnętrza. Małe alkowki miały tylko trzy ściany, więc zapewniały gościom przynajmniej częściową dyskrecję, balkoniki wysunięte ze ścian i same ściany były ozdobione na wzór starochińskiej świątyni. W głębi sali, patrząc od wejścia, znajdował się bar, z boku było podium dla orkiestry, a obok niego dokładnie za parkietem scena.

Po obu jej bokach stały, a właściwie siedziały dwa drewniane posągi chińskich wojowników, każdy na tronie, każdy ze złotym mieczem w dłoniach, każdy z ironicznym grymasem na twarzy. Obok lewego wisiał na dwóch linach wielki, wypolerowany gong z brązu, z namalowanym wizerunkiem smoka wlatującego ponad ośnieżoną górę, sięgający od

podłogi prawie do sufitu. Przy nim stał atletycznie zbudowany mężczyzna w haremowych pantalonach ściskając oburącz potężną pałę.

Na środku sceny, zwrócona twarzą do publiczności, umieszczona była potężna głowa smoka z rozdziawioną paszczką. Jego oczy rzucały wściekłe i różnokolorowe błyski na wszystkie strony, a grzebienie czy łuski z papier-mache powiewały pod wpływem wirowania rozgrzanego powietrza.

Nagle smok wypuścił kłęby dymu z pyska, a atleta uroczyście uderzył w gong.

Światła przygasły, za to zapalił się czerwony reflektor w pysku smoka, podświetlając dym osnuwający schody wiodące na parkiet. Zagrała orkiestra. Spomiędzy kolorowych oparów wynurzyła się powoli blond piękność. Miała dwadzieścia, a może dwadzieścia pięć lat, szarozielone oczy i głęboko wyciętą czerwono-złotą suknię z brokatu. Całości dopełniały obcisłe rękawiczki z tegoż materiału, szpilki i klipsy w kształcie skrzydeł motyli. Zatrzymała się przy smoku, pogłaskała go po kle i spłynęła na scenę. Nazywała się Willie Scott i trzeba przyznać, że była bombowa.

Tuzin dziewcząt tańczyło na wiodących na scenę schodach, trzymając przed szokująco pomalowanymi twarzami przezroczyście wachlarze. Ubrane były w złociste kimona rozcięte do bioder i ukazujące przy obrotach coś więcej niż rąbek delikatnej bielizny.

W takiej scenerii Willie zaczęła śpiewać:

Yi wang si-i wa ye kan dao

Lin li bian yao la jing bao jin tian zhi

Dao

Anything goes.

Publiczność wykazywała - łagodnie mówiąc - mierne zainteresowanie, ale piosenkarka nie zwracała na to uwagi. Poruszała się w górę i dół schodów śpiewając zupełnie automatycznie - jej umysł zajęty był czymś zupełnie innym. Willie była gwiazdą i to nie w jakiejś obskurnej tancbudzie w Szanghaju, ale na Grand Stage w USA. Była bogata, uwielbiana, niezależna, pożądana i ... Dym się trochę rozwiął i musiała wrócić do rzeczywistości.

Ich strata - pomyślała - ci tutaj są zbyt prości, aby poznać prawdziwą sztukę, nawet gdy ją mają przed nosem.

Perkusista załomotał na swoim sprzęcie przypominając jej o finale, toteż czym prędzej dołączyła do chóru:

Anything goes!

Publika zaklaskała, Willie ukloniła się, a trzech mężczyźni przy stoliku w pobliżu sceny skrzywili usta w grymasie mającym imitować uśmiech. Był to gangster Lao Che i jego dwóch synów. Wszyscy, rzecz jasna, ubrani zgodnie z wymogami światowej mody.

Piosenkarka puściła do nich oko, szczególnie ku Lao Che, który ostatnimi czasy podpisywał jej czeki. Jako dobrze wychowany Chińczyk skłonił się uprzejmie - ale nagle coś innego przykuło jego uwagę i uśmiech znikł mu z twarzy.

Willie oczywiście schodziła ze sceny w ten sposób, aby sprawdzić, co było tego przyczyną. Na schodach prowadzących do sali zobaczyła mężczyznę. Ubrany w białą marynarkę z czerwonym goździkiem w klapie, białą koszulę, muszkę, czarne spodnie i także błyszczące półbuty. Ze swojego miejsca nie była w stanie dostrzec nic więcej poza tym, że jest nawet przystojny. No i że jego obecność wzbudziła w niej nagle niezbyt przyjemne uczucia. Zastanawiała się nawet, czy nie jest gliną. Zauważyła, jak na schodach powitał go kelner i wyszła miotana sprzecznymi

uczuciami: może i był przystojny, ale w jakiś nieokreślony sposób przypominał jej kłopoty.

Indiana Jones wysiadł z windy i schodził ze schodków akurat w momencie, gdy w klubie „Obi Van” zakończył się występ estradowy i dwanaście czerwono-złocistych tancerek zniknęło z pola widzenia. Nonszalancko wszedł na salę rozglądając się jednak uważnie i skierował ku stolikowi zajmowanemu przez towarzystwo Lao Che. Gdy był już na dole zbliżył się do niego jeden z kelnerów, młody i solidnie zbudowany, pół-Chińczyk, pół-Holender. Nazywał się Wu Han i w jego wyglądzie było coś ze sprężonego do skoku kota.

Skłonił się z uśmiechem na twarzy i wyszeptał tak cicho, że tylko adresat mógł usłyszeć:

– Bądź ostrożny.

Indy skinął lekko głową na znak zrozumienia i podszedł do stolika Lao Che.

– Doktor Jones - stwierdził Lao.

– Lao Che - stwierdził Indiana.

Chińczyk żył już na świecie ponad pół wieku, co było po nim widać. Miał na liście płac, na wypadek kłopotów, kilkunastu dobrych pracowników i kilka dziesiątków gangsterów (od wszelkiego przypadku) czego nie było po nim widać.

Solidna warstwa tłuszczu będąca wynikiem wesołego trybu życia była zwodnicza - pod nią krył się twardy i przebiegły, a złośliwi twierdzili, że raczej bezwzględny i skąpy człowiek. Ubrany był z wyszukaną elegancją - w czarną jedwabną marynarkę i koszulę, biały krawat. Starł się również mieć podobnie wytworne maniery, tylko cały efekt psuły oczy - zimne i oślisze niczym u płaza. Na małym palcu lewej dłoni miał rodowy pierścień dynastii Chang, co Indy zauważył z zawodowym zainteresowaniem.

Po lewej stronie Lao siedział Kao Kan - młodsza replika tatusia, po prawej Chen - drugi syn.

Chen był wysoki jak na Chińczyka, a cała jego aparycja przywodziła na myśl ducha. Jego szyja była ozdobiona luźno związaną białą chustą przypominającą Jonesowi stwory czepiające się niekiedy topielców dłużej przebywających pod wodą.

– *Nee chin lie how ma?* - Lao uśmiechnął się do Amerykanina, a obydwaj synowie parsknęli śmiechem.

– *Wah jung how, nee nah?* - uśmiechnął się w odpowiedzi Indy - *Wan hway hung jung chee jah loonee kao soo wah shu shu.*

Przy stole zapanowała cisza, którą przerwał zaskoczony głos Chińczyka:

– Nigdy mi pan nie mówił, że włada pan naszym językiem, doktorze Jones!

– Nic lubię się chwalić - padła skromna odpowiedź. Dwóch goryli Lao zbliżyło się i nieznacznie, acz fachowo obszukało Indiego, który nie lubił tego typu czułości, ale był na nie przygotowany. Strażnicy zniknęli, a on usiadł naprzeciw Chińczyka. Do stolika zbliżył się kelner z mrożonym szampanem i półmiskiem kawioru, który postawił przed Lao. Uśmiech powrócił na twarz starego szubrawca. - Z tej specjalnej okazji zamówiłem szampan i kawior - wpatrywał się chwilę w Indiego z napięciem. - A więc to prawda doktorze Jones, znalazł pan Nurhachi.

– Pan wie, że tak - odparł ten spokojnie. - Ostatniej nocy jeden z pańskich ludzi próbował go wziąć bez zapłaty.

Kao Kan położył na stole lewą dłoń - była obandażowana, po świeżej stracie małego palca.

– Obraził pan mojego syna - stwierdził Lao Che.

– Nie, to pan obraził mnie - odparł spokojnie Jones. - Ale i tak darowałem mu życie.

Chińczyk spojrzał jakby chciał go zamordować.

– Doktorze Jones chce Nurhachi - odezwał się cicho kładąc na obrotowej tacy, znajdującej się na środku stołu, woreczek z pieniędzmi i przesuwając ją tak, że sakiewka znalazła się naprzeciw Jonesa. Ten położył na niej dłoń i zważywszy grubość, a właściwie chudość przesunął tackę z powrotem.

– To nie pokrywa nawet moich wydatków. A tak na marginesie sądziłem, że mam do czynienia z uczciwym złodziejem.

Obaj synowie zagadali wściekle po chińsku, a Chena aż podniosło z krzesła.

Nagle elegancka dłoń w rękawiczce spoczęła na ramieniu Lao. Indy podniósł wzrok i napotkał twarz kobiety stojącej za Chińczykiem.

Spoglądała na niego.

– Czy nie zamierzasz nas przedstawić? - zabrzmiał zdziwiony głos.

Lao skinął dłonią i Chen opadł na krzesło.

– Doktorze Jones, to jest Willie Scott - odezwał się opanowanym głosem. - To jest Indiana Jones, słynny archeolog.

Kobieta obeszała stół, Jones wstał, a ich dłonie spotkały się w geście przywitania. Mieli okazję dokładnie się sobie przyjrzeć.

Spodobała mu się jej twarz - była naturalna i ładna. Podobnie sposób poruszania się i ubiór - było w nim dużo wrodzonego wdzięku i poczucia własnej wartości. Podkreślała to gustownie dobrana biżuteria. Ale była z Lao Che, a dla Indiego oznaczało to niebezpieczeństwo.

Dla piosenkarki zaś była to okazja do zrewidowania wcześniejszej oceny widzianego przelotnie przybysza. Nie dała się zweryfikować - jej pierwsze wrażenie tylko się pogłębiło - przystojny, ale tak nie na miejscu w tym otoczeniu, że samą swoją obecnością stwarzał napięcie, które zdawało się unosić wokół stolika.

Nie mogła się pogodzić z wiadomością, że był archeologiem. Nie wyglądał na takiego - przez policzek biegła blizna. Zastanawiała się, gdzie się jej dorobił. Cała postać wskazywała na energicznego człowieka przyzwyczajonego do trudów. Ale najbardziej zastanawiające były jego

oczy: przyjemne, nieokreślonego koloru - coś jak zielonoszare niebo ze złotymi iskierkami, wyraziste, a mimo wszystko nieodgadnione. Ogólnie rzecz biorąc wyglądał jak chodzące uosobienie problemów.

– Zawsze sądziłam, że archeolodzy to tacy śmieszni faceci szukający mumii - stwierdziła przenosząc spojrzenie z blizny na oczy.

– Mumii - poprawił ją i usiadł.

– Doktor Jones znalazł dla mnie Nurhachi i właśnie finalizujemy transakcję - przerwał tę obiecującą rozmowę Lao.

Indy już chciał się odezwać, ale zobaczył wylot lufy broni Kao Kana skierowany w jego stronę i najwyraźniej czekający na okazję, aby się włączyć do rozmowy. Archeolog nie był specjalnie ciekaw tego co mógł mieć do powiedzenia, toteż czym prędzej ściągnął z przejeżdżającego wózka porządnie naostrzony widelec do szaszłyków.

– A kto to jest Nurhachi? - spytała niewinnie piosenkarka nieświadoma tego, co miało nastąpić.

W następnej chwili Indiana przytulił ją nagle i przyłożył szpikulec do jej szyi.

Willie wstrzymała oddech i pomyślała: Wiedziałam, że to się tak skończy.

– Lao, on chce mi zrobić krzywdę - powiedziała.

– Odłóż tę pukawkę, synu - poprosił Indy niezbyt natarczywie Kana, zwiększając jednocześnie nacisk ostrego narzędzia.

Lao Che rzucił synowi krótkie spojrzenie i broń zniknęła z pola widzenia.

– A teraz sugerowałbym, żebyś mi dał to, co jesteś winien, albo... Wszystko przemija - zasugerował uprzejmie Amerykanin, po czym zwrócił się do dziewczyny:

– Zgadzasz się ze mną?

– Tak - wyszeptała lodowatym tonem.

– To powiedz mu to - podsunął.

– Zapłać mu - zażądała. Co prawda nie sądziła, żeby groziło jej poważne niebezpieczeństwo, ale z mężczyznami nigdy nic nie wiadomo.

Chińczyk bez słowa wyciągnął z kieszeni mały woreczek i przesunął go w stronę Jonesa i Willie. Na znak Indiany podniosła go i wysypała na blat garść złotych monet.

Twarz mężczyzny pozostała kamiennie spokojna, tak samo jak i jego ton.

– Diament, Lao. Umawialiśmy się na diament.

Lao uśmiechnął się, wyjął srebrne pudełeczko z kieszeni i w ten sam sposób na obrotowej tacy przesłał Jonesowi. W chwili, gdy Indy obserwował poruszającą się szkatułkę, Kao Kan opróżnił do najbliższego kieliszka małą fiolkę białego proszku. Puzderko dojechało do miejsca gdzie siedziała Willie. Otworzyła je. Wewnątrz był diament najczystszej wody, jaki kiedykolwiek widziała.

– Och, Lao - westchnęła.

Diamenty zawsze były jej pasją - były czyste, miały piękne kolory, były magicznym odbiciem jej samej. A poza tym to szalenie praktyczna lokata kapitału - taki jak ten, który trzymała w dłoniach, zapewniłyby jej bogactwo i niezależność. Indy odłożył szpikulec na stół, wyłuskał jej kamień z ręki i popchnął Willie na jej poprzednie miejsce.

– Jesteś obrzydliwy - stwierdziła w końcu. - Zupełnie jak wąż.

Zignorował ją całkowicie, zajęty oglądaniem kamienia - był idealny, bez skazy, doskonale cięty i ten jedyny, którego uniwersytet szukał od długiego czasu.

W tym momencie Kao Kan przestawił szampankę w bezpośrednie sąsiedztwo Indiego.

– Teraz - syknął Lao Che - przynieś Nurhachi.

Jones skinął na Wu Hana, który zbliżył się do stołu z tacą, na której był półmisek nakryty srebrnym naczyniem używanym zazwyczaj do podtrzymywania temperatury gorących dań.

Ciekawość była silniejsza od złości, toteż Willie nie wytrzymała:

– Kto to jest ten Nurhachi, na miłość boską?

Pytanie zawisło w próżni, Indy odebrał tacę, podniósł naczynie i wyjął małe, mahoniowe pudierko, które umieścił na obrotowej podstawie i posłał w stronę Lao Che.

– Oto jest! - stwierdził.

– Musi być raczej niskiego wzrostu - mruknęła do siebie dziewczyna.

Chińczyk wziął pudełko i położył przed sobą na stole, jego synowie prawie powstali z miejsc, a sam Lao odezwał się z niespotykanym u niego namaszczaniem:

– Wewnątrz tej świętej trumny są szczątki Nurhachi, pierwszego Imperatora Dynastii Manchu.

Indy uśmiechnął się uprzejmie i podniósł kieliszek.

– Witaj w domu staruszku! - mruknął przed opróżnieniem naczynia.

„Prochy? - zdumiała się w myślach Willie - cała ta kotłowanina o garść popiołu? Co najmniej dziwne!”

Dla piosenkarki jak dotąd liczył się wyłącznie czas terażniejszy, no i oczywiście przyszły. Przeszłość była tym, czym nie warto sobie zaprzętać głowy, toteż zajęła się poprawianiem makijażu.

– No to teraz możesz mi oddać diament - poinformował Jonesa Lao.

Indiemu wydało się, że w sali robi się zbyt ciepło.

– Albo masz zboczone poczucie humoru - stwierdził niezbyt pewnym tonem - albo coś przeoczyłem.

Chińczyk bez słowa pokazał mu małą, niebieską fiołkę, co przykuło uwagę Willie.

– Co to takiego? - spytała.

– Antidotum - poinformował uprzejmie Lao.

– Antidotum na co? - zainteresował się Jones czując jednocześnie, że zaczyna rozumieć coś, czego wolałby sobie nie uświadamiać.

– Na truciznę, którą właśnie wypieś - oświadczył z radością Lao.

Willie poczuła się trochę zagubiona w tym wszystkim.

– Lao, co ty wyprawiasz? Ja tutaj pracuję! - przecucie podszeptało jej, że już niedługo.

Indy wsadził palec do kieliszka i przejechał po dnie. Na opuszcze pozostał biały osad.

– Trucizna jest z rodzaju raczej szybkich, doktorze Jones.

– Dobra, twoje na wierzchu - stwierdził archeolog kładąc kamień na stole.

Diament został błyskawicznie przejęty przez Chena, który przyjrzał mu się z wyraźnym upodobaniem i przesłał na tacy w stronę ojca.

Po drodze zainteresowała się nim Willie - nigdy dotąd nie widziała diamentu podobnej wielkości, toteż skorzystała z okazji, aby to zrobić dokładniej. Tym bardziej że właściciel nie wydawał się nim specjalnie zainteresowany - wpatrywał się w skupieniu w mahoniową szkatułę stojącą przed nim.

– W końcu mam prochy mego najczcigodniejszego przodka - mruknął usatysfakcjonowany.

– Antidotum, Lao - Indy nie był zadowolony. Przed oczami zaczęły mu wirować żółte kręgi, co nie było dobrym objawem.

Chińczyk zignorował go.

To nie było w porządku, w związku z czym widelec powędrował na stare miejsce, a Willie przypomniała okrzykiem o swoim istnieniu.

– Lao! - pisnęła.

Chińczyk i synowie parsknęli śmiechem.

– Możesz zatrzymać dziewczynę - poinformował go Lao - znajdę sobie następną.

Piosenkarka patrzyła na niego zupełnie jakby właśnie uświadomiła sobie coś, co podejrzewała od dłuższego czasu.

– Ty parszywy, żółty psie... - ciąg dalszy tego obiecującego monologu został jej przerwany przez Wu Hana, który zrobił to krótko, ale skutecznie.

– Proszę - powiedział uśmiechając się do Lao. To, że jeden z kelnerów śmiał się odezwać, było tak nieoczekiwane, że wszyscy zwrócili się w jego stronę. Wu Han nie zawiódł pokładanych w nim nadziei - pod tacą widać było wyraźnie lufę pistoletu skierowaną dokładnie w Lao Che.

– Nie ma to jak dobra obsługa - mruknął sentencjonalnie Indy.

– Ależ on tu nie pracuje! - zdziwiła się Willie.

– To jest mój stary znajomy - wyjaśnił Indiana. - Gra jeszcze nie skończona. Lao, antidotum!

Kiedy sięgał po fiolkę przy sąsiednim stole rozległ się głośny huk, na który wszyscy zareagowali gwałtownym odwróceniem głów w tamtym kierunku - jakiś Amerykanin otwierał szampana. Po paru sekundach nastąpiła tam istna kanonada - kelnerzy poszli w jego ślady. Indy powrócił myślami do istotniejszych spraw, czyli do własnego stolika. Ledwie to zrobił, coś mu się przestało podobać - jego obrońca był dziwnie błądy.

– Wu Han, co na miłość... - zanim skończył, tamten osunął się na stół.

Dopiero w tym momencie Indy dojrzał małą, osmoloną dziurkę w obrusie przed Chenem, z której jeszcze unosił się dym.

– Indy! - szepnął leżący.

Jones zerwał się widząc go padającego. Teraz delikatnie odwrócił go na wznak i ułożył na swoim krześle.

– Trzymaj się stary! - mruknął. - Wyciągnę cię stąd.

– Nie tym razem - wymamrotał postrzelony. - Szedłem za tobą w tych wszystkich eskapadach, ale teraz ku największej pójdę pierwszy... - potem był tylko jęk.

Indy delikatnie położył jego głowę na blacie stołu.

– Niech pan nie rozpacza, doktorze Jones, wkrótce pan do niego dołączy - pocieszył go Lao.

Nogi archeologa nagle dziwnie osłabły i z trudem złapał równowagę.

– Oto są zgubne skutki nadużywania napojów alkoholowych - zauważył Kao Kan.

Indiego rzuciło ku sąsiedniemu stolikowi. Równowagę utrzymał dzięki jakiemuś przechodzącemu pijakowi, ale tylko na chwilę. Przez cały czas miał przed oczami uśmiechniętą gębę Chena. Zatoczył się ponownie, tym razem zatrzymując się na kelnerze niosącym akurat na miniaturowym rożnie jakiś płonący drób w ostrym sosie.

„Może to będzie ostatnie co zrobię, ale zetrę ten kretyński uśmieszek” - pomyślał.

Wszystko co było potem potoczyło się jak lawina - złapanie i szarpnięcie ptaka, gwałtowny ruch i rożno z płonącą porcją wbiło się w pierś Chena aż po rękojeść.

A potem nastąpiła chwila ciszy - goście ucichli w przeczuciu czegoś niespotykanego, a towarzystwo przy stoliku Lao, po prostu osłupiało.

Tę napiętą atmosferę przerwał krzyk Willie. Zawtórowała jej jakaś podstarzała damulka przy sąsiednim stoliku, która widząc co się stało i Jonesa przy tacy z resztką płonącego drobiu na pewno zaczęła się zastanawiać, kto będzie następnym celem.

Tego tylko było potrzeba. Sala eksplodowała - klasyczny przykład chaosu i paniki - krzyki, dźwięk tłuczonego szkła, zaskoczenie i ucieczki... zupełnie jak wnętrze puszek Pandory przed otwarciem.

Indy nie zwracał już na to uwagi, runął ku stolikowi z wyraźnym celem przed oczami - była nim jasnoblękitna fiolka. Prawie mu się udało ją złapać, ale trucizna skróciła mu ogniskową. Chybił o milimetry, wprawiona w ruch przez wstrząs stolika fiolka pojechała po szklanym blacie jak po lodzie, prosto na podłogę. Zanurkował za nią i znalazł się twarzą w twarz z

Lao, który też był już pod stołem. Nie omieszkął skorzystać z okazji, aby dać do zrozumienia co o nim myśli:

– *Hoe why faon yaun!* (Żółtek bez honoru!)

– *Holioh guoli haat yee!* (Cudzoziemski żebrak!) - parsknął tamten w odpowiedzi.

Kao Kan próbował włączyć się do rozmowy łapiąc Jonesa za szyję, ale gwałtowny ruch lewego łokcia wybił mu to z głowy.

Jeden z goryli zabrał się do tego samego, a padający Indiana kopnął fioletkę, która szurnęła przez parkiet.

W tym samym czasie przez umysł Willie przeleciało kilkadziesiąt myśli, od tej że Lao jest skończonym śmieciem poczynając, poprzez stratę pracy i prawidłowe przeczucia wobec Jonesa, aż do tej, że oto się nadarza okazja zdobycia diamentu. Ten ostatni pomysł spróbowała natychmiast wprowadzić w życie, ale ledwie zdążyła go złapać, kłęb rąk i nóg goryla i Indiego wytrącił go jej prosto z ręki na podłogę.

– Durnie! - warknęła ruszając w pogoń za uciekającą fortuną.

Na dokładkę całego istniejącego już zamieszania orkiestra rozpoczęła jakiś skoczny kawałek, zupełnie jakby impreza rozwijała się prawidłowo.

Obaj zapaśnicy przetoczyli się tymczasem pod następny stół, gdzie archeolog zainkasował klasyczny sierpowy w szczękę. Machnął więc na odlew, co spowodowało powiększenie się grona przebywających na podłodze jeszcze o potrąconą przypadkiem fordanserkę, która czym prędzej próbowała to grono opuścić.

Goryl podniósł przeciwnika z ziemi i załadowawszy mu haka w żołądek posłał go w kierunku kelnerskiego wózka stojącego dwa stoliki dalej. Indy osiągnął go będąc w równym stopniu otumaniony otrzymanymi ciosami, co działaniem trucizny, a że wózek miał koła, a on spore przyspieszenie, więc obaj razem zaczęli się toczyć ku orkiestrze. Lekki przeciąg, jaki się przy tym zrobił, zmniejszył nieco działanie trucizny i Amerykanin oprzytomniał.

Tyle że trwało to niedługo, a podróż skończyła się gwałtownie i z dużym hałasem - wtoczeniem się na podium dla orkiestry i wylądowaniem wśród niej. Pozbierał się akurat na czas, aby dostrzec swego przeciwnika wążącego na podium. Trzeba go było zatrzymać. Złapał pierwsze co miał pod ręką, a był to kontrabas, i posłał go w kierunku natręta. Skutek był pożądany. Mając chwilę spokoju zaczął się zastanawiać, co ze sobą zrobić, gdy na środku parkietu zauważył fiolkę. Bez zastanowienia skoczył po nią. I natrafił na coś nader nieustępliwego, co zbiło go z kursu i spowodowało silny ból głowy. Gdy pozbierał się na kolana zobaczył przed sobą Willie przebywającą w takiej samej pozycji.

- Antidotum! - wrzasnął.
- Diament! - odwrzasnęła dziewczyna.

Indy zauważył go pomiędzy swymi rękami, ale zanim zdążył go złapać, diament został, przez nogi kogoś z przebiegających, błyskawicznie wykopany z zasięgu wzroku.

– Gównu! - skomentowała jego usiłowania Willie nurkując w stronę, gdzie zniknął kamień.

Jones skoczył w przeciwną stronę.

Lao w końcu przedostał się ku drzwiom wrzeszcząc dziko. Jego wrzaski dotarły gdzie trzeba i do wnętrza wpadła doborowa ekipa jego goryli. Zamarli na podeście czekając na jego rozkazy.

Orkiestra tymczasem, bez kontrabasu, grała dalej, a ze smoczego pyska wysypał się tuzin tancerek rozpoczynających występy artystyczne na parkiecie.

Jednocześnie Indy na widok nowych gości i ich bagażu (co drugi miał pod pachą amerykański pistolet maszynowy Thompson kaliber 0.43, pieścotliwie zwany Stradivariusem), wsparty zdrową dawką adrenaliny, poczuł gwałtowną potrzebę zakończenia swoich występów. Rozkazy

zostały wydane i trzech napastnicy skierowali się w jego stronę. Zdążył się skryć za figurę chińskiego wojownika. Z podziwu godną bystrością złapał cymbały i zaprawił nimi zachodzącego go z boku goryla. Ten, potraktowany niespodziewanie mocno, przeleciał przez stolik i wylądował w kubie z lodem, wywracając go i wyrzucając zawartość na podłogę. Willie zakłęła z bezsilnej złości, gdyż diament znalazł się nagle wśród dziesiątek podobnie wyglądających bryłek. Natknęła się natomiast na fiolkę.

Indy dojrzał to ze swego wyeksponowanego nad poziom podłogi miejsca.

– Zostań tam - wykrzyknął - proszę! Ich oczy spotkały się i był to moment, w którym piosenkarka musiała podjąć decyzję.

Kim był ten człowiek, który wdarł się w jej życie dziesięć minut temu, aby musiała go słuchać? Co takiego dla niej zrobił? Groził jej widelcem, dał jej smak pierwszego diamentu w życiu, kosztował ją mężczyznę (niewielka strata) i pracę (żadna) i teraz spowodował, że miała w rękach jego życie. No i te jego oczy... Po dojściu do tych wniosków wsunęła fiolkę za dekolt, ale nie była w stanie powstrzymać się od dalszych poszukiwań.

W tym samym czasie Kao Kan wrócił do stanu świadomości, zebrał się do kupy, podniósł pistolet. Dojrzał Indianę. Niespecjalnie lotny, nawet w normalnym stanie świadomości, umysł nakazał mu dokładnie wycelować przez prawie całą długość sali i zastrzelić natręta. Dojrzawszy to, Indy rzucił się w bok i złapał linę ratunkową (w dosłownym znaczeniu), która wisiała koło poręczy, pociągnął i z otwartej w scenie kłapy zaczęły majestatycznie wypływać setki barwnych baloników, które błyskawicznie zasłoniły Kanowi cel i wprowadziły jeszcze większe zamieszanie na sali.

Pomogły one archeologowi przedostać się do miejsca, gdzie znajdowała się Willie. Tyle że dziewczyny tam już nie było, było natomiast dwóch goryli. Jeden usiłował go znokautować jakimś ciosem karate, ale Indy poturlał mu się pod nogi tak, że tamten wywinął kozła. Drugiego posłał w objęcia przebiegającego kelnera celnie umiejscowionym kopniakiem.

Następnie oparł się o balkon i otarł pot z czoła. Trucizna dawała o sobie znać coraz mocniej - żołądek skręcił się w węzeł, a całe ciało zaczęło drżeć jak w febrze. Wylał sobie na głowę jakąś zapomnianą szklankę z zimną wodą, ale pomogło mu tyle co nic. Jedyne zdołał zobaczyć nadbiegających dalszych czterech przedstawicieli firmy Lao Che. Sytuacja stawała się poważna. Kao Kan tymczasem był u szczytu furii i jak niczego na świecie pragnął zabić mordercę swego brata, tymczasem te cholerne baloniki uniemożliwiły mu działanie, na szczęście (co dotarło do zamrozonego umysłu) jego ludzie mieli broń maszynową. Z okrzykiem radości Chińczyk wyrwał najbliższemu thompsona rycząc:

– Gdzie on jest?! Zabiję go! - runął na środek parkietu.

Zobaczyli się nawzajem w tym samym momencie przez rzedniejącą zasłonę baloników. Kan zaczął strzelać, a Indy zanurkował za wiszący u sufitu gong. Zamieszanie sięgało apogeum: na odgłos strzałów jedni padali na podłogę, drudzy przeciwnie - uciekali przed siebie w popłochu, a wszyscy krzyczeli jak opętani. Kule rykoszetowały od wypolerowanej powierzchni, przyczyniając się do powiększenia tego pandemonium. Gdy Chińczyk przestał na chwilę strzelać, jego przeciwnik błyskawicznie wychylił się zza osłony, porwał miecz trzymany przez jedną z figur i dwoma błyskawicznymi ciosami przeciął liny trzymające gong. Z głośnym hukiem metalowe koło upadło na podłogę - popchnął je w stronę, gdzie Willie gorączkowo szukała po podłodze diamentu nie zważając na rykoszetujące pociski. W miarę posuwania osłona nabierała pędu, tak że musiał zacząć biec, ale za to był przez nią chroniony. Przy okazji toczenie brązu po parkiecie spowodowało niezamierzone donośne odgłosy, które zagłuszyły pozostałą kakofonię dźwięków. Ten opętancy hałas przywołał Willie do przytomności i była to jego jedyna pozytywna działalność. Zanim miała czas oprzytomnieć na tyle, żeby się przestraszyć, że gong toczy się prosto na nią, Jones wciągnął ją za niego gwałtownym szarpnięciem. Zrobił

to dosłownie w ostatniej chwili, gdyż nie dość, że toczący się gong był na najlepszej drodze, aby ją zmiażdżyć, to w dodatku ludzie Lao Che usadowiwszy się komfortowo za przenośnymi stołami poszli za przykładem Kao Kana i rozpoczęli kanonadę.

Indy spojrział przed siebie - dokładnie na trasie toczącego się koła znajdowało się ogromne, zajmujące całą powierzchnię ściany, okno.

– Nie chcę...

To było wszystko, co zdążyła krzyknąć Willie spojrzawszy w tym samym kierunku, gdy rozpędzony dysk uderzył w nie i wypadł. Chwilę później Jones złapawszy ją w pól podążył jego śladem.

Najpierw było dziesięć stóp swobodnego spadania, potem ich połączone ciała wpadły w płócienny dach rozpięty na wysokości drugiego piętra, przebiły go, rozgniotły bambusowy balkonik pierwszego piętra i zakończyły lot lądując z głuchym odgłosem na dobrze amortyzowanych poduszkach tylnego siedzenia luksusowego duesenberga, parkującego, z otwartym na szczęście dachem, dokładnie przed budynkiem.

Willie usiadła - całkowicie zaskoczona faktem, że żyje - tylko po to, żeby spojrzeć w wyraźnie zaskoczoną twarz dwunastoletniego Chińczyka w baseballowej czapeczce New York Yankees, gapiącego się z osłupieniem z przedniego siedzenia.

– No, no! Przymusowe lądowanie? - powiedział.

– Zmywamy się stąd, Short Round! - zarządził Indy gramoląc się z trudem do pozycji pionowej.

– Okey! - zgodził się tenże. - Łap się powietrza! Naciągnął czapkę daszkiem do tyłu na oczy, obrócił się do kierownicy i nacisnął pedał gazu. Opony zapiszczały i maszyna zginęła w nocnych ulicach Szanghaju.

II.

Historia pewnego chłopca

Short Round miał nader męczący dzień.

Tego ranka wstał bardzo wcześnie (około południa) i zabrał się do pracy. Jego zajęciem była troska o klientów palarni opium przy Liu Street. Tego akurat południa nie był specjalnie przepracowany - tylko paru nowo przybyłych i kilku zapóźnionych z poprzedniej nocy. Przyniósł im herbatę, podprowadził do parkujących rikszy, względnie pilnował rzeczy w sąsiednim pokoju - wszystko za parę groszy. No, poza przypadkami, gdy dorabiał sobie zawartością kieszeni pozostawionych pod jego opieką ubrań. Czasami pomagał sobie w ten sposób zaspokajając zapotrzebowanie na inne niż gotówka artykuły.

Short poza paroma innymi zajęciami był złodziejem. Oczywiście nie w dosłownym znaczeniu tego słowa, nie, nie był doliniarzem polującym na ulicach. Sam o sobie myślał raczej jako o odmianie Robin Hooda; film o nim oglądał siedem czy osiem razy w Tai-Phung Theater. Jediną różnicą między tamtym bohaterem a nim był fakt, że Short Round był jedynym biedakiem korzystającym z działalności Short Rounda.

Właśnie o tym rozmyślał siedząc na rzeczach dwóch gości - starego, grubego Chińczyka i młodego Belga. Przypomniało mu to o rzeczy nader prozaicznej - o śniadaniu, toteż zabrał się za sprawdzanie czy przypadkiem któryś z wymienionej pary nie ma czegoś do jedzenia. Na tej czynności zastał go Belg. Chłopak wiedział z doświadczenia, że żadne dyskusje nie mają sensu, a ponieważ cudzoziemiec blokował jedyne drzwi w pokoju, nie namyślając się długo opuścił go przez okno... z belgijskim paszportem (zupełnie zresztą przypadkowo) w garści.

Poszkodowany ruszył za nim. Short Round kochał porządną, przeprowadzaną z uczuciem gonitwę - dawało mu to poczucie ważności. Tym niemniej lubił wygrywać, toteż pruł ulicą z pełną szybkością. Prześladowca siedział mu na ogonie. Skręt za róg, następna przecznica, potem jeszcze jedna. Chłopak obejrzał się - tym razem przeciwnik był dobrym zawodnikiem - trzymał dystans. Short postanowił uatrakcyjnić konkurencję - pognał schodami przeciwpożarowymi na sam szczyt - na dach. Belg za nim. Zaczął się pościg po spadzistych dachach, których główną zaletą było to, iż rzadko kiedy były na tym samym poziomie. Bieg po dachu i slalom wokół kominów były specjalnością uciekającego, nic też dziwnego, że goniący stracił dystans.

Pościg tymczasem zdawał się zbliżać do końca. Short Round stanął na skraju ostatniego dachu - przed nim otwierał się wąwóz ulicy, pod nim były cztery piętra mieszkań. Sytuacja bez wyjścia.

„Zupełnie jak u Robin Hooda” pomyślał uradowany.

Ale wyjście było - o parę stóp pod nim, przez całą szerokość ulicy wisiał rozpięty między dwoma najwyższymi oknami sznur do bielizny z suszącymi się jedwabnymi piżamami. Z błyskiem wolności w oku spuścił się po rynnie i złapał za sznur. Gdy był w połowie drogi jego prześladowca znalazł się na skraju dachu. Short Round dowiedział się o tym prawie natychmiast, gdy cichy do tej pory Belg bluznął stekiem wyzwisk w swoim ojczystym flamandzkim. Nie rozumiejąc słowa i nie przejmując się tym, chłopak dostał się do przeciwległego okna. Przełaząc przez parapet, posłał przeciwnikowi swój najlepszy, za milion dolarów, uśmiech. Odpowiedzią było jeszcze większe nasilenie decybeli na sąsiednim dachu.

„Ludzie w dzisiejszych czasach są pozbawieni poczucia humoru” pomyślał z żalem. Po czym, przeprosiwszy z ukłonem za najście przebywających w mieszkaniu, wydostał się na klatkę schodową i zupełnie normalnie, przez nikogo nie napastowany wydostał się na ulicę.

Short Round wędrował sobie niespiesznie ulicami Szanghaju w zapadającym zmierzchu - była to jego ulubiona pora, był to czas gołębi, a te chłopak bardzo lubił. Codziennie setki ptaków zbierały się na dziedzińcu klasztoru w pobliżu baru Gung Ho. Wydawały przy tym odgłos przypominający mruczenie setki zadowolonych perskich kotów, a to nieodmiennie kojarzyło mu się z matką, choć dokładnie nie wiedział dlaczego. Od wielu bowiem lat nie miał żadnej rodziny. Z wyjątkiem oczywiście doktora Jonesa.

Mały Chińczyk, który wywodził swoje pochodzenie od Boga Chao-pao - Tego, Który Odkrywa Skarby, podejrzewał, że Indiana jest wcieleniem jego przodka. Dlatego byli raczej blisko spokrewnieni. Nic więc dziwnego, że Indy miał szczęście.

Zagłębiając w tych dość poważnych rozważaniach wszedł do baru Gung Ho - miejsca, gdzie poznali się z Jonesem, i w którym od tej pory zawsze się spotykali. Oczywiście siedział przy jednym z tylnych stolików pociągając z wysokiej szklanki. Short zajął sąsiednie krzesło.

– Indy, mam paszport dla Wu Hana! - poinformował go radośnie wręczając mu belgijski dokument.

– Skąd to wziąłeś? - zdumiał się mężczyzna spoglądając na okładkę. - Sądziłem, że już ci mówiłem, żebyś więcej nie kradł.

– Nie ukradłem! - oburzył się posądzony. - Człowiek mi dał. Widocznie już go nie potrzebował.

Twarz Shortiego wyglądała jak ucieleśnienie czystej niewinności i Indy prawie mu uwierzył. W końcu jakby nie patrzeć paszport był potrzebny, toteż schował go do kieszeni bez słowa. To było właśnie to co chłopak kochał u swojego towarzysza - minimalizacja problemów przez unikanie zbędnych pytań. No i dzięki temu, co było głównym zajęciem Indiego - znajdowania nowych domów dla różnych rzeczy, które pozostawały w poprzednich zbyt długo (to obaj mieli wspólne). Teraz na przykład

zamierzał znaleźć nowy dom dla Short Rounda - zamierzał zabrać go ze sobą do Ameryki. Aby mu w tym pomóc chłopak podjął się zakupu biletów lotniczych.

– Jesteś pewien, że zdołasz załatwić mi bilety? - upewnił się Indy dając mu pieniądze.

– Wszystko będzie jak trzeba - zapewnił go urażony - tak jak się umówiliśmy. Najpierw biorę wóz wuja Wonga, potem załatwiam bilety na lotnisku i czekam na was przed klubem.

– Dokładnie przed - poinstruował go Jones - dokładnie godzinę przed świtem. Masz zegarek?

– Oczywiście!

– W porządku. I pamiętaj podziękuj swemu stryjkowi za uprzejmość. Z jego wozu korzystaliśmy już parę razy.

– Och, on nie ma nic przeciw temu. Czy szybko odlatujemy do Ameryki?

– Hm, raczej szybko, najpierw lecimy do Delhi, a potem do Stanów. A teraz do roboty. Ty po wóz, ja po pudełko - zakończył spotkanie Indy.

Short Round z baru podążył sześć domów dalej - do willi zajmowanej przez pewnego niemieckiego dyplomatę, z którym znał się od dość dawna. No, może określenie nie bardzo odpowiednie do sytuacji. Ale fakt faktem, że znał go z widzenia już parę lat. Ostatnio widzieli się tydzień temu, gdy czyścił Niemcowi buty w jednym z eleganckich domów publicznych tego miasta. Akurat usłyszał, jak ten informował burdel-mamę o swej dłuższej nieobecności z powodu zbliżającego się wyjazdu do rodzinnej Alzacji.

Short wszedł na teren posesji przez płot, a do garażu dostał przez otwór dla kotów w drzwiach. Pobawił się dziesięć minut z kotem, potem otworzył drzwi i uruchomił, łącząc przewody, stojący tam samochód.

Był to kawowy duosenberg auburn model z 1934 roku z otwieranym dachem. W ciągu ostatniego roku był on nader często wykorzystywany we wspólnych eskapadach z Indym. Short wyprowadził go z pomieszczenia, wysiadł, zamknął garaż i podjechał do bramy w otaczającym posesję płocie. Tam powtórzył całą operację i ruszył oświetlonymi ulicami Szanghaju.

Ledwie widział coś ponad kierownicą i tylko końcami palców sięgał do pedałów, ale było to wszystko czego potrzebował. Toteż prowadził wóz pewnie w drugiej ze swych ulubionych pór dnia: w zapadającym zmroku.

Pół godziny później stał przed kasą w niewielkim dworcu lotniczym walcząc o trzy bilety do Delhi z urzędnikiem o nazwisku Weber.

– Nie sądzę, żeby dało się znaleźć miejsce dla pana - powiedział Weber.

Chłopak dał mu w odpowiedzi większość gotówki i odparł z godnością:

– Nie dla mnie, dla doktora Jonesa, który jest słynnym profesorem. Poza tym to sprawa rządowa, a ja jestem jego asystentem.

Urzędnik wyglądał na nieprzekonanego, ale gotówkę wziął.

– Cóż, zobaczę co się da zrobić.

– Nie, pan się postara. Doktor napisze o panu w swojej nowej książce. Może dadzą panu medal - mrugnął do niego porozumiewawczo.

– Zrobię co będę mógł, ale nie sądzę, żeby dało się znaleźć trzy miejsca w tym samym samolocie w tak krótkim czasie - ustąpił kasjer.

Short Round westchnął ciężko i dał mu resztę gotówki. Zrobił to w ten sposób, żeby ten zobaczył jego obosieczny nóż wsunięty za pasek. Weber jeszcze bardziej zwątpił w swój zdrowy rozsądek na widok dwunastoletniego gangstera, który właśnie dawał mu łapówkę, ale gotówkę wziął.

– Tak, no cóż, jestem pewien, że to się da zrobić uśmiechnął się marząc jednocześnie, żeby Londyn przeniósł go gdzieś w poblizę cywilizacji.

Klient ukłonił się z uśmiechem, po czym uściśnął mu dłoń, zasalutował i wypadł z dworca. Wsiadł do duosenberga i odjechał.

Wóz zostawił w magazynie znajomego, który był mu winien uprzejmość i postanowił zająć się kolacją, jako że zrobiło się ciemno noc była trzecią ulubioną porą Short Rounda.

Ostrożnie zbliżył się do doków - ostrożnie, bo kogoś w jego wieku mogło tu spotkać wiele niemiłych niespodzianek (od przymusowego zamustrowania do całkiem niedomowych zajęć). Natomiast było to doskonałe miejsce na domową kolację.

Wyszukał poręczną dechę na śmietniku za jednym z barów i poszedł na samo nadbrzeże. Wybrał sobie zacieniony kąt i siadł tak, by umoczyć stopy, po czym poprosił Naga - Króla Smoków zamieszkującego to wybrzeże o przychylność. Po chwili zaś kilkakrotnie rąbnął dechę o wodę z całych sił. Sekundę później wypłynął brzuchem do góry wcale tłusty śledź spłoszony poczynaniami amatora posiłku, który czym prędzej złapał go za ogon i uderzył nim o kamienie. Poszedł następnie na plażę, wypatroszył rybę nożem i zjadł z apetytem zastanawiając się przy okazji, czy w Ameryce nie będzie musiał zmienić jadłospisu.

Myśl o Ameryce przypomniała mu o kinie. Do spotkania z Jonesem miał masę czasu, toteż wybrał się do Tai-Phung Theater, gdzie pokazywano w zasadzie tylko amerykańskie filmy i gdzie nauczył się większości angielskiego, jakim władał.

Reklamy przy wejściu nic mu nie mówiły, gdyż Indy dopiero zaczynał wprowadzać go w arkana czytania i pisanie, ale były inne niż poprzednim razem, toteż postanowił wejść. W tym celu obszedł budynek i po ustawionych jedna na drugiej beczkach dostał się do okienka ubikacji. Przerzucił nogi do środka i powoli dotarł do wnętrza. Stanąwszy na ziemi zaoferował wyczyszczenie butów zajmującemu kabinę Europejczykowi, wyglądającemu na wstrząśniętego sposobem w jaki Chińczyk pojawił się w pomieszczeniu. Ponieważ gość nie mógł wydobyć z siebie głosu Short uklonił się i opuścił ubikację drzwiami. Na sali usiadł na dostawce, tak na wszelki wypadek w pobliżu wyjścia.

Chwilowo nikt się nim nie interesował, toteż zaczął oglądać film. Bohaterem był gość o nazwisku Nick, który urządzał bardzo zabawne dowcipy swojej bardzo ładnej żonie o imieniu Nora. Mieli do tego strasznie głupiego psa Astę. Nick właśnie pił martini z potężnego kielicha, gdy dokładnie przed chłopcem usiadła jakaś parka zasłaniając mu całkowicie widoczność. Shorty był już na najlepszej drodze do zamiany miejsca, które dawałoby mu możliwość spokojnego oglądania filmu, gdy zauważył, że kobieta położyła torebkę na oparciu krzesła, tak że znalazła się ona w wolnej przestrzeni między fotelami. To było zbyt piękne, żeby było prawdziwe!

Począł dziesięć minut, tak żeby uwaga nowo przybyłych skupiła się w całości na filmie i po prostu zdjął pasek z oparcia. Była to wieczorowa torebka ze srebrnej lamy i zamknięciem wykonanym z perłowej masy. Błyskawicznie zabrał się do sprawdzania zawartości. Jego szczęście było tego dnia zdumiewające - wewnątrz znajdowało się jedno z tych jubilerskich cacek, pudełko z zewnątrz ozdobione kamyczkami, a mające w środku zegarek, czyli to czego aktualnie najbardziej potrzebował.

Miał się spotkać z Indym, gdy mała wskazówka będzie pokazywała czwórkę, a duża - dwunastkę. (Indy nauczył go już cyfr - były łatwiejsze niż litery). Był to dobry znak na resztę nocy. Short Round schował zegarek i podziękowawszy swemu patronowi Chao-pao popukał siedzącą przed nim kobietę w ramię.

– Mój Boże! - jęknęła.

– Lady, jakiś duży pan właśnie zabrał pani torebkę - w tym momencie upuścił ją u stóp zaskoczonych kobiety.

– Złapałem go i zabrałem mu ją. Uderzył mnie, ale uciekłem. Oto ona! - W tym momencie dla podkreślenia dramatyzmu sytuacji zachwiał się na nogach.

– Biedne dziecko! - westchnęła właścicielka torebki, jednocześnie sprawdzając zawartość leżącego na wierzchu portfela.

Na całe szczęście był nienaruszony. Wyjęła dwa dolary i dała je Shortiemu.

– Proszę, oto nagroda za to, że byłeś tak dzielny i uczciwy.

– Dziękuję pani! - stwierdził z godnością, wsadził pieniądze do kieszeni, tej samej co zegarek, i podążył ku wyjściu.

Dama zaś powróciła do oglądania filmu.

Szanghaj nocą to było coś co bardzo lubił: światła, ludzie, gwar - jednym słowem życie. Właśnie podziwiał jakiś kolorowy lampion, gdy został potrącony przez jedną z tutejszych panienek.

– Hej, kochanie! Masz fajkę? - zapytał uprzejmie. Damulkę zatkało, po czym nabrała powietrza, aby mu coś miłego powiedzieć, ale nagle zmieniła zamiar, pogrzebała w torebce i wręczyła mu gumę do żucia.

– Dziękuję! - teraz dla odmiany Shortiego zatkało z wrażenia.

Za dolara kupił sobie lampkę, która za naciśnięciem guzika wygrywała melodyjkę. Pięciu chłopaków obkoczyło go na tę okoliczność, toteż dał jednemu w łeb nowym nabytkiem, który się przy okazji rozleciał, i pognął przed siebie.

Drugiego dolara dał staruszce żebrzącej na rogu jakiegoś domu. Zawsze mu było żal żebraków, zwłaszcza jeżeli były to stare babcie. Rodzina była najważniejszą rzeczą na świecie. Jego własna babcia, co prawda od dawna już nie żyła, ale Short Round był pewien, że gdyby żyła nigdy nie musiałyby żebrać. Staruszka skłoniła mu się w podziękowaniu, toteż odkłonił się jej dziękując za możliwość wyświadczenia jej przysługi.

Ponieważ zaczęło padać schował się do znajomego magazynu, w którym zaparkował wóz, aby przy okazji zażyć tam zasłużonego snu, do którego ukołysały go klótnie grających w kości. Gdy się obudził zobaczył po

sąsiedzku jakąś parkę czule się całującą. Obserwował ich przez chwilę - wyglądali na bardzo szczęśliwych. Zastanawiał się, czy będą mieli dzieci. Od drzwi słychać było trzaski i chrypienia starego radia, obok którego siedział jakiś pijany marynarz i zawzięcie kręcił gałką próbując złapać odległą i ciągle uciekającą stację nadającą amerykańskie piosenki, przerywane odcinkami przygód Cienia. Short uwielbiał tego słuchać, ale marynarz przegonił go z sąsiedztwa. Widocznie było to prywatne przedstawienie.

Wyglądało na to, że zrobiło się późno. Sprawdził czas na swoim nowym zegarku i doszedł na podstawie położenia wskazówek do wniosku, że czas pomyśleć o spotkaniu. Zapуścił silnik i ostrożnie wyjechał na zewnątrz - deszcz już nie padał.

Przed klubem zjawił się dokładnie o wyznaczonej porze. Ani śladu Indiego. Portier starał się go przepędzić, żeby nie blokował drogi, toteż Shorty dał mu, już niepotrzebny, zegarek. Dzięki czemu mógł zostać na miejscu i to tak długo jak chciał. Zaraz potem Indy spadł do samochodu. Z kobietą.

– No, no! Przymusowe lądowanie? - stwierdził chłopak.

– Zmywamy się stąd, Short Round! - zarządził archeolog.

Odwrócił się więc do kierownicy i nacisnął pedał gazu. Opony zapiszczały i maszyna zniknęła w ulicach Szanghaju.

– Na litość boską, przecież ten samochód prowadzi dziecko! - Willie najwyraźniej nie wierzyła własnym oczom.

– Spokojnie, nauczyłem go - stwierdził nonszalancko Indy.

– To z całą pewnością sprawi, że poczuję się bezpieczniejsza - mruknęła.

Short Round wziął na dwóch kołach zakręt, co spowodowało gwałtowne przesunięcie ciała dziewczyny. Inaczej mówiąc wpadła na Indianę. Ten nie tracąc czasu wsunął jej rękę za głęboki dekolt.

- Słuchaj, dopiero się poznaliśmy... - zaproponowała.
- Nie obiecuj sobie zbyt dużo - stwierdził. - Gdzie antidotum?

W końcu wyłuskał fiołkę z przepastnych głębin jej biustonosza, wyciągnął korek i wychylił duszkiem zawartość.

- Ech... - odsapnął z ulgą.
- Nie wyglądasz kwitnąco - skomentowała.
- Trucizny nigdy nie działały na mnie korzystnie - poinformował ją. -

Shorty, skręć w prawo na most Wang Poo.

- Robi się! - wrzasnął Chińczyk z przedniego siedzenia.

Indy zerknął przez tylne okno i zauważył czarną limuzynę biorącą w ślad za nim zakręt.

- Wygląda na to, że mamy ogon - stwierdził niefrasobliwie.

Samopoczucie Willie uległo gwałtownemu pogorszeniu - jeśli Lao złapie ją teraz, będzie naprawdę niezadowolony. W klubie była spalona, straciła diament, dzieciak lada moment roztrzaska wóz, a przy okazji pasażerów, na jakimś zakręcie, miała dwa złamane paznokcie - słowem ideał szczęścia. Była skłonna przeboleć całą resztę, ale ostatnie przeżycie dopełniło miary... Jak dziewczyna może być gwiazdą, jeśli tak wygląda? Jak wyglądała powiedziało jej wsteczne lustro i rzeczywistość była gorsza od obaw. Omal nie rozplakała się z wściekłości.

– Zobacz co ze mną zrobiłeś - zwróciła się do mężczyzny. - Moją szminkę diabli wzięli i mam dwa złamane paznokcie, a moja fryzura...

Przerwał jej grzmot maszynowego ognia dochodzący z tyłu. Tylne okno poszło w drobiazgi obsypując pasażerów okruchami szkła, toteż oboje skulili się co prędzej na tylnym siedzeniu. Tylko kierowca nie miał tych problemów - i tak go nie było widać zza oparcia.

– Coś mi się wydaje, że masz poważniejsze problemy - powiedział uprzejmie Indy wyciągając jednocześnie coś z torby leżącej na siedzeniu. Następnie zaczął strzelać przez wybite okno polecając jednocześnie Chińczykowi:

– Tędy, Short, przez tunel!

Teraz oba samochody pędziły przez ciemne podziemie błyskając światłami.

– Co chcesz zrobić? - przeraziła się Willie podnosząc się z siedzenia. - Gdzie my jedziemy?

– Chcę ich postraszyć - poinformował ją. - A teraz jedziemy na lotnisko. Uważaj Shorty! W lewo! W lewo!

Przechylił się przez oparcie i przekręcił kierownicę w lewą stronę.

– Radzisz sobie całkiem nieźle - stwierdził spokojnie.

Dziewczyna opadła na siedzenie niezdolna wykrztusić słowa.

Duesenberg wyprysnął na zatłoczone targowisko - dziesięć tysięcy sprzedających i turystów, stragany, lampiony, stosy owoców. Wszystko to w niemym osłupieniu zamarło na jego widok. Obdarzeni bardziej rozwiniętym instynktem samozachowawczym prysnęli na boki przed ryczącą maszyną.

Nie wszyscy byli na tyle przezorni, aby natychmiast nie powrócić na ulicę - goniąca maszyna odbiła w bok mijając o milimetry wyłaniającą się z przecznicy riksę. Następnie zahaczyła o stertę warzyw, obróciła się o czterdzieści pięć stopni i wyhamowała w efekcie na trzecim z kolei zdewastowanym straganie. Jones wyjrzał przez strzaskane okno i schował broń.

– Wygląda na to, że zostali - stwierdził zadowolony.

Wjechali na autostradę, zostawiając za sobą gęstą zabudowę śródmieścia. Gnali teraz przez raczej rolniczą okolicę.

– Shorty, załatwiłeś co miałeś na lotnisku? - upewnił się Indy.

– Oczywiście! - oburzył się spytany. - Pan Weber ma miejsce dla ciebie, dla mnie i dla Wu Hana.

– Wu Han nie jedzie.

Short Round rozważał przez chwilę usłyszaną nowinę. Wu Han nie uciekł - to było fizycznie niemożliwe, za bardzo był oddany Indiemu. Więc

był albo martwy, albo złapany, albo osłaniał odwrót i odciągał uwagę przeciwnika. Każda z tych możliwości była nader zaszczytna dla Wu Hana.

Jakby nie było teraz tylko pozostał Short Round, aby opiekować się ich wspólnym przyjacielem.

– Nie ma strachu, Indy - poinformował o tym Jonesa. - Short Round jest teraz twoją ochroną.

Willie spojrzała do tyłu - daleko majaczyły światła następnego goniącego wozu.

– Zajmę to wolne miejsce - zdecydowała (i tak miała raczej ograniczony wybór). - A tak na marginesie gdzie lecimy?

– Syjam.

– Syjam. Nie mam stroju odpowiedniego na uroczystość... - Więcej nie zdążyła powiedzieć, gdyż właśnie minęli bramę z napisem NANG TAO AIRPORT.

Short przeciął część towarową i skierował wóz w stronę pasa, na którym rozgrzewał silniki jakiś trzymotorowy samolot.

Duesenberg stanął z piskiem opon, a trójka pasażerów wyskoczyła prosto przed bramką w ogrodzeniu.

Chłopak w locie złapał leżącą obok niego torbę Indiany. Przy bramce czekał na nich młody urzędnik British Airways.

– Doktorze Jones, moje nazwisko Weber, rozmawiałem dzisiaj z pańskim... asystentem - tu obdarzył Shorta spojrzeniem o dość ciekawym wyrazie. - Starłem się znaleźć te trzy miej ca, niestety, znalazły się tylko w tej maszynie, a to jest maszyna transportowa z ładunkiem drobiu.

– On żartuje? - spytała Willie niepewnie.

– Madame - Weber skłonił się oficjalnie - to było wszystko co mogłem zrobić w tak krótkim... - nagle zamilkł i uśmiechnął się - mój Boże, czy pani nie jest przypadkiem tą słynną piosenkarką Willie Scott?

Dziewczyna została całkowicie zaskoczona i zdobyta jednocześnie; tu w środku nocy, w takim stanie i okazuje się, że ma wielbicieli...

– No cóż, w samej rzeczy ma pan rację, jestem - stwierdziła w końcu ten oczywisty fakt.

– Miss Scott - Weber się rozplęwał. - Jestem uszczęśliwiony pani obecnością, a jednocześnie niepokieszony, że mogę zaoferować tylko tak nędzny środek transportu. Nie zdaje sobie pani sprawy...

Willie była właśnie w trakcie dochodzenia do wniosku, że ten dzień nie był wcale taki najgorszy, gdy Jones zabrał głos:

– Możesz mu dać swój autograf. Short i ja zbieramy się.

Zawahała się moment, ale w podjęciu decyzji pomógł jej czarny sedan pojawiający się właśnie w zasięgu wzroku.

– Jestem zawsze mile zaskoczona spotykając wielbicieli, panie Weber, ale teraz naprawdę strasznie się spieszę - powiedziała swoim najśłodszym głosem, po czym mniej słodko zwróciła się ku Indiemu:

– Do cholery, poczekaj na mnie!

I pognęła do samolotu. Wskoczyła do wnętrza akurat w momencie, gdy czarny sedan zatrzymał się przed bramką i Lao Che razem z trzema goryłami pojawił się na widoku.

Gangster spojrzał w kierunku samolotu i dwóch zbliżających się policjantów akurat na czas, aby zobaczyć Indiego machającego mu wesoło z otwartego luku. Obstawa patrzyła na Lao wyczekująco zdziwiona brakiem jakichkolwiek rozkazów. Chińczyk tylko się uśmiechnął. Gdy maszyna w trakcie kołowania zawróciła, na jej burcie ukazał się w całej okazałości napis: Transport Lotniczy Lao Che. Kołujący pilot dostrzegł Lao i zasalutował. Ten śmiejąc się serdecznie odsalutował na pożegnanie.

Silniki ryknęły pełną mocą i maszyna uniosła zadowolonych z siebie pasażerów i nie mniej zadowolonych z siebie pilotów.

Lecieli na zachód.

Willie próbowała się usadowić wygodnie na składanym, brezentowym foteliku co było prawie niemożliwe, gdyż był on zewsząd otoczony klatkami z przewożonym drobiem. Najgorsze ze wszystkiego było to, że nawiedzało ją to wspomnienie, którego za wszelką cenę chciała się pozbyć. Dotyczyło dzieciństwa - brudnej, rozwrzeszczanej kurzej farmy w Missouri, z której wyrwała się prawie cudem, dzięki wygraniu w wieku osiemnastu lat stanowego konkursu piękności. Było to wydarzenie zapowiedziane niejako przez jej matkę, choć dosłownie twierdziła ona, że Willie jest na właściwym miejscu (tj. na farmie) i żeby przestała marzyć o głupotach, bo tylko cud może ją z tejże farmy wyrwać, a cuda, jak wiadomo, nie istnieją. Samo zwycięstwo nie było żadnym fenomenem, faktycznie była najpiękniejsza, natomiast nagroda, która umożliwiła jej wyjazd do New Yorku, aby zostać znaną śpiewaczką i tancerką, spadła jej jak z nieba. Jednak większość dziewcząt w tym mieście chciała zrobić taką karierę, więc Willie pojechała na zachód.

W Chicago trafiła na złe towarzystwo. Skłoniło ją to do szybkiej zmiany miejsca pobytu. W Hollywood trafiła jeszcze gorzej i nie mając nic do stracenia, poza powrotem na farmę, podążyła dalej na zachód.

W ten prosty i nieskomplikowany sposób znalazła się w Szanghaju. Co prawda żaden cud się nie wydarzył, ale sprawy zaczęły się zbliżać ku pozytywnemu finałowi - zyskała niezłą reputację w tym środowisku i zaczęła mieć wielbicieli.

No cóż, to wszystko było w tej chwili prehistorią. Teraz zamiast perspektyw miała wspomnienia. I pełno kurzego pierza - co wyglądało zupełnie jak w Missouri.

Dalsze rozmyślania przerwał jej odgłos otwieranych drzwi w tyle kadłuba - wyszedł z nich Indiana Jones, tyle że trochę odmieniony. Teraz był ubrany w skórzaną marynarkę narzuconą na wojskową koszulę, stare dość sfatygowane spodnie i także buty. Na głowę nasadzony miał brunatny

kapelusz, który stracił fason gdzieś w zamierzchłej przeszłości. Całości obrazu dopełniała skórzana torba przewieszona przez ramię i szeroki pas z kaburą na biodrach. W jednej ręce dzierżył zwinięte w kłęb wieczorowe ubranie, w drugiej długi, skórzany pejcz ze skóry hipopotama, używany parę dziesiątków lat temu przez nadzorców niewolników.

Z westchnieniem ulgi opadł na brezentowy stołek pomiędzy nią i chłopakiem i położył zawartość obu rąk na podłodze.

– Czy masz zamiar teraz być - zapytała podejrzliwie Willie - pogromcą lwów?

– Nie dość, że cię ze sobą targam, to mam jeszcze wysłuchiwać komentarzy? - zdziwił się Indy. - Może dałabyś odpocząć swoim strunom głosowym?

Wyciągnął z rozkoszą nogi, umieszczając je na klatkach z drobiem, i doszedł do wniosku, że to stworzenie (Willie, nie drób) działa mu na nerwy.

Dziewczyna wyciągnęła z tobołu leżącego na podłodze marynarkę i owinęła się w nią.

– Zimno tu - stwierdziła z urazą w głosie. - A tak w ogóle to co masz na myśli mówiąc „targam ze sobą”? Od chwili wejścia do klubu nie przestawałeś się na mnie gapić ani przez chwilę!

– Doprawdy? - ziewnął Indy, po czym zsunął kapelusz na oczy i pogрузzył się w sennych marzeniach.

Drzwi od kabiny pilotów otworzyły się ze skrzypnięciem. Drugi pilot zerknął podejrzliwie do wnętrza luku ładunkowego. Jego oczom przedstawił się nader sielski obrazek śpiących w malowniczych pozach pasażerów. Willie (w koszuli, spodniach i marynarce Indiany) spała używając swej sukni jako poduszki, Jones z kapeluszem nasuniętym na oczy drzemał oparty o klatki, a chłopak zwinął się dookoła niego opierając mu głowę na piersi.

Nowo przybyły zerknął na pierwszego pilota, który właśnie otrzymał instrukcję od właścicieli i skinął potakująco głową. Pierwszy wyłączył radio i bez słowa wręczył mu francuza. Drugi potrząsnął przecząco głową i wyciągnął z zanadru nóż.

Gdy wszedł do ładowni Indy akurat zmieniał pozycję. Drugi pilot wzdrygnął się. Jego kolega zaklął w swym rodowitym narzeczu kantońskim, wręczył mu colta 0.45, którego dokładnie obejrzał. Upewniwszy się, że kobieta i dzieciak też mają zginąć, drugi pilot pomedytował chwilę i doszedł do wniosku, że może to ściągnąć na niego złą karmę. Nie omieszkał podzielić się tą nowiną z towarzyszem, który nie przyznał mu racji. Nastąpiła długa wymiana zdań (z podaniem w wątpliwość prowadzenia się przodków obu rodów). Drugi pilot zasiadł za sterami, a pierwszy wziął pistolet i poszedł dokończyć zbożnego dzieła.

Indy w ogóle sypiał nader lekkim snem, ale teraz pod wpływem trucizny nie wyczuł zbliżającego się niebezpieczeństwa. Wyczuł natomiast spadające jajko, które zniosła zdenerwowana kura z klatki znajdującej się ponad jego głową. Jajko pod wpływem przechyłów samolotu wykazało nader daleko posuniętą samodzielność w poruszaniu się. Przekoziołkowało przez brzeg klatki i było na najlepszej drodze do rozbicia się na piersiach Indiego, gdy ten wyciągnął rękę, złapał je w locie i położył delikatnie na ziemię. Jones bowiem tak naprawdę panicznie bał się tylko jednej rzeczy - poza węzami jako takimi naturalnie - jajek rozbijających się na jego osobie.

To było właśnie to co powstrzymało pierwszego pilota - za nic bowiem na świecie nie chciał stawać na drodze czarnoksiężnika, którym okazał się ten spokojny pasażer. Wycofał się więc czym prędzej do kabiny klnąc w duchu przodków za brak zdolności przewidywania i odbył nową naradę z drugim pilotem. W jej wyniku zdecydowano jednomyślnie, że całą sprawę najlepiej zostawić bogom. Doszedłszy do równie zgodnego wniosku, że należy im trochę pomóc, pierwszy pilot przesunął dźwignię opróżniania

awaryjnego zbiorników paliwa, po czym obaj nałożyli spadochrony i najciszej jak mogli ruszyli w stronę tylnej części kadłuba, gdzie były drzwi.

Willie obudziła się w chwili, gdy drugi pilot zasłonił za sobą kotarę oddzielającą tył maszyny od reszty ładowni. Przekręcała się na drugi bok, gdy minął ją pierwszy pilot znikając w tym samym miejscu.

Wydało jej się to trochę dziwne. Samolot był nieduży i podejrzewała, że na pokładzie nie było więcej członków załogi.

– Kto w takim razie pilotuje ten samolot? - zapytała sama siebie.

Chcąc znaleźć odpowiedź na tę, jakby nie było dość istotną, kwestię, podeszła do drzwi kabiny pilotów i po krótkim wahaniu zajrzała do środka.

.

Tego samolotu nie pilotował nikt!

Zatrzasnęła drzwi i krzyknęła rozpaczliwie:

– Tu nie ma nikogo!

Short Round obudził się natychmiast, natomiast Indy ani drgnął. Willie podbiegła do tyłu i odsłoniła kotarę - pierwszy pilot akurat zniknął w otwartych drzwiach ze spadochronem na plecach.

– Mój Boże! Nie! Indiana na pomoc! Obudź się do cholery, piloci powyskakiwali! - wrzasnęła rozpaczliwie.

– Cooo? Jesteśmy już na miejscu? - zainteresował się półświadomie wołany.

Błyskawicznie była przy nim potrząsając nim rozpaczliwie i mówiąc, mówiąc przez cały czas.

– Nikt nie prowadzi... wyskoczyli na spadochronach... Zrób coś!

Miała rozpaczliwą nadzieję, że może w końcu ten kowboj na coś się przyda. Miał lotniczą kurtkę, więc powinien wiedzieć, jak się lata tym pudłem.

Indiana oprzytomniał błyskawicznie pod wpływem tych troskliwych starań i pognał do tyłu - nikogo. Tylko przez otwarte drzwi widać było na

niebie, znacznie niżej niż samolot, dwa spadochrony. Pobiegł do kabiny - sytuacja stała się jasna już na pierwszy rzut oka - również nikogo, stery chodziły jak chciały. Bez chwili zwłoki rzucił się na fotel pierwszego pilota.

Willie miała prawie łzy szczęścia w oczach - przynajmniej znalazł się jeden powód, dla którego święta ziemia nosiła na sobie tego aroganckiego doktora!

– Umiesz tym latać? - upewniła się na wszelki wypadek.

Indy sprawdził tablice przyrządów, tu coś przesunął, tam przełączył i wziął w dłonie ster. Odparł z niewinnym uśmiechem:

– Nie, a ty?

Piosenkarka zrobiła się blada jak śmierć. Widząc ten niezamierzony efekt posłał jej swój najbardziej ujmujący uśmiech i pospieszył z wyjaśnieniem:

– Żartowałem kochanie. Mam pod kontrolą wszystko: wysokościomierz - sprawdzony, wiatromierz - szybkość jak należy, paliwo... - tu nastąpiła nagła i długotrwała cisza.

Willie nie doszła jeszcze do formy po tym numerze z brakiem umiejętności pilotażu, toteż nie przejęła się nią zbytnio, ale jej nieuzasadnione przedłużanie wydało się jej denerwujące.

– Paliwo? - spytała niepewnie. - Co z paliwem?

Indiana powoli wstał, w tym samym momencie dziewczyna zorientowała się, że w uszach dzwoni cisza - silniki przestały pracować.

– Mamy mały problem - mruknął Indy przechodząc obok niej zamyślony. - Shorty!

– Właśnie sprawdziłem - stwierdził tenże, podbiegając prawie bez tchu - nie ma więcej spadochronów.

Indy zaczął rewizję wszystkich zamkniętych miejsc w samolocie. A stojąca nieruchomo pod wpływem usłyszanego nowiny Willie została nagle wyrwana z tego stanu przez widok ujrzany za oknem. Nieubłagane, prosto

przed nosem lecącego siłą bezwładu samolotu wyrastał ośnieżony szczyt, zdecydowanie górujący nad maszyną.

– Indiana! - krzyknęła rozpaczliwie.

Bogowie byli jednak łaskawi - maszyna otarła się o ośnieżony wierzchołek powodując małą lawinę i mijając skałę o cale. Serce dziewczyny prawie przestało bić - czym prędzej wybiegła z kabiny, żeby nie widzieć tego, co ich nieuchronnie czekało za chwilę i osłupiała ponownie.

Jones z pomocą Chińczyka wyciągali z rozbitej szafki niekształny żółty pakunek. Na boku pakunku biegł duży czerwony napis: *Tratwa ratunkowa*.

– Zidiociałeś? - upewniła się. Ludzie różnie reagują w ostatnich chwilach swego życia.

Zignorował ją. Razem z Shortim dotaszczyli pakunek w pobliże otwartych drzwi.

– Do reszty zgłupiałeś? - nie wytrzymała. - Przecież nie grozi nam zatonięcie, tylko rozbicie!

– Przestań pieprzyć i złap mnie od tyłu! - wrzasnął Indy - Shorty, zrób to samo!

Chińczykowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Ta katastrofa zapowiadała się lepiej niż cokolwiek, co widział dotąd w kinie (nawet „Skrzydło”, które oglądał cztery razy). Willie miała natomiast następny moment całkowitego osłupienia. Zanim jednak zdążyła się zastanowić, co jest gorsze - skrócić kark spadając z dużej wysokości, czy zostać zmiażdżoną, gdy samolot uderzy o skałę, dotarło do niej, że nie chce robić tego samotnie.

– Poczekajcie na mnie! - pisnęła rozpaczliwie i czym prędzej złapała archeologa za szyję.

Indy tymczasem ścisnął w objęciach tratwę i uważnie obserwował zbliżającą się błyskawicznie ziemię. Maszyna przez cały czas leciała

klasycznym lotem ślizgowym. Gdy na oko była o jakieś dziesięć stóp niżej odbił się od pokładu z całych sił, pociągając jednocześnie rękojęść butli ze sprężonym powietrzem.

Short Round zamknął oczy gotowy do lotu.

III.

Święty kamień

Odłączyli się od samolotu w ostatnim momencie. Sekundę później maszyna załamała nagle lot i z hukiem eksplodowała wzbijając fontannę skał, złomu i pieczonych kurczaków. Butla okazała się o dziwo pełna, a mechanizm sprawny i w przeciągu trzech sekund, tak jak było napisane w ulotce reklamowej, cały korpus dinghy napełnił się powietrzem. Przez następne parę chwil robiła za skrzyżowanie lotni ze spadochronem i opuszczała się w miarę wolno ze swym ładunkiem na ośnieżone zbocze, przy akompaniamencie nie wypowiedzianych, ale szczerych obietnic Short Rounda do Pani Wiatrów (*Feng-p'o*).

Chwilę po eksplozji samolotu łódka dotknęła ziemi, podskoczyła, opadła ponownie i zmieniła się w rasowy bobsley. Załogę jego stanowili: ostrożnie wychylający się z przodu przez burtę Indy i Willie z Shortem ściskającym kurczowo przymocowane do burty linki.

Zabawa w tor saneczkowy trwała parę minut, zanim nie osiągnęli skraju lasu. Był to bardzo malowniczy i ośnieżony las, jak zauważyła Willie, gdy na sekundę otwarła oczy, zamykając je zaraz znowu z całych sił. Dała sobie też uroczyste słowo honoru, że zanim się to wszystko nie uspokoi, to nie otworzy ich za nic na świecie. Drzewa wyrastały wszędzie wokół i to, że jak dotąd w żadne jeszcze nie uderzyli zakrawało na cud.

Dinghy raz po raz wyskakiwała w powietrze na nierównościach terenu, aby za moment osiąść na ziemi z głuchym odgłosem upadku.

Shorty był równocześnie przerażony i zachwycony - to było lepsze niż ucieczka na filmie „Lodowe Potwory z Wenus”. Zanim zdecydował czy

Indy jest lepszy od Lou Gehringa (grającego tam główną rolę) wyskoczyli w górę na jakimś ośnieżonym pniu.

Przed nimi wyrosło potężne drzewo, którego pnia nie zdołałby objąć dorosły mężczyzna. Pędzili prosto na nie. Nadludzkim wysiłkiem Indy szarpnął linki przymocowane do jednej z burt i rzucił się całym ciałem w przeciwną stronę. Pojazdem szarpnęło, stanął prawie dęba, ale po pniu tylko przeszorował opryskując pasażerów śniegiem. Po tym wypadku wyraźnie zwolnił szybkość, ale i las stał się jakby rzadszy. Faktycznie po paru chwilach znaleźli się na otwartej przestrzeni.

– Indy, jesteś wspaniały! - obwieścił Short Round.

– Czasami zaskakuję sam siebie - stwierdził sentencjonalnie Jones uśmiechając się bez fałszywej skromności.

– Nie wątpię! - zgodziła się Willie.

– Indy! - wrzasnął nagle chłopak.

Zawołany odwrócił się akurat w momencie, gdy z trzaskiem gniecionych zarośli wylecieli ponad skraj przepaści, rozpoczynając swoją drugą w tym dniu powietrzną podróż. Zakończyła się ona po mniej więcej dziesięciu sekundach donośnym pluskiem, któremu towarzyszyły fontanny wody. Wpadli prawie w sam środek wodospadu, którego nurt błyskawicznie porwał łódź z osłupiałymi pasażerami. Teraz kręcił nią dookoła głazów i obracał wokół własnej osi.

Jedyną rzeczą, jaka pozostała im do zrobienia na tej mieszance diabelskiego młyna i rollercoaster, było kurczowe trzymanie się lin asekuracyjnych i walka o nabranie powietrza. To ostatnie było trudną sztuką, gdyż nie tylko szybkość poruszania się, ale i fontanny wody stały im na przeszkodzie. Nagle nastąpił potężniejszy od innych skok i wszystko zaczęło wracać do normy. Pojazd wyraźnie zwolnił, najwidoczniej wydostawszy się z głównego nurtu. Po paru minutach normalnego spływu

w dół rzeki wpłynął w spokojną, półkolistą zatoczkę. Cała trójka pasażerów spoczywała na jego dnie w nienaturalnie spokojnych pozach.

Short Round był pierwszym, który przejawiał jakiegokolwiek oznaki życia - uniósł głowę parę cali i spytał niepewnie:

– Indy?

Z przodu dobiegło chrząknięcie, a potem niezbyt pewny głos:

– Okay, Shorty, jestem okay.

Willie jęknęła. Była przemoknięta do suchej nitki, tak samo jak pozostali, i obolała do niemożliwości.

– U ciebie wszystko w porządku? - zainteresował się Jones.

– Nie - jęknęła. - Nie wiem co mnie bardziej boli. Nie nadaję się na takie numery. A tak w ogóle - dodała po chwili - to gdzie my jesteśmy?

Łódka zatrzymała się delikatnie przy brzegu - a raczej dokładniej rzecz określając na parze brunatnych nóg stojących na brzegu.

– W Indiach - stwierdził archeolog obejrzawszy pod słońce właściciela nóg.

– Święte krowy! - szepnęła kobieta. - Indie? Skąd na Boga możesz wiedzieć, gdzie jesteśmy...

Obróciła się, aby na niego spojrzeć i znalazła się twarzą w twarz z wysuszonym i wiekowym starcem.

Ubrany był w długą i dość brudną tunikę przewiazaną w pasie sznurem, z którego zwieszały się fantastyczne ozdoby. Jego skóra była ciemna i zniszczona przez czas. Wyglądał na szamana. Nagle złączył palce obu rąk, aż Willie podskoczyła i dotknął czoła. Obydwoje z Shortym patrzyli w niemym osłupieniu, jak Indy powtarza to nieme powitanie.

Wędrowali śladem szamana (faktycznie nim był, nie tylko z wyglądu) i czterech wieśniaków. Indy niosąc swój pejcz, Short Round dźwigając jego torbę i Willie niosąc szpilki i suknię. Szli kamienistą ścieżką wiodącą poprzez wysokie góry.

Mały Chińczyk dawał trzy kroki na każde dwa archeologa, ale był do tego przyzwyczajony, a poza tym teraz naprawdę był pewien, że idą do Ameryki. Tam gdzie każdy ma buty i kapelusz, prowadzi samochód, wie jak tańczyć, dobrze strzela, umie robić kawały, wygląda wspaniale, je dobrze i w ogóle jest cudownie. Problemem, który go trapił był tylko fakt, że kiedy już tam dojdą Indy nie będzie potrzebował ochrony. Jedynym więc wyjściem z impasu było stać się jego synem - w ten sposób będzie mógł się nim nadal opiekować bez zbytnich komplikacji. Tyle że ten plan miał mankament, drobny, ale istotny: jeśli Amerykanin ma być jego ojcem to będzie jeszcze potrzebna matka. Kobieta. Tak jak Nick miał Norę, Fred Astaire Ginger Rogers, a Robin miał Marion.

W świetle tych myśli oczywistym staje się fakt, że Short Round zwrócił baczność uwagę na Willie. Była wystarczająco ładna, żeby nadawała się na żonę Indiego. I mogła być dobrą matką. Oboje mogli go adoptować i prowadzić razem nader interesujące życie, oczywiście w Ameryce. Z tym że naturalnie należało ją dokładnie sprawdzić.

Tymczasem obiekt jego planów, to znaczy Willie, doszła do budującego wniosku, że o wiele lepiej jest znajdować się w środku diabli wiedzą czego i być żywą, niż wiedzieć, gdzie się jest z nieustannie na człowieka czyhającą śmiercią, czego doświadczyła tej nocy parokrotnie.

Ten budujący wniosek doprowadził ją do stwierdzenia, że choć jest ślicznie, ciepło i spokojnie, to ona jest głodna. Może Indy ma coś jadalnego w torbie? Aby uzyskać odpowiedź na to nurtujące ją pytanie, postanowiła się go o to zapytać. Kiedy zmniejszyła się odległość dzieląca ją od niego, stwierdziła z osłupieniem, że jest on pogrążony w ożywionej dyskusji z szamanem. Właśnie ten ostatni zabrał głos:

– *Mama okey enakan bala, gena hitiyey.*

Archeolog nie był obeznany dokładnie z tym konkretnym dialektem, ale na tyle orientował się w paru pokrewnych, aby zrozumieć, o co chodzi rozmówcy. Ale to co rozumiał, wprawilo go w lekkie osłupienie.

Otóż dotychczasowe wypowiedzi czarownika wskazywały niedwuznacznie co następuje:

„Czekałem na ciebie. Widziałem to we śnie. Wielki ptak spadał z nieba po drugiej stronie rzeki. Widziałem to w moim śnie”. Stary powtarzał to w kółko niczym modlitwę czy zaklęcie.

Willie dla odmiany słuchała tego jak Żyd chińskiego nabożeństwa.

- Co on mówi?
- Ze mnie oczekiwał - wyjaśnił zdeorientowany Indiana.
- Co chcesz... że co?
- Widział to w swoim śnie.
- Sen - parsknęła. - Zmora to odpowiedniejsze wyrażenie.
- On mówi - poinformował ją Jones - że czekał na brzegu, czekał na samolot, który spadnie po drugiej stronie rzeki.

– A co ze mną? Mnie też widział? - spytała potrząsając głową z niedowierzaniem.

Ponieważ nie wiedział nic więcej ponad to, co jej zakomunikował, Indy wybrał złoty środek - milczenie.

– I to wszystko? - dopytywała się zniecierpliwiona Willie. - Jak ten sen się kończy? Jak się stąd wydostaniemy? Kiedy coś zjemy, jestem głodna! Odezwij się do cholery!!

Zanim zdążył pomyśleć nad jakąś wymijającą odpowiedzią, za najbliższym zakrętem ukazał się cel ich wędrówki - biedna i podupadła wioska Mayapore.

Stan daleko posuniętej dewastacji i ogólnego zniechęcenia, nasilał się prawie namacalnie, gdy szli przez wioskę. Tu i tam stały trzy- lub czteroosobowe grupki mieszkańców obserwujących bez cienia nadziei czy zainteresowania obcych przybyszów. Całości obrazu dopełniały

szwendające się tu i ówdzie apatyczne kundle - żaden nawet nie warknął. Kompletna degeneracja.

Indy z zaskoczeniem zauważył, że kilkunastu mieszkańców tego wiejskiego zakątka nagle się ożywiło. Pokazywali sobie nawzajem Short Rounda i coś do siebie z ożywieniem krzyczeli - co, tego nie słyszał, gdyż byli zbyt daleko i zbyt wielu naraz zabrało głos. Kilka kobiet wyglądało jakby płakały, choć nie widać było łez - ich wycieńczone ciała nie oddawały tak łatwo cennej wody.

Jones przygarnął chłopca do siebie. Całe to zamieszanie nie bardzo mu się podobało. I nagle zrozumiał dlaczego - w całej wiosce nie było ani jednego dziecka.

Mały Chińczyk dostrzegł to także i jeszcze mniej mu się to podobało. Jakby nie było stanowił jedyną obstawę doktora, a nadmiar uwagi nigdy nikomu nie wyszedł na dobre.

Jakie by ich uczucia i odczucia nie były zostali spokojnie doprowadzeni do małej, kamiennej chaty z trzema matami rozłożonymi na podłodze. Budynek ten nie miał okien, więc panował w nim przyjemny chłód.

– Śpijcie teraz - odezwał się czarownik. - Podróż was zmęczyła. Później zjemy i porozmawiamy. Ale teraz, śpijcie. - Po czym opuścił ich bez zbędnych objaśnień.

– Ale ja jestem strasznie głodna! - jęknęła Willie.

– Licz owce, mogą być pieczone - zasugerował Indy układając się na jednej z mat.

Rada musiała być skuteczna, gdyż wkrótce rozległo się potrójne chrapanie.

Ciemne chmury przesuwały się po krwawym, z powodu zachodzącego słońca, niebie. Indiana, Willie i Short Round siedzieli na połamanych stołkach wewnątrz chaty mającej porządną dach i nie mającej wcale ścian.

Z pół tuzina starszych mieszkańców, z szefem wioski na czele, rozmieściło się wokół nich na podłodze.

Na polecenie siwowłosego wodza wsunęły się trzy kobiety i postawiły tylko przed gośćmi drewniane miski.

– Mam nadzieję, że oznacza to obiad - westchnęła z nadzieją Willie.

– *Estuday* (Dziękuję) - skłonił się uprzejmie kobietom Indy.

W miskach znajdowała się mieszanina żółtego ryżu i owoców z dodatkiem jakiejś niezidentyfikowanej szarej substancji.

– Nie ruszę tego - jęknęła zrozpaczona piosenkarka.

– To prawdopodobnie więcej jedzenia niż ci ludzie spożywają przez tydzień - poinformował ją Indy. - Oni głodują.

– Widzę - zgodziła się. - Czego natomiast nie mogę dostrzec to to, dlaczego zabieranie tej żywności ma im w czymkolwiek pomóc. Szczególnie, że od samego jej widoku robi mi się niedobrze.

Nie dość, że całkowicie straciła apetyt, to najchętniej znalazłaby się jak najdalej stąd.

– Jedz! - rozkazał jej nie wdając się w tłumaczenia.

– Nie jestem głodna.

Starszyzna wyglądała na zaskoczoną rozwojem sytuacji.

– Jeśli nie zjesz, to ich obrazisz - uśmiechnął się czarująco. - I postawisz nas w raczej niewesołej sytuacji. Jedz!

Była to argumentacja z gatunku tych nie do odparcia, toteż Willie zabrała się do jedzenia.

Na ten widok wódz uśmiechnął się z zadowoleniem, po czym odezwał się po angielsku:

– Odpoczniecie tu przed wyruszeniem w dalszą drogę.

– Dziękujemy - uśmiechnął się archeolog.

– Nie będziemy odpoczywać - sprzeciwił się niespodziewanie Short Round. - Indy zabiera mnie do swojego kraju. Ruszamy zaraz. Idziemy na

Amerykę.

W tej wiosce panowały jakieś dziwne obyczaje i chłopiec doszedł do wniosku, że najlepiej jest ustawić sprawy we właściwym porządku.

– Idziemy do Ameryki - poprawiła go Willie, której ten pomysł, dotąd niezbyt atrakcyjny, zaczął się nagle szalenie podobać.

– Ameryka, tak, Ameryka - zgodził się uprzejmie naczelnik.

– Spokojnie chłopcze - wtrącił się Indy wkładając Shortiemu na głowę swój wysłużony kapelusz, po czym zwrócił się do naczelnika: - Czy możesz nam dać przewodnika do Delhi? Jestem uczonym i muszę wracać na swój uniwersytet.

– Tak. Sajnu was poprowadzi - niespodziewanie zgodził się zapytany.

– W drodze do Delhi zatrzymacie się w pałacu Pankot - odezwał się nagle szaman.

Zabrzmiało to zupełnie jak stwierdzenie faktu, zupełnie jakby relacjonował coś, co już się wydarzyło.

– Pankot nie jest po drodze - sprostował łagodnie Jones.

– Pójdziecie więc okrężną drogą. Zatrzymacie się w pałacu - czarownik nie wyglądał na zmartwionego czy zainteresowanego usłyszanyymi informacjami.

– Sądziłem, że jest on opuszczony od 1857 roku - Indy spróbował z innej beczki.

– Nie - poprawił go szaman - teraz jest nowy maharadża. I pałac świeci ciemną nocą, tak jak sto lat temu. To właśnie ten pałac zabija moich współplemieńców.

– Niedokładnie rozumiem, co masz na myśli. Co tam się dzieje? - Amerykanin poczuł się lekko ogłupiony wypowiedzią swego rozmówcy.

– Zło zagnieździło się w Pankot - starzec mówił powoli, jakby tłumaczył rzeczy oczywiste dziecku. - I promieniuje stamtąd jak światło księżyca, pogrążając w ciemnościach cały kraj.

– Zło? Jakie zło? - Indy za wszelką cenę starał się wyrobić sobie jako taki obraz tej niecodziennej sytuacji.

– Złe wieści. Słuchaj Short Rounda a pożyczysz dłużej - włączył się do rozmowy mały Chińczyk, któremu cały jej dotychczasowy przebieg zupełnie się nie podobał, a już szczególnie zainteresowanie, jakie zaczął przejawiać jego towarzysz. Zło jest tematem, który powinno się omijać nawet w rozmowie. Takie przynajmniej było zdanie Shortiego, toteż uznał za nieodzowne przypomnieć je pozostałym.

Został jednak zignorowany.

– Przyszli z pałacu i zabrali stąd Sivalingę - kontynuował szaman.

– Co zabrali? - zdumiała się Willie, którą temat zainteresował, z uwagi na dramat jaki najwyraźniej miał miejsce. Tyle że po ostatniej wypowiedzi Hindusa nic już nie rozumiała.

– Kamień - wyjaśnił Jones. - Święty kamień z kapliczki, która strzeże wioski.

– I dlatego Kriszna cię tu przywiódł - wyjaśnił czarownik.

– Nikt nas tu nie przywiódł. Samolot się rozbił - sprecyzował Indy nie mając żadnej ochoty robić za wysłannika bogów.

– Bum! - potwierdził Shorty uzupełniając swoją wypowiedź gestami przedstawiającymi kraksę, w której brali udział.

– Wypadek został spowodowany przez sabotaż, który... - zaczął tłumaczyć Jones.

– Nie - szaman był nadal wyrozumiały i cierpliwy, zupełnie jakby rozmawiał z idiotą. - Modliliśmy się do Kriszny, aby pomógł nam odzyskać kamień. To on spowodował twój upadek z nieba. A więc to ty pójdziesz do pałacu, odnajdziesz Sivalingę i oddasz go nam.

Archeolog był na najlepszej drodze, aby sprostować to co usłyszał, ale w tym momencie spojrzął na otaczające ich audytorium - starych, załamanych i wygłodzonych wieśniaków, wypatrujących jego decyzji z nadzieją.

Nie powiedział nie.

Zapadła noc, zapłonęły ogniska, a szaman zaprowadził ich do wioskowej kapliczki. Po drodze Short postanowił upewnić się w swoich podejrzeniach.

– Indy, oni spowodowali, że samolot się rozbił? Żeby sprowadzić nas tutaj? - wyszeptał pytająco.

– Ależ nie. To tylko taka bajka, w którą wierzą. Nie przejmuj się. Wiesz to jest jak dziecinna historia o duchach - nie ma co temu wierzyć i nie ma się czego bać.

Wyjaśnienie to wcale nie uspokoiło chłopca, wręcz przeciwnie. Znał takie historie - o górskich demonach, o wędrujących duchach i groźnych upiorach. Opowieści, które słyszał od swoich braci zanim zniknęli. Opowieści słyszane na ulicach i w barach, gdy jego rodziny już nie było. Snute w nocy, gdy duchy ożywają i rozpoczynają swoją niszczycielską i złą działalność. I wcale nie był przekonany, że nie są prawdziwe.

Dotarli do kapliczki i stanęli przed nią w milczeniu, podczas gdy kapłan wykonywał rytualne gesty przywitalne. Short próbował zajrzeć do środka - czy przypadkiem nie siedzi tam jakiś duch, ale Jones złapał go za kołnierz.

– Stąd zabrali Sivalingę? - przerwał milczenie Indy, gdy szaman stanął już nieruchomo.

– Tak.

Archeolog obejrzał uważnie pusty w tej chwili ołtarz; w jego podstawie było zagłębienie, w którym spoczywał święty kamień. Jego kształt wydał mu się dziwnie znajomy.

– Ten kamień nie był przypadkiem bardzo gładki? - upewnił się.

– Tak! - przytaknął starzec.

– Pochodził ze Świętej Rzeki?

– Tak, został tu przyniesiony bardzo dawno temu, jeszcze przed urodzeniem się ojca mego ojca.

– Z trzema przecinającymi go liniami? - Indy prawie go widział w swojej wyobraźni.

– To się zgadza.

– Przedstawiają one trzy poziomy wszechświata - kontynuował Jones - ułudę świata materii, realność wszechobecnego ducha i jedność: przestrzeni, czasu i materii. To był potężny talizman według tej wiary. Widziałem kamienie podobne do tego. Ale dlaczego maharadża zabrał go?

– Oni powiedzieli, że musimy się modlić do ich złego Boga. Powiedzieliśmy, że nie będziemy - w oczach szamana zapaliły się ognie świętej wiary.

– Nie bardzo rozumiem, w jaki sposób utrata kamienia może zniszczyć wioskę - odezwała się Willie.

Hindus chciał odpowiedzieć, ale gwałtowne wzruszenie uniemożliwiło mu to przez dłuższą chwilę - nie mógł wydobyć z siebie głosu. Po chwili odezwał się, tym razem w swoim ojczystym języku, a nie jak dotąd po angielsku. Mówił wolno i widać było, że przychodzi mu to z trudem.

– *Sive lingē nathi unata...*

Indy przekładał to na angielski:

– Kiedy święty kamień został zabrany, wyschły kanały nawadniające, a potem rzeka zmieniła się w piach...

– *Idorayak?* Wyschła? - Zwrócił się do szamana.

– Nie - odparł ten i kontynuował. - *Gos Kolan maha polawa...*

– Nasze ziarna zmieniły się w pył, nasze zwierzęta marły z głodu. Pewnej nocy na polach wybuchł pożar, mężczyźni poszli walczyć z ogniem. Gdy wrócili do wioski zastali rozpaczające kobiety. *Lamail*.

– *Lamail* - powtórzyła Willie.

– Dzieci - szepnął Jones. - On mówi, że ukradli ich dzieci.

Zapadło milczenie - dziewczynie zbierało się na płacz, Shortiemu zrobiło się nagle zimno, a Indy nie miał słów, by wyrazić to, co czuł.

– Kiedy znajdziesz Sivalingę, znajdziesz i nasze dzieci - przerwał po dłuższej chwili szaman.

Indy odetchnął, gdyż coś blokowało mu struny głosowe.

– Przykro mi, ale naprawdę nie wiem, jak mogę wam pomóc - powiedział cicho.

Prawda była trochę inna - nie chciał wiedzieć. Coś wisiało w powietrzu, coś czego nie umiał nazwać, ale co zjeżyło mu włosy na głowie.

Hindusi nie odezwali się słowem - tylko ich oczy mówiły, mówiły w tak przekonywający sposób, że Indy poczuł się zmuszony do wytłumaczenia się.

– Angielscy urzędnicy, którzy sprawują nadzór nad tym terytorium są jedynymi, którzy mogą wam pomóc.

– Nie chcieli nas słuchać - odezwał się naczelnik.

– Mam w Delhi przyjaciół i mogę zagwarantować, że na pewno mnie wysłuchają i zajmą się tą sprawą.

– Nie. Ty pojedziesz do Pankot - przerwał mu szaman i zaczął monotonnie powtarzać coś w rodzimym dialekcie. Amerykanin poczuł, jak jego opór słabnie niczym brzegi rzeki podmywane bezustannie.

– Co on mówi? - zainteresowała się Willie.

– On mówi, że to było przeznaczenie, że się tu znalazłem. Mówi, że powinienem znać zło. Zło już mnie tu dostrzegło, wie że nadchodzę. To jest moim przeznaczeniem, a przyszłości nie da się zmienić. On mówi, że nie może dostrzec tej przyszłości i że muszę ją sam odkryć.

Short Round i Willie wpatrywali się w niego z osłupieniem.

Cała trójka leżała w przyznanej im chacie starając się zasnąć, ale nie mogła tego dokonać. Dzień był zbyt obfity we wrażenia i wyobrażenia nie była w stanie się uspokoić.

Indy poznał w wystarczającym stopniu różne wierzenia szeroko rozpowszechnione w tym świecie, aby zdawać sobie sprawę, że w każdej religii są pewne dawki magii. Różnie to wyglądało w różnych częściach świata, ale jedno było wspólne - przy najrozmaitszych satanistycznych sektach ilość i moc tej magii była o wiele większa, jeśli chodziło o oddziaływanie na człowieka. I taką właśnie siłę wyczuwał podświadomie wokół siebie - na razie co prawda nie ingerującą tylko obserwującą, ale tym niemniej obecną.

Willie po prostu chciała jak najszybciej opuścić to miejsce. Nienawidziła go - nienawidziła wszystkiego co ją otaczało: kurzu, głodnych wieśniaków, nieruchomego, zupełnie jak przed burzą powietrza i wielu innych rzeczy składających się na obraz tej wsi. Jej największym marzeniem było złapać jakąś taksówkę i zjeżdżać stąd jak najszybciej.

Short Round natomiast miał złe przeczucia, bardzo złe. Ci ludzie wciągali jego przyjaciela w pułapkę - oślepiając jego duszę, tak aby ciało podążało za nią. Tak więc poza normalnymi obowiązkami ochroniarza musiał wziąć na swoje barki obowiązki ochrony duchowej doktora. I nie tylko, bo podobne niebezpieczeństwo, choć w mniejszym stopniu, groziło Willie. A przecież musiał jej pilnować, bo kto miał niby zostać żoną Indiego w Ameryce. Zwrócił się więc do Huan-T'ien - Najwyższego Władcy Ciemnych Mocy, który zamieszkiwał północne niebo i mógł odwołać złe duchy. Dopiero gdy to zrobił, mógł spokojnie pograć się w otchłani snu.

W końcu zasnęli wszyscy troje.

Także Jonesowi udało się zasnąć.

I w tym śnie coś się do niego zbliżało, przybywało z ciemności z zastraszającą prędkością.

Dookoła otaczało je przerażenie, po drodze biły w twarz gałęzie. Jego oddech był świszczący. Mocny wiatr zawodził prowadząc to coś z czarnej

nicości ku śpiącemu i zlanemu potem Indiemu...

Oczy śpiącego otwarły się nagle. Był pewien, że coś słyszał, coś co nie należało do naturalnych odgłosów tej nocy. Coś biegło, rozpaczliwie przedzierając się przez busz. Wolno usiadł nasłuchując. Willie i Shorty spali niczego nieświadomi.

Że coś dziwnego się zdarzy - i to zaraz - tego był pewien. Wstał i wyszedł na zewnątrz. Wiatr przybierał na sile, jego zawroźnienie zagłuszało większość innych dźwięków nocnego życia. Nagle z lewej strony dobiegł go odgłos, który przedarł się przez szum wiatru - ktoś lub coś biegło co sił w nogach w jego kierunku tratując roślinność.

Odwrócił się błyskawicznie z coltem w dłoni. Zarośla zatrzęsyły się i nagle na otwartą przestrzeń wypadł dzieciak. Biegł dokładnie ku niemu.

Indy miał tylko tyle czasu, żeby schować broń i przykucnąć, zanim chłopak wpadł prosto w jego ramiona.

Miał siedem albo osiem lat, był wycieńczony do granic wytrzymałości, ubrany w strzępy jakichś szmat. Jego plecy były poranione razami bata.

Mężczyzna wzywając głośno pomocy, zaniósł go do chaty i położył na macie.

Po krótkiej chwili starszyzna z szamanem zgromadziła się wokół niego. Po błyskawicznej wymianie zdań potwierdziła przypuszczenie Indiego - było to dziecko z wioski. Czarownik wlał dzieciakowi coś do gardła mamrocząc jakieś zaklęcie. Chłopiec otworzył oczy. Rozejrzał się po otaczających go twarzach, aż jego wzrok zatrzymał się na Jonesie. Małe, wychudzone ramię drgnęło i wyciągnęło się ku niemu. Indiana ujął małą rączkę w swoje dłonie - drobne pokaleczone palce z popękkanymi paznokciami rozwarły swój kurczowy chwyt - i w dłoń Jonesa spadł zwitek materiału. Chłopak starał się coś powiedzieć, ale do ucha zbliżonego do jego ust doszedł tylko ledwie słyszalny szept:

– Sankara...

Nagle do wnętrza wbiegła matka dziecka najwyraźniej zawiadomiona o całym zajściu. Płacząc uklękła i wzięła w objęcia ciche i spokojne teraz ciało syna.

Indy wolno puścił rękę chłopca i wstał. Powoli rozpostarł zwitek, który dostał od małego posłańca - był to strzęp tkaniny najwyraźniej oddarty z jakiegoś starego malowidła. Czymś brunatnym był na nim narysowany fragment malarskiej miniatury.

Rozpoznał ją na pierwszy rzut oka.

– Sankara - mruknął.

IV.

Pałac Pankot

Świt wstał wczesnie.

Jones maszerował przez wioskę otrzymując ostatnie wskazówki od rady i tłoczących się wokół wieśniaków.

Na skraju wioski czekały na nich dwa słonie. Przewodnik Sajnu był właśnie w trakcie uprzejmego wsadzania na jednego z nich Willie. Przy biernym oporze z jej strony zadanie to przerastało siły normalnego człowieka.

– Do cholery ciężkiej, Willie! Przestań się wygłupiać!

– ryknął Indy widząc to. - Musimy się w końcu stąd ruszyć! Przecież to zwykłe udomowione zwierzę, a nie jakiś potwór, dalej włącz na niego i bądź grzeczną dziewczynką.

Dobra, dobra - pomyślała - wiem, że to udomowione zwierzę, tyle że czasami dostaje szału. Cóż to i tak jedyne na czym można tu jechać. Najwyraźniej w końcu przekonana, albo raczej zrezygnowana, dziewczyna pozwoliła się usadzić na grzbiecie posłusznie czekającego wierzchowca.

– No to w końcu jestem! - stwierdziła półgłosem siedząc nieruchomo z wyrazem twarzy świadczącym, że mimo iż usiłuje zapanować nad sobą, jest obłądnie przerażona. W garści nadal trzymała suknię.

Short Round obserwował to całe zamieszanie stojąc przy drugim słoniem i czekając na Indiego.

– Jadę razem z tobą? - spytał, gdy ten się zbliżył.

– Nie, tam z prawej jest dla ciebie mała niespodzianka - poinformował go enigmatycznie mężczyzna.

Chłopiec pobiegł we wskazanym kierunku i za krzakami znalazł się oko w oko z małym słońciakiem. No, nie takim znowu małym - zwierzak był wyższy od szanującej się krowy. Prowadził go właśnie drugi przewodnik. Shorty z trudem uwierzył we własne szczęście.

– Oh! - wykrzyknął i wlaź, bez pomocy przewodnika, na swojego wierzchowca.

Mały Chińczyk był, jak wiadomo, gorącym zwolennikiem kina, a jednym z jego ulubieńców był Tarzan. Nic więc dziwnego, że choć dosiadał słońca po raz pierwszy w życiu doskonale wiedział, jak to się robi. A poza tym słońce na filmie były dobrymi przyjaciółmi bohatera, dlaczego więc nie mogły być jego przyjaciółmi? Jane też była dobrą przyjaciółką Tarzana - zreflektował się.

Patrząc na Willie miał nadzieję, że będzie lepszą przyjaciółką Indiego niż udało jej się to w stosunku do słońca.

Sajnu poprowadził słońca dziewczyny do miejsca, gdzie stały dwa pozostałe wierzchowce.

Kawalkada ruszyła.

Willie przestała się już panicznie bać swojego zwierzaka. Zaczęła się natomiast niemiłosiernie wiercić, starając się znaleźć jak najwygodniejszą pozycję do jazdy. Gdy jakoś się jej to w końcu udało, odprężyła się na tyle, aby zwrócić uwagę na odprowadzający ich tłum wieśniaków. Na wszystkich twarzach malowała się powaga i smutek, a część z nich nawet płakała. Była wstrząśnięta tym widokiem.

– Pierwszy raz w życiu zdarza mi się, żeby ktoś płakał, gdy odjeżdżam - przyznała się jadącemu przed nią Shortiemu.

– Oni nie płaczą za tobą - chłopak był wyraźnie zgorszony. - Płaczą, bo słońce ich opuszczają.

– Opowiadasz! - oburzyła się.

– Nie mają tyle żywności, aby je wyżywić. A więc wyprawiają je do miasta, żeby je sprzedać - dobiegło ją z tyłu.

Willie zorientowała się dopiero, że Indy jest za nią, gdy usłyszała jego głos. Aby go lepiej słyszeć określiła się na swoim wierzchowcu.

– Przestań się wiercić, jakbyś miała owsiki, bo się słoń zdenerwuje - upomniał ją.

– Lady, kierunki się pani pomieszały - zachichotał Shorty. - W tamtą stronę są Chiny. Pankot jest w tę.

– *Sajnu imanadu* - polecił przewodnikowi archeolog.

– *Aiyo nona, oya pata nemei!* - wrzasnął tenże w kierunku Willie, a potem coś zaczął krzyczeć do słońca.

– Zaraz, chwileczkę, jeszcze nie siedzę wygodnie - zdenerwowała się piosenkarka. - Nie mogę w tej pozycji jechać do Delhi!

– Nie jedziemy do Delhi - odparł spokojnie Indy.

– Nie? - przeraziła się. - Hej, zaczekajcie! Czy ktoś może mnie zabrać do Delhi? Nie chcę jechać do Pankot!

– Dobra, dobra, ruszamy! - polecił Amerykanin przewodnikowi. - Nie zamierzam tu stać dla jej widzimisię.

Sajnu ruszył prowadząc słońca dziewczyny. Wieśniacy machali na pożegnanie życząc jej sukcesów i podziwiając odwagę.

– Indy! - zdenerwowała się na autora całej afery.

– Niech cię cholera! Co ci naopowiadał w nocy ten dzieciak?

Zapytany zignorował pytanie, odkłaniając się naczelnikowi i szamanowi.

Marsz należał do powolnych, ale ciągłych, zbliżając ich z każdą godziną do widniejących na horyzoncie wzgórz, wśród których był położony pałac Pankot - cel ich wyprawy.

Okolica wyglądała na dość ponurą i zaniedbaną, ale nie w tym stopniu co najbliższe otoczenie wioski, z której wyruszyli.

W tej podróży Short Round odkrył masę ciekawych a nie znanych rzeczy dotyczących swego słonia. Na przykład sterczące z przodu włosy porastające cały przód czaszki są w dotyku miękkie i jedwabiste, a jeśli się go podrapie nad skronią, to słoń wydaje bardzo zabawne chrząkanie. Rzecz oczywista chłopak poznał też jego imię, które zupełnym przypadkiem brzmiało - Big Short Round.

Willie natomiast wreszcie osiągnęła porozumienie ze swoim zwierzakiem, choć prawdę powiedziawszy nie jest to właściwe określenie stanu rzeczy. Jakby tego nie nazwać sytuacja wyglądała tak, że słoń laźł tam gdzie chciał, a ona obdarzała go coraz to nowymi przezwiskami.

Wczesnym popołudniem słońce paliło niemiłosiernie. Właśnie przemierzali plantację bananów i fig, słonie brodziły w błocie, które było nieodzowne przy tych uprawach, gdy Willie zaczęła mieć dość.

Spojrzała na siebie krytycznie i omal się załamała. Nadal była ubrana w rzeczy Indiego, w dodatku była mokra od potu, spodnie miała wybrudzone przez grzbiet słonia, a marynarka dawno straciła swoją biel. Jak mogła stoczyć się tak nisko? Spojrzała na swoją, teraz zwiniętą w kłębek, brokatową suknię i z uznaniem wspomniała niedawne czasy, gdy była prawdziwą damą.

Nagle ogarnęła ją złość na samą siebie. Przestań - nakazała sobie w duchu. - Bycie damą jest uzależnione od świadomości, nie od wyglądu. I nie ma żadnego powodu, dla którego nie mogłabym być nią tu, w samym środku zdziczałego zadupia.

Wyjęła flakonik francuskich perfum z wewnętrznej kieszeni swojej, kiedyś pięknej, sukni i zaczęła się skrapiać za uszami. W pewnym momencie dotarło do niej, że nie jest jedyną osobą cierpiącą z gorąca. Spojrzała na zwierzę, które znajdowało się pod nią i zrobiło jej się żal drepczącego w skwarze słonia.

– Sądzę, że potrzebujesz tego bardziej ode mnie - mruknęła wylewając parę kropel na potężne uszy.

Aby roztrzeć perfumy musiała się nachylić i charakterystyczny odorek uderzył ją w nozdrza. Skrzywiła się z niesmakiem, po czym odwróciła się wokoło własnej osi i wylała połowę zawartości flakonu za siebie.

Słoń był zaniepokojony. Podniósł trąbę nad głowę i dokładnie obwąchiwał to coś, co na nim siedziało i miało taki strasznie dziwny zapach, po czym parsknął z wyraźnym obrzydzeniem. Willie wyglądała na zaskoczoną.

– Co ci się nie podoba? - zapytała. - To dość drogie perfumy.

Zwierzę tylko chrząknęło i szło dalej.

Indy drzemał, a Short Round pogrążony był w niekończącej się dyskusji z Big Short Roundem.

Późnym popołudniem otoczenie zmieniło się. Wkroczyli do rzadkiego, jak na tropik, lasu. Rzadkiego, gdyż przez korony drzew prześwitywało słońce nadając otoczeniu miodowe barwy. Poza tym im niżej, tym bardziej było to podobne do podzwrotnikowej puszczy - skłębione krzewy, liany, równy kobierzec roślinności ziemnej i traw.

Drogę było tylko chwilami widać, dlatego dość często musieli stawać, aby przewodnicy mogli oczyścić przejście ze szczególnie uciążliwych przeszkód.

Otoczenie było pełne dźwięków i to takich, jakich Willie nigdy nie słyszała. W gęstwinie bez przerwy coś chrząkało. kłapało, wyło, wrzeszczało i wydawało najrozmaitsze inne, a przerażające dźwięki. Wszystko to razem powodowało, że pocila się jak mysz i stawiała się coraz szczęśliwsza z tego powodu, że podróżowała na grzbiecie słonia, a nie na własnych nogach. Czasami, co sama właśnie stwierdziła, nader trudno jest być damą.

Natomiast łatwo być małym chłopcem - dla Short Rounda wszystkie te tak trwożące dziewczynę dźwięki były po prostu częściami składowymi nowej gry, specjalnie dla niego obmyślonej. Choć trzeba mu przyznać, obojętnie jak dalece byłaby ona ciekawa, nie zaniechał swego podstawowego obowiązku. Co chwilę sprawdzał, patrząc przez ramię, czy Indy znajduje się na swoim miejscu cały i zdrowy. Doszedł w tym czasie do wniosku, że zajęcie osobistej obstawy jest nader zaszczytne i odpowiedzialne, ale również nader męczące. W pewnym momencie zagrzmiało, błysnęło, ale nie spadła ani jedna kropla deszczu. Dla Short Rounda był to zły znak. Znaczyło to ni mniej, ni więcej tylko to, że Lei-Kung - Władca Piorunów i Tien-Mu - Matka Błyskawic walczyli bez powodu. A z takiego sporu nie mogło wyniknąć nic dobrego.

Lei-Kung nie był przystojny: ludzkie ciało błękitnej barwy opatrzone głową i szponami sowy, toteż nic dziwnego, że krył się w chmurach przypominając o swym istnieniu, jeśli ktoś się doń zbliżył, waleniem w solidny bęben. Tien-Mu zaś produkowała błyskawice przy pomocy dwóch luster, czasami jednak, będąc w złym humorze, kierowała jedno z luster na Lei-Kunga, by zobaczyć, jak jest brzydki. Jeśli się to jej udało ten wpadał w gniew i zaczynał walić w bęben bez powodu.

Gdyby spadł deszcz byłaby to nic nieznacząca sprzeczka, ale tak pozostawał tylko czysty gniew obu bogów, jako jej efekt. A przecież nawet małe dziecko wie, że nie ma nic gorszego niż zagniewany Bóg (no chyba, że dwóch bogów). Czym prędzej zwrócił się więc do Niebieskiego Ministra Grzmotów i Wiatru, aby jako wyższa instancja wmieszał się w tę sprawę jakakolwiek by ona nie była. Widocznie petycja była skuteczna, bo przestało grzmieć i błyskać. Mimo to był zaniepokojony.

W pewnej chwili zobaczył jakiś kulisty owoc wiszący nisko nad ścieżką. Stanął na grzbiecie swojego wierzchowca i zerwał go bez trudu. Zadowolony z siebie siadł z powrotem i zwrócił się do słonia:

– Możesz jechać ze mną do Ameryki. Zatrudnimy cię w cyrku. Co o tym sądzisz?

Słoniątko w odpowiedzi podniosło trąbę, wyłuskało delikatnie zdobycz z ręki chłopca i umieściło ją w swoim pysku. Operacja została zakończona mlaśnięciem i cichym pomrukiem. Short Round doszedł do wniosku, że propozycja została zaakceptowana.

Drogę przecinała płytka, choć szeroka rzeka, toteż kawalkada zaczęła się posuwać jej nurtem - najpierw Shorty, potem Indy, na końcu Willie.

W górze strumienia rozległ się jakiś dziwny i głośny harmider. Short Round spojrzał w tym kierunku i wrzasnął:

– Patrzcie!

Indy i Willie obrócili się akurat w porę, aby zobaczyć setki skrzydlatych stworzeń wzbijających się w powietrze.

– Co za wielkie ptaki! - zachwyciła się dziewczyna.

Sajnu powiedział coś Indiemu, ten przytaknął, po chwili wahania zwrócił się do Willie.

– To nie są wielkie ptaki, to gigantyczne nietoperze!

Short Roundowi po plecach przebiegł dreszcz, oglądał dwukrotnie „Drakulę” i dobrze wiedział co znaczą nietoperze. Willie schyliła się instynktownie na myśl o tych obrzydliwych stworzeniach.

Na nieszczęście sprowadziło to jej organy węchu w bezpośrednią bliskość grzbietu słonia. Parsknęła z obrzydzeniem i wylała czym prędzej resztę perfum na grzbiet zwierzęcia. Efekt był natychmiastowy - zamiast odoru dzikiej bestii uderzył ją w nozdrza aromat cywilizacji, co wprawiło ją w nader wesoły nastrój. Bez głębszych pobudek rozpoczęła śpiewać:

*In olden days a glimpse of stocking
was looked on as something shocking,
now heaven knows,*

anything goes!

Indy całkowicie zaskoczony tym niespodziewanym w tym miejscu wydarzeniem najpierw ryknął śmiechem, a potem też nabrał ochoty do występów wokalnych. Z powodu braku zdolności i samokrytyki (niespecjalnie pamiętał jakąkolwiek piosenkę i, prawdę powiedziawszy, w ogóle nie miał głosu) miał chwilowe trudności z wprowadzeniem swojej zachcianki w czyn, ale przewyciężył te kłopoty i po wodzie potoczył się jego fałszujący ryk:

*Oh, give me a home,
where the buffalo roam,
where the deer and the antelope play.*

Usłyszawszy tak niezgodny duet Short Round doszedł do wniosku, że bez jego wiedzy rozpoczęto nową zabawę, w której każdy śpiewa swoją ulubioną piosenkę starając się to zrobić głośniej od innych. Czym prędzej też wziął w niej udział:

*The golden sun is rising,
shinning in the green forest, shinning through the city of Shanghai.*

Piosenkarka zareagowała natychmiast zwiększając siłę głosu:

*Good authors, too, who once knew better words,
now only use four-letter words writing prose, anything goes.*

Mężczyzna nie pozostał w tyle. Głosu może nie miał, ale potężne płuca z całą pewnością:

*Where seldom is heard a discouraging word,
and the skies are not cloudy all day.*

Mały Chińczyk również starał się jak mógł najlepiej:

*The city of Shanghai,
I love the city.
I love the sun.*

Willie nie ustawała w wysiłkach:

*The world's gone mad today
and godd's bad today,
and black's white today,
and day's night today.*

Indy poczuł się zagrożony, gdyż jego piosenka była krótsza, toteż zwiększył siłę głosu przechodząc do finału:

Home, home on the range.

Nagle przyszła niespodziewana pomoc - piosenka Short Rounda skończyła się, a ponieważ bardzo lubił tę, którą śpiewał archeolog przyłączył się, gdy ten z powodu braku repertuaru zaczął ją ponownie.

Zabrzmiał może nie tyle zgodny co głośny chór:

Where the deer and the antelope play...

Co prawda chłopak śpiewał po chińsku, ale tak jak pozostała dwójka robił to najgłośniej jak mógł. Ta kakofonia dźwięków była czymś co

załamało cierpliwość słonia Willie.

Zniósł bez sprzeciwu dużo różnych i nienormalnych rzeczy, które się działy na jego osobie - najpierw pasażer wiercił się nieprzyzwoicie, potem dwukrotnie coś nieznanego straszliwie śmierdziało, a teraz jeszcze te przeraźliwe, raniące uszy wrzaski. To było nie do zniesienia! Trzeba było natychmiast coś zrobić. I zrobił. Nagle stanął, zanurzył trąbę i wypuścił całą zawartość w kierunku siedzącej na nim pasażerki.

Ta, nie spodziewając się niczego, a już najmniej prysznicu o ciśnieniu trzech atmosfer, zleciała z grzbietu zwierzęcia i z oszałamiającym chlupotem pogrążyła się w wodzie. Pogrążyła się to nie jest adekwatne określenie, właściwszym byłoby siadła, gdyż wody było po kolana, a ona się do niej zsunęła.

Głośny plusk spowodował nagłe zakończenie części wokalnejszej - pozostali członkowie podróży obrócili się natychmiast, aby zobaczyć co było jej powodem. Pierwszy ocknął się z osłupienia Short Round.

– Bardzo zabawne! - wrzasnął. - Naprawdę, piękny żart! - Po czym ryknął śmiechem, do którego po sekundzie dołączył się Jones i przewodnicy. To przepełniło czarę goryczy Willie. Była przemoczona i głodna. Sama nie wiedziała czy płakać, czy się śmiać, a to że stała się powodem pośmiewiska dobiło ją tym bardziej, że spowodował je dzieciak.

– Byłam szczęśliwsza w Szanghaju! - wrzasnęła w kierunku Indiego dając się ponieść temperamentowi. - Miałam mały domek, bogatych przyjaciół i jeździłam dobrymi samochodami! Nienawidzę tego wszystkiego! Tej dziczy, tego cholernego słonia i w ogóle wszystkiego! Po co mnie tu ściągnąłeś?! Jestem śpiewaczką, a nie trampem! Mogę stracić głos!

Short Round przestał się śmiać, zamiast tego osłupiał patrząc na Willie.

– Lady naprawdę się zdenerwowała! - doszedł do wniosku.

Indy ze spokojem wysłuchał tego wszystkiego, po czym rozejrzał się oceniając położenie słońca, rozpościerający się wkoło krajobraz i doszedł do swoich własnych wniosków:

– Sądzę, że możemy tu przenocować! - stwierdził autorytatywnie. Wychodziło na to, że wszyscy mieli dość.

Słońce zachodziło.

Trzy słonie zażywały kąpieli w najgłębszym miejscu w okolicy, gdzie woda sięgała im do piersi. Rozebrany do pasa Indy obryzgiwał się wodą z jednej strony, a Sanju robił to samo z drugiej.

Short Round bawił się natomiast ze słońiątkiem - obaj byli równie do tego skorzy, a w dodatku byli równolatkami.

Trzydzieści jardów w górę strumienia Willie zażywała kąpieli. Potrzebowała tego, aby dojść do siebie i do... odpowiednich wniosków. Jej życie w ciągu ostatnich dwóch dni stanęło na głowie i to za sprawą Jonesa. Zanim się pojawił wszystko było jasne, proste i... trochę nudne. Na co jak na co, ale na nudę nie mogła narzekać w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Po pierwsze był naukowcem czyli gołodupcem. Po drugie, choć bez dwóch zdań był w niej zadurzony, nigdy nie powiedział jej nic miłego, nigdy nie zatroszczył się o nią w widoczny sposób, nigdy jej nie nadszkiwał - słowem, ani razu nie zachował się jak przystało na rasowego gentelmana. Prawda, był miły dla dziecka. Za to dla niej nikt nigdy nie był miły, gdy była mała i była wdzięczna, że chłopak ma dobrą opiekę. Też prawda, że ten zagłodzony dzieciak, który w nocy dobiegł do wioski nim wstrząsnął. Ale co dalej?

Nie da się ukryć, że uratował ją, gdy wszystko wzięło w łeb w klubie i potem przed katastrofą samolotu też, ale pamiętać należy, że on ją w to wszystko wciągnął.

No i oczywiście te jego oczy - Willie była naprawdę ciekawa, jakie one są z bliska. Jakie by jednak nie były fakt faktem, że nie była pewna co o

nim sądzić, a raczej jaki mieć do niego stosunek.

Chyba jednak był miły?

Indiana urządził sobie tymczasem spacer brzegiem rzeki, żeby sprawdzić, czy Willie jest bezpieczna. Nie, żeby jej tu coś zagrażało, ale nie da się ukryć, że jest typowym mieszcuchem, dla której dotąd dziką okolicą były tylko przedmieścia Szanghaju. Trzeba przyznać zresztą, że jak na mieszkankę miasta sprawowała się bardzo dobrze.

Może był dla niej zbyt oschły, ale nie miał głowy w ciągu ostatnich kilkunastu godzin bawić się w gentelmana, gdy trzeba było ratować życie.

Teraz była chwila spokoju, więc nic nie stoi na przeszkodzie, żeby być dla niej miłym. Jakby nie było, należy się jej trochę ciepła. Żeby jeszcze nie była tak zarozumiała i żeby tyle nie gadała mogłaby być całkiem miłą dziewczyną.

W trakcie tych rozmyślań natknął się na jej rzeczy, które suszyły się na gałęzi. Chwilę później zobaczył ją pluskającą się opodal i całkowicie pozbawioną tak zwanych osłonek.

Widok ten sprawił, że poczuł dziwną suchość w ustach.

– Hej, Willie! - krzyknął. - Sądzę, że byłoby lepiej, gdybyś wyszła stamtąd! I to zaraz!

Nagle pojawienie się Amerykanina przestraszyło dziewczynę, ale tylko w pierwszym momencie. Przecież to był scenariusz przeniesiony żywcem z jej marzeń.

– Wyjść nago? - spytała uprzejmie. - Chciałbyś?

– Wyłaź, czas się wysuszyć!

– Wysuszyć się? Doktorze Jones, jeśli stara się pan mnie uwieść, to jest to doprawdy prymitywny sposób.

Indiego zatkało.

Bądź tu miły dla kobiety! - pomyślał. - Oto do czego cię doprowadzi!

– Ja chcę ciebie uwieść? Kochanie, przecież to ty się rozebrałaś! - wzruszył ramionami. - Przyszedłem tu tylko po to, żeby ci powiedzieć, że

nigdy nie wiadomo co można znaleźć w tej wodzie.

Pomimo to, że byli w środku dżiczy, o tysiące mil od Cole Porter była dziwnie pewna, że jest na znajomym terenie.

– Jakoś tak się składa, że tu czuję się pewniej - stwierdziła z uśmiechem.

– Jak sobie życzysz - padło w odpowiedzi i Jones pomaszerował z powrotem w stronę obozu.

Willie, ciągle siedząc w wodzie, poczuła ku swemu zaskoczeniu, że żałuje faktu, iż nie pozostał dłużej.

Noc w puszczy zapada błyskawicznie. Tak było i tym razem. Ognisko wydzielalo przyjemnie ciepły, pomarańczowy blask, ale poza jego zasięgiem cienie były mroczne, drżące i nieznane.

Sajnu karmił słonie, a inni przewodnicy rozmawiali cicho siedząc przy ogniu. Willie, owinięta kocem, starała się wysuszyć rzeczy nad ogniskiem. Wbrew oczekiwaniom nie schły zbyt szybko.

W pobliżu Indy grał w pokera z Short Roundem.

– Co masz? - zapytał poważnie Chińczyk.

– Parę szóstek.

– Trójka asowa! Wygrałem! - ucieszył się chłopak. - Jeszcze dwie gry i będę miał wszystkie twoje pieniądze!

Short potasował, Indy rozdawał. Willie przyglądała się temu znad koszulki, którą aktualnie próbowała suszyć.

– Gdzieś ty znalazł tego ochroniarza? - zapytała w końcu Jonesa.

– Nie znalazłem go, złapałem - poinformował ją uprzejmie nie przestając rozdawać.

– Co proszę?

– Jego rodzice zostali zabici podczas bombardowania Szanghaju. Chowała go ulica od czwartego roku życia. Złapałam go, gdy próbował rąbnąć mój portfel.

Willie podniosła spodnie, aby je suszyć i znalazła się oko w oko z przyczepionym do nich nietoperzem. Wrzasnęła przeraźliwie ściągając na siebie uwagę wszystkich, oprócz Jonesa rozdającego karty z kamiennym spokojem. Cofając się w popłochu natknęła się plecami na coś twardego - obróciła się gwałtownie w stronę drzewa tylko po to, by ujrzeć przed sobą rozbudzonego orangutana, który na jej widok wykrzywił się w powitalnym grymasie. Wrzasnęła więc jeszcze głośniejszym głosem, przestraszywszy tym poważnie orangutana, i odskoczyła w bok, prosto na leżącą iguanę sporych rozmiarów, która na widok intruza kłapnęła pyskiem.

Short Round przyglądał się temu z wyraźnym zainteresowaniem, ale bez jakiegokolwiek komentarza.

Willie nie była tak spokojna - z przeraźliwszym niż poprzednio krzykiem zmieniała miejsce, tym razem wpadając na drzewo i strasząc śpiącą tam sowę. Ta poderwała się w powietrze z rozgniewanym hukaniem.

Dziewczyna miała dość. Rozpoczęła gorączkowe przetrząsanie pobliskiej okolicy urozmaicając je głośniejszymi lub cichszymi okrzykami strachu, gdy trafiała na jakiś okaz okolicznej fauny.

Indy wydał sobie, pomyłkowo oczywiście, szóstą kartę i jednym zdaniem skomentował jej poczynania:

– Kłopot z nią - rzekł do swego partnera - jest taki, że cały czas jest zbyt hałaśliwa.

Po czym skoncentrował się na swoich kartach.

– Wymieniam dwie - stwierdził Shorty. Dał mu dwie karty, a sobie wydał trzy.

– A ja trzy.

– Hej! Przecież razem masz dziewięć - sprzeciwił się chłopak. - Wziąłeś cztery.

– Wziąłem trzy - Indy był nieugięty.

– Doktor Jones oszukuje - obwieścił wszem i wobec chłopak.

– Ja nie oszukuję, za to ty masz asa w rękawie - archeolog wskazał palcem na niestarannie schowaną kartę.

Willie z furią kopała puste krzaki.

– Jesteś mi winien dziesięć centów za oszustwo - stwierdził Chińczyk.

Jego partner z obrzydzeniem odrzucił karty.

– Nie mam ochoty na grę.

– Ja też.

– I nie będę cię już więcej uczył.

– Bez łaski, oszukujesz! - Short zebrał karty i odszedł na bok mrucząc coś po chińsku.

Tymczasem dziewczyna zbliżała się tyłem w kierunku Indiego, rozglądając się dziko na wszystkie strony.

– Jesteśmy otoczeni! - oznajmiła mu z przerażeniem w głosie. - To miejsce roi się od zwierzaków.

– Właśnie dlatego nazywają je dżunglą - poinformował ją uprzejmie.

– Jeśli tu jest tak, to co jest tam? - wyszeptała pokazując mu mroczny las poza zasięgiem światła z ogniska.

Spojrzał na nią z uśmiechem i odezwał się zupełnie tak jakby kontynuował poprzedni temat:

– Willie, Willie, to skrót od czegoś?

Sądziła, że się przesłyszała. Gdy zrozumiała, że nie, odpowiedziała z godnością:

– Willie to mój pseudonim artystyczny, Indy.

Shorty tłumaczący coś zawzięcie słoniowi stanął w obronie Jonesa, bądź co bądź jeszcze jej oficjalnie nie zaakceptował na stanowisku matki.

– Hej Lady! Indy dla przyjaciół, dla reszty doktor Jones!

Willie i Indy uśmiechnęli się, po czym mężczyzna odezwał się:

– To mój pseudonim artystyczny, a tak, w ogóle, to jakim cudem znalazłaś się w Szanghaju?

– Moja kariera wzięła w łeb przez Depresję i jakaś mała powiedziała mi, że dziewczyny mają dobre warunki na Wschodzie.

– Tylko show biznes? Żadnych innych ambicji?

Straszliwy krzyk wstrząsnął dżunglą. Willie przysunęła się bliżej ognia.

– Zostać przy życiu do rana - westchnęła.

– A potem?

– Mam zamiar rozejrzeć się za przystojnym i niewiarygodnie bogatym księciem - uśmiechnęła się.

– Mam zamiar wykopać takiego dla ciebie - zgodził się. - Może mamy coś wspólnego?

– Hm?

– Chciałbym, aby mój książę był bogaty i martwy i zakopany przed tysiącletkami. Majątek i sława jak się coś takiego znajdzie. Wiesz o co mi chodzi - zaczął ostrożnie rozwijać szmatkę wyciągniętą z kieszeni. Tę samą, którą dał mu ostatniej nocy w Mayapore przybyły chłopiec.

Przysunęła się bliżej.

– To dlatego nas tam ciagniesz? Majątek i sława? Podał jej szmatkę.

– To fragment starego manuskryptu. Przedstawia Sankarę, kapłana. Ten manuskrypt musi mieć parę stuleci. Ostrożnie!

Podał jej materiał, na którym był piktogram w wypłowiałych barwach czerwieni, złota i błękitu.

Shorty również przysunął się do nich zaglądając Willie przez ramię.

Oboje byli pod wrażeniem powagi jaka dźwięczała w głosie Indiany. Przyciągnęło to nawet uwagę słoniątka - które zbliżyło się do nich i położyło trąbę na ramieniu dziewczyny. Ta podskoczyła i strąciła ją z siebie zwracając uwagę na piktogram.

– To jest coś w rodzaju pisma?

– Tak, sanskryt. Jest to część legendy o Sankarze. Miał on się wspiąć na Mount Kalisa, gdzie spotkał Siwe - hinduskiego boga.

Słonik ponownie umieścił trąbę na ramieniu Willie i ponownie została ona stamtąd zrzucona.

– Przestań! - rozkazała mu, po czym zwróciła się do archeologa. - A więc to jest Siwa? A co on daje kapłanowi?

– Kamienie. Kazał mu iść i walczyć ze złem i żeby mu pomóc dał mu pięć świętych kamieni, które miały magiczne właściwości.

Słoniątko po raz trzeci uniosło trąbę i położyło ją na ramieniu Willie. Ta poczuła, że jej cierpliwość błyskawicznie dobiega końca.

– Magiczne kamienie. Mój dziadek spędził całe życie z królikami w dłoniach i gołębiami w kieszeni - dzięki niemu masa dzieciaków była szczęśliwa, a mimo to umarł jako biedny człowiek. Magiczne kamienie - parsknęła.

– Majątek i sława! Dobranoc Jones! - Oddała mu szmatkę i ruszyła w stronę skałki, koło której rozłożyła swój koc.

– Gdzie idziesz? - zdziwił się Indy. - Spij bliżej ognia. Tak jest bezpieczniej!

Przyglądał się jej z mieszaniną zaskoczenia i przestachu, przyznając w duchu, że mu się podoba. Ona dla odmiany nie była ani zaskoczona, ani przestraszona, tylko pewna swego i nie obejrzała się.

– Doktorze Jones, sądzę, że byłabym bezpieczniejsza śpiąc z wężem niż z panem.

Nigdy nie ufała mężczyznom, którzy sami nie wiedzieli czego chcą, albo nie umieli tego jasno określić.

W tej samej chwili potężny pyton opuścił się ze zwisającej nad jej głową gałęzi i zaczął owijać się wokół jej ramienia.

Short Round był przestraszony. Indy tak przerażony - węże wzbudzały w nim obrzydzenie - że praktycznie zamienił się w skamieniały z wrażenia posąg. Jediną rzeczą, której bał się bardziej były świeże jajka. Nie wiedział, dlaczego tak się dzieje i wcale go to nie obchodziło. Wiedział

tylko, że ze wszystkich stworzeń jakie istniały, istnieją i będą istnieć na tym świecie węże przyprawiały go o paniczny lęk i chęć natychmiastowej ucieczki.

Willie przekonana, że jest to kolejna próba słońątka, straciła resztki cierpliwości; sięgnęła za siebie nawet nie patrząc, złapała gada za szyję i odrzuciła w bok.

– Powiedziałam ci już, żebyś się odczepił! - wrzasnęła wściekła.

Indy poczuł, jak mija mu stan całkowitego bezwładu, zaczął dygotać i obfity pot wystąpił mu na czoło. Wąż zniknął wśród liści.

– Nienawidzę tej dżungli - mruknęła do siebie Willie - nienawidzę tego słońa, nienawidzę tego całego wyjazdu!

Tygrys bengalski przeciął polanę za ich plecami, nie zwracając na nich żadnej uwagi i nie zauważony przez nikogo.

Indy ocknął się z letargu, wziął parę głębokich wdechów i wstał. Zabrał się do dorzucania drew do ognia. A potem do gromadzenia większej ilości drewna - na zapas - o wiele większej ilości.

Obóz zwinęli tego ranka bardzo wcześnie, aby wyjechać w dalszą drogę i ujechać jak najdalej, zanim się zacznie południowy skwar. Wszędzie wokół rozbrzmiewały odgłosy życia zwierząt, ale nie były tak przeraźliwe czy mrozące krew w żyłach jak minionej nocy.

Willie czuła się jak na wycieczce w jakimś gigantycznym ogrodzie zoologicznym.

Short Round był pogrążony w konwersacji z Big Short Roundem umacniając się w przekonaniu, którego właśnie dzisiaj nabrał, że duch jego zaginionego brata Chu dzięki podróży na Kole Przemian został umieszczony w ciele tego zwierzęcia. Doprowadziły go do tego wniosku następujące przesłanki: Chu miał zawsze wyśmienity humor - słoń też, Chu bardzo lubił Short Rounda - to samo można było powiedzieć o słońiu, no i przyzwisko Chu brzmiało Buddha z powodu wielkości jego małżowin

usznym, co do uszu słonia to nie trzeba było o tym w ogóle wspominać! Tak więc dyskutował ze swoim bratem o pewnych zawiłych, a nader ciężkich problemach, o których rozmawiać można tylko z rodziną i na tym radosnym zajęciu mijał mu czas, tym bardziej że słoń przyznawał mu rację w kwestiach spornych.

Akurat zastanawiał się nad tym, co będzie najciekawsze w Ameryce, gdy wyszli na równinę i zobaczyli w dali zarysy pałacu Pankot. Był całkowicie biały i na tle otaczającej go zieleni wyglądał jak perła na zielonym pluszu.

– Indy, zobacz! - krzyknął chłopiec.

– Oto Pankot - mruknął w zadumie mężczyzna.

Wszyscy przyglądali się przez pełną minutę temu widowisku w milczeniu, po czym kawalkada ruszyła ku widniejącym w oddali budynkom.

Było już dobrze po obiedzie, gdy osiągnęli wreszcie wzgórze, na których położony był pałac.

Właśnie mieli wejść na najniższe partie muru, gdy Sajnu zatrzymał słonia głośnym okrzykiem.

– *Navath thana!* - dobiegł po chwili jego głos drżący z przerażenia.

Archeolog zląkł ze słonia i podążył w stronę głosu. Gdy zbliżył się do przewodnika zobaczył, że ten wpatruje się w coś powtarzając z przestraszeniem:

– *Winasayak, maha winasayak.* (Nieszczęście, wielkie nieszczęście).

Indy stuknął go w ramię, co spowodowało gwałtowny odskok Hindusa, po czym paniczną ucieczkę ku stojącym na ścieżce współtowarzyszom.

Teraz Jones mógł zobaczyć, co tak przeraziło Sajnu. Była to niewielka statuetka wykuta w kamieniu i strzegąca przejścia, przedstawiająca kilkuramienną boginię. Miała wokoło bioder naszyjnik z małych, ludzkich

czaszek. Także w każdej ręce trzymało za włosy czaszkę. Twarz bogini wykrzywiona była w demonicznym grymasie.

Kali - pomyślał Indy. - Bogini złodziei, morderców i zła. Sama figurka nie wywarła na nim żadnego wrażenia, wywarł je natomiast fakt, że bóstwo było najwyraźniej z powrotem w łaskach okolicznych mieszkańców - wokół posążka leżały zabite ptaki i węże, a na szyi wisiał naszyjnik, obok rzeźbionego, autentyczny z obciętych ludzkich palców.

Obrócił się i podszedł do stojącej na środku drogi procesji. Wszyscy stali zbici w gromadkę opodal słoni, a Willie i Shorty właśnie z nich schodzili.

– Dlaczego się zatrzymujemy? - dopytywała się dziewczyna.

– Czemu się przyglądałeś, Indy? - małego Chińczyka nurtował inny problem.

Zignorowawszy oba pytania Amerykanin wdał się w konwersację z Hindusem, ale Sajnu nie dawał się przekonać. Potrząsał z uporem głową i zakończył dyskusję stwierdzeniem:

– *Aney bebe mahattaya* - na co przewodnicy rozpoczęli czym prędzej wycofywanie słoni.

Zaskoczyło to niemile Willie. Pobiegnęła w ich stronę z okrzykiem:

– Nie, nie! Indy, oni kradną nasze pojazdy!

– Dalej pójdziesz pieszo - poinformował ją z kamiennym spokojem.

– Nie! - pomimo wczorajszych przeżyć polubiła to wielkie bydlę, na którym jechała, no i rzecz jasna zdawała sobie sprawę z tego jakim udogodnieniem jest jazda wierzchem na słoniu w porównaniu z pieszą wędrówką przez tę przerażającą płataninę.

Short Round patrzył bez słowa, jak przewodnicy zawracają słonie i odchodzą z nimi. Jego wielki przyjaciel odwrócił głowę i spojrzał nań.

– Słoniku! - zawołał.

To nie było w porządku, żeby jego zaginiony przez tyle lat brat powrócił doń tylko na dwa dni i znowu zniknął. Chyba że przybył właśnie, aby

wyjaśnić nieporozumienia z dawnych lat i pomóc mu podjąć decyzję w paru ważnych sprawach. Może teraz, skoro to już załatwili Chu musi ponownie odejść - trudno mu było to zaakceptować czy też nawet zrozumieć, ale czyż nie wyglądało na to, że Chu się uśmiecha? A poza tym co z tym cyrkiem?

Słonik zamachał uszami na dźwięk jego głosu, po czym wzniósł trąbę i zaryczał. Short Round starał się bardzo, żeby się nie rozpłakać.

Indy powrócił do kamiennej rzeźby i przyglądał się jej w milczeniu.

– Doktorze Jones, na co pan patrzy? - zainteresował się chłopiec. Skarb to nie to samo co utracony ponownie brat, ale zawsze coś.

– Nie podchodź tu! - wrzasnął zapytany.

Nie chciał, żeby któreś z nich przyglądało się temu co stało przed nim, a już najmniej naszymi. To była przerażająca rzeźba, pełna kultowej mocy. W najlepszym wypadku mogła się przyśnić w charakterze sennej zmory, w najgorszym... Powrócił do czekającej dwójki i powtórzył:

– Odtąd pójdziemy na piechotę.

Późnym popołudniem wyszli na wykładaną kamiennymi płytami drogę, która biegła wzdłuż wysokich murów otaczających zamek. Willie bosy z pantoflami w ręku szła kulejąc o parę jardów za nimi i mruzczała:

– ...o mało co mnie nie zastrzelono, wypadłam z samolotu, prawie utonąłam, zostałam zaatakowana przez nietoperze i małpy, śmierdzą jak słoń... - nagle poczuła, że nie jest w stanie już zrobić kroku i krzyknęła w stronę oddalającej się pary pleców:

– Mówię ci, że nie mam już sił!

Indiana stanął, zwrócił się ku niej i był na najlepszej drodze do skomentowania tego co usłyszał, kiedy ich oczy nagle się spotkały. Coś co zobaczył w jej oczach spowodowało, że się powstrzymał. Coś co ona zobaczyła ucieszyło ją natychmiast. Bez słowa wziął ją na ręce i ruszył

przed siebie. Była zaskoczona i zdezorientowana - ale nie stwierdzała, żeby to było nieprzyjemne.

– Jeszcze jakieś zażalenia? - zapytał.

– Tak - uśmiechnęła się. - Żałuję, że nie pomyślałam o tym wcześniej.

Short Round przewrócił oczami w zachwycie. Takie coś widział w kinie tylko raz - Gable zrobił tak w „Zdarzyło się to pewnej nocy”. Uważał, że to było ładne.

Indy doniósł ją aż do potężnej bramy wjazdowej. Tu postawił ją na ziemi i poprawił kołnierzyk koszuli.

– Obyło się bez widocznych zniszczeń - uśmiechnął się.

Willie obróciła się i zobaczyła w całej okazałości po raz pierwszy pałac Pankot. Gwizdnęła z wrażenia. Był wspaniały - ekstrawagancka mieszanina stylów Moghul i Rajputu, oświetlony promieniami zachodzącego słońca. Jednym słowem - wstrząsający.

Trójka podróżników ruszyła powoli przez wspaniały most ku głównej bramie.

V.

Niespodzianka w sypialni

Gwardia pałacowa flankowała obie balustrady mostu. Rosłe, brodate chłopcy w czerwonych strojach i czarnych turbanach z szablami przy boku i włóczniami w dłoniach wyprężyli się na widok przybyłych.

Willie w pierwszym momencie podskoczyła z wrażenia, ale ponieważ wartownicy nie wykonali żadnych więcej ruchów, uspokoiła się i nawet poczuła zadowolona. Lubiła zwracać uwagę i tylko żałowała, że nie włożyła butów przed wejściem. Wypadłoby okazalej.

Przeszli nie zatrzymywani przez most i ciemną bramę prosto do jaśniejszego światłem słonecznym przedsionka.

Kwarcowe ściany, wyłożona marmurem podłoga, kolumny z lapis lazuli, strzeliste okna z rzeźbionymi fasadami ...zupełnie jak mauzoleum jakiegoś dostojnika. I tak samo ciche i puste.

– Halo! - krzyknął Indy.

Jego głos rozbudził jedynie echo gdzieś w głębi pałacu. Po chwili po drugiej stronie dziedzińca pojawiło się trzech rajputańskich gwardzistów. Nie wyglądali na równie uprzejmych jak ich bracia pilnujący mostu.

– Hej - powiedziała na powitanie Willie, ale jedyną odpowiedzią było echo.

Kilka chwil później pomiędzy strażnikami pojawił się wysoki, dobrze wyglądający Hindus ubrany w biały angielski garnitur. Przyjrzał się uważnie, choć z lekkim zaskoczeniem, przybyłej trójce.

Zaskoczenie było zrozumiałe, gdyż skład i wygląd przybyłych był co najmniej dziwny - blond piękność w zmiętej męskiej koszuli i postrzępionych spodniach (też męskich), przepoconej (także męskiej)

marynarce, trzymająca w ręku buty i brokatową suknię; brudny chiński chłopak w amerykańskiej baseballowej czapce i bandyta z pejczem w dłoni. W końcu Hindus ruszył ku nim, aby przyjrzeć się bliżej. Jego nazwisko brzmiało Chattar Lal.

– Powiedziałbym, że wyglądacie na trochę zagubionych - uśmiechnął się lekko. - Ale nie mogę sobie wyobrazić, w jakim miejscu na świecie wasza trójka wyglądałaby tak jakby znalazła się w domu.

Indy przesłał mu uśmiech z gatunku: „Jestem tam, gdzie chcę być, niezależnie od tego gdzie jest to tu” i odezwał się:

– Zagubieni? Nie, jesteśmy w drodze do Delhi. Pozwoli pan, że nas przedstawię: Miss Scott, Mr. Round. Moje nazwisko Indiana Jones.

Chattar Lal zachwiał się jakby mu dano niespodziewanie w łeb.

– Doktor Jones? Słynny archeolog? - wyjąkał.

– Trudno w to uwierzyć, nieprawdaż? - spytała z przekąsem Willie.

Hindus przyszedł już do siebie.

– Pamiętam, że po raz pierwszy usłyszałem o panu podczas moich studiów w Oxfordzie. Jestem Chattar Lal, premier Jego Wysokości Maharadży Pankot. - Skłonił się ceremonialnie. - Witamy w Pankot!

Poprowadził ich przez centralny dziedziniec, otoczone kolumnami schody, wewnętrzny dziedziniec, do komnaty wyłożonej lustrami, z fontanną z kości słoniowej na środku. Ale to nie był koniec drogi, szli dalej przez korytarz, na którego ścianach wisały portrety. Bez wątplenia była to dynastia książąt Pankot. Twarze były różnorodne, od przystojnych poprzez zniewieściałe, do zdecydowanie brzydkich, w różnym wieku i z różnymi grymasami na obliczach.

Willie szeptała do Short Rounda, gdy mijali kolejne obrazy:

– Jakby ci się podobało spotkać go w ciemnej ulicy?

– Ten jest dość przyjemny.

– Za tego mogłabym nawet wyjść. Jak ci się to podoba „księżna Willie”?
Idący przed nimi Chattar Lal wypytywał Jonesa tonem pośrednim między zdziwieniem a niedowierzaniem.

– Samolot miał defekt i wasza podróż stała się ... trochę dziwna, że się tak wyrażę.

Usłyszała to Willie.

– Szkoda, że pana tam nie było! - parsknęła.

– Bylibyśmy wdzięczni, gdyby maharadża pozwolił nam przenocować.
Rankiem wyruszymy w dalszą drogę - Indy wolał zmienić temat.

– Jestem tylko sługą - skłonił głowę premier - ale maharadża przeważnie słucha moich rad.

– To on? - spytała Willie pokazując na ostatni z długiej linii portretów.
Przedstawiał posuniętego w latach, korpulentnego Hindusa. - Nie można powiedzieć, żeby był pomnikowo przystojny - mruknęła do siebie.

– Nie, nie - zaprzeczył Chattar Lal. - To Shafi Singh, ojciec aktualnego władcy.

– To dobrze - ucieszyła się nie wiedząc dlaczego Willie. - A może obecny maharadża jest troszeczkę młodszy? Albo chudszy?

Zanim zapytany miał możliwość odpowiedzieć, z bocznych drzwi wyłoniły się dwie służące i skłoniły na powitanie.

Chattar Lal skinął w kierunku piosenkarki.

– Zaprowadzą panią do jej pokoju. Będzie pani mogła się umyć i zmienić rzeczy. Dziś w nocy będziemy jedli kolację z Jego Wysokością.

– Kolacja? - wyjąkała Willie. - Z księciem? Hej, moje szczęście do mnie wraca!

Popatrzyła na swoje odbicie w najbliższym lustrze.

– Ale spójrzcie na mnie! Mój Boże, muszę coś ze sobą zrobić! - I pospieszyła w ślad za służącymi.

– O dwudziestej w Pawilonie Rozkoszy, doktorze Jones - przypomniał Hindus z uśmiechem.

Obaj skłonili się sobie, każdy mniej głęboko od drugiego.

Otoczenie i sam Pawilon Rozkoszy były oświetlone złocistym blaskiem, rozsiewanym przez dziesiątki kandelabrow. Powietrze było przepełnione wonią jaśminów, róż i innych kwiatów rosnących w ogrodzie, zaś wokół rozlegały się dyskretne dźwięki fletów i tamburynów. Wnętrze sali wypełniał tłum ministrów, kupców i innych dostojników rajputańskich. W jednym z jej narożników stał skromnie Indiana Jones ze swą obstawą przy boku, czyli Short Roundem. Amerykanin ubrany był w swój naukowo-uroczysty strój: tweedową marynarkę, czarne spodnie, okulary w rogowej oprawie. Jego buty lśniły jak lustro, a koszula, dzięki staraniom pałacowej służby, aż kłuła w oczy swą bielą.

Był natomiast nie ogolony - zdecydował zostawić swój trzydniowy zarost, a poza tym nie chciał, żeby Willie nabrała nieoczekiwanych nadziei co do jego zamiarów.

Short Round również był wymyty i miał wyprane ubranie, ale zmiany rzeczy czy zdjęcia czapki odmówił kategorycznie.

– Rozejrzyj się Shorty - powiedział Indiana.

– Chciałbyś mieć coś takiego?

– No pewnie!

– Błąd. Jest piękny, prawda, ale śmierdzi zgnilizną. Czujesz?

Chińczyk posłusznie pociągnął nosem.

– Ja ... też tak sędzę - nie czuł zapachu zgnilizny, ale Indy zawsze miał rację, może więc faktycznie czuć zgnilizną. Bo coś śmierdziało, jakiś taki słodkawy zapach trudny do określenia.

– Dobry chłopak - uśmiechnął się archeolog. - Widzisz, to jest bardzo piękne miejsce, przyznaję. I może być całkiem przyjemnym miejscem na składanie wizyt. Ale nie chciałbym tu mieszkać.

– Ja będę żył w Ameryce - przypomniał Shorty.

– Weź na przykład ten zegar z kości słoniowej. - Indy chciałby go wziąć i to prosto na swój uniwersytet. Był pięknym wyrobem rzemieślników z Tamil, ale nie o to mu w tej chwili chodziło. - Został krótko mówiąc ukradziony z sąsiedniego królestwa. I to na pewno niedawno, gdyż ten pałac meblowano powtórnie parę lat temu.

– Ach, to tak jak my - ucieszył się chłopak. - Oni znajdują nowe domy dla różnych rzeczy.

Indy odchrząknął.

– Nie sądzę, żeby to było to samo, Shorty.

Chińczyk zamilkł zawstydzony, ale po chwili domyślił się o co mogło chodzić Jonesowi.

– Aha, oni nie potrafią czytać?

– Zgadza się - Indiana zdecydował zostawić na razie sprawę na tym etapie. - Oni nie potrafią czytać.

– Ale sądzę, że cyfry znają dobrze - dodał chłopiec. Sądził, że tak bogaci ludzie musieli znać cyfry, choćby po to, żeby liczyć pieniądze.

– Umiesz obserwować - uśmiechnął się Amerykanin, przyglądając się uważnie tym wszystkim wielkim skarbowom, jakie były zgromadzone w pałacu.

Chattar Lal pojawił się przy wejściu skupiając na sobie uwagę wszystkich obecnych. Obok niego stał kapitan kawalerii angielskiej w galowym mundurze.

Premier zbliżył się do miejsca, gdzie stali dwaj przyjaciele.

– Mamy szczęście gościć dziś w nocy wielu nieoczekiwanych gości - odezwał się. - To jest kapitan Phillip Blumburt.

Kapitan skłonił się obu stojącym. Był w każdym calu gentelmanem, poza tym miał około sześćdziesiątki, sumiastego wąsa, początki łysiny i

cztery medale na piersi.

– Hello - skinął głową Indy. - Widziałem jak pańskie wojsko zbliżało się tu o zmierzchu.

– Rutynowa podróż inspekcyjna - odparł kapitan z lekkim lekceważeniem.

– Anglicy tak się martwią, gdy chodzi o swoje imperium - Chattar Lal starał się, aby jego słowa brzmiały miło.

– Wygląda na to, że pan ma trochę mniejsze imperium, ale też jest się o co martwić - uśmiechnął się Indy.

Akurat, gdy tak sobie miło gawędzili, w przejściu prowadzącym na ogród pojawiła się Willie.

Indy dotąd podziwiający architekturę pawilonu zaczął podziwiać jej architekturę. A było co podziwiać. Dziewczyna umyła się i pomalowała, miała na sobie jedwabne sari o zachodnim kroju - wycięte z przodu w kształcie litery V. Zakończenia lamowane brokatem. Na jej uczesanych w fantazyjną fryzurę włosach była udrapowana tiara z diamentów i pereł, złote kolczyki podkreślały owal twarzy, złoty naszyjnik spływał na piersi, a delikatny muślinowy szal podpięty do tiary opuszczał się na plecy. Była to przedziwna przemiana.

– Wyglądasz jak księżniczka - powitał ją Indy.

Jak daleko sięgała pamięcią była to pierwsza miła uwaga jaką od niego usłyszała. Mało brakowało a usiadłaby z wrażenia na podłodze. Blumburt i Lal także prawili jej komplementy. Ogólnie rzecz biorąc sprawiło jej to dużą przyjemność. A czekały ją i następne; premier stwierdził, że kolacja się wkrótce zacznie i poprowadził ich w stronę jadalni. To jej przypomniało, że dzisiaj jeszcze nic nie jadła i coś skręcało ją z głodu. Właśnie miała ruszyć za Chattar Lalem, gdy Indy złapał ją pod ramię.

– Nie podniecaj się za bardzo - szepnęła uprzejmie. - Zaczynasz się ślinić.

– I pomyśleć, że tu jest tak jak w niebie - Willie była nadzwyczaj pogodna. - Wyobraź sobie, książę! Do tej pory moją największą zdobyczą był jakiś rozparcelowany hrabia.

Przeszli przez wewnętrzny ogród. Willie, pod ramię z Indym, z oczami błyszczącymi jak u dziecka podczas wigilii.

Short Round podążał kilka kroków za nimi, ot tak, na wszelki wypadek, no i po to, żeby napawać się ich widokiem. Wyglądali po pierwsze bardzo ładnie, a po drugie tak, jak powinni wyglądać jego wymarzeni rodzice. Zatrzymał się na chwilę, aby posłać prośbę do swoich ulubionych niebiańskich opiekunów (Gwiazdy Szczęśliwości, Gwiazdy Dobroci i Gwiazdy Miłości), aby ten moment został uwieczniony w Niebiańskich Archiwach. W ten sposób w razie potrzeby mógł zostać na życzenie zreprodukowany. Zakończył modły i pognął za znikającą parą do jadalni.

Jadalnia, jak i wszystkie pozostałe komnaty pałacu, była swoistym i niepowtarzalnym cackiem architektonicznym.

Masywne, granitowe kolumny podtrzymywały sufit. Alabastrowe konie tańczyły na płaskorzeźbach zdobiących ściany, podłoga była wyłożona mozaiką z rzadkich gatunków drzew. Kryształowe żyrandole wysyłały potoki światła aż do najbardziej oddalonych zakątków komnaty. W jej centrum stał długi, niski stół i niskie pufy. Miejsc i złotej, rzecz oczywista, zastawy było na sto dwadzieścia osób.

Dwie pary drzwi: te, którymi weszli - otwarte i zamknięte w przeciwległej ścianie, strzeżone były przez nieruchomych jak posągi rajputańskich strażników.

Z boku, pod jedną ze ścian, muzycy grali jakąś wschodnią jękliwą melodię, a skąpo odziana w muśliny tancerka wyginała się ekstatycznie w jej rytm.

Indy rzucił na nią okiem i stwierdził z uśmiechem:

– Zawsze miałem słabość do artystów ludowych. Willie obejrzała się na tancerkę i stwierdziła z przekąsem:

– Nieźle się stara, ale radzę jej uważać na ciebie, bo możesz ją doprowadzić do takiego położenia w jakim ja jestem.

Posłała mu mordercze spojrzenie, po czym zainteresowała się premierem.

– Oh, Mr. Lal, ciekawa jestem pańskiej opinii na temat żony maharadży.

– Jego wysokość nie wziął sobie do tej pory żony - wyjaśnił uprzejmie Chattar Lal.

– Nie? - zdziwiła się. - No to sądzę, że nie spotkał do tej pory właściwej kobiety.

Podczas gdy Willie i premier pograżyli się w rozmowie, roztrząsając szczegóły życia Jego Wysokości, Indiana skierował się ku jednej ze ścian, na której rozrzucona była w artystycznym nieładzie kolekcja kilkudziesięciu statuetek z brązu. Jedna z nich, szkaradnie wykrzywiona, zwróciła jego uwagę. Zdjął ją z półki i zabrał się do dokładnego oglądania, gdy koło niego pojawił się Blumburtt.

Skrzywił się na widok tego, co archeolog trzymał w dłoni.

– Czarujące - mruknął z obrzydzeniem. - Co to jest?

– Nazywa się Krtya - objaśnił go Indy. - Jest odpowiednikiem afrykańskiego voodoo. Krtya przedstawia nieprzyjaciela i daje posiadaczowi całkowitą władzę nad nim.

– Znowu jakiś zabobon - parsknął kapitan. Jones przybrał mentorski ton:

– Wy, Brytyjczycy, sądzicie, że władacie Indiami. Tyle że jest to złudzenie. Tak naprawdę to rządzą nimi nadal starzy bogowie...

Przypomniał sobie rzeźbę przed pałacem i nagle odechciało mu się kogokolwiek o czymkolwiek pouczyć.

Blumburtt wyglądał na zadowolonego takim obrotem sprawy. Indy odstawił posążek akurat w chwili, gdy przybiegła podekscytowana Willie.

– Wiesz, maharadża praktycznie tonie w gotówce - powiedziała do niego.
- Może przybycie tu nie było takim całkowicie głupim pomysłem.

Anglik uniósł brwi w niemym zdumieniu wpatrując się w osobę mającą czelność mówić o takich rzeczach w miejscu publicznym.

Indy uśmiechnął się z lekkim politowaniem.

Z kąta muzyków doszło nagle basowe bicie bębna.

– Sądzę, że jesteśmy proszeni do stołu - stwierdził kapitan ratując w ten sposób sytuację.

– Nareszcie! - krzyknęła uradowana dziewczyna.

Blumburtt postanowił sobie nieodwołalnie unikać tych ludzi jak tylko się da.

Indiana wziął Willie pod ramię i podprowadził do stołu.

W takt niestrudzenie wybijającego bębna, goście zajęli miejsca przy stole.

Miejsce u szczytu stołu pozostało wolne. Po prawej jego stronie obok Blumburtt, siedział Indy, po lewej Willie, obok Shortiego. Chattar Lal stojący opodal dwukrotnie klasnął w dłonie i zaanonsował - najpierw w swoim ojczystym języku, a potem po angielsku:

– Jego Najwyższa Wysokość, Strażnik Tradycji Rajputu, Maharadża Pankot, Zalim Singh.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę kutech w srebrze dwuskrzydłowych drzwi, znajdujących się o jakieś dziesięć stóp od premiera.

Ledwie ten skończył mówić otworzyły się na oścież i ukazał się maharadża Zalim Singh.

Wszyscy przebywający w komnacie zgięli się w ukłonie.

Indy nie odmówił sobie przyjemności popatrzenia kątem oka na Willie. Nie byłaby kobietą, gdyby od razu nie spojrzała na wchodzącego. A

ponieważ była stuprocentową kobietą zrobiła to wyginając się nienaturalnie i ryzykując dożywotniego zeza.

Z wewnętrzną satysfakcją Indiana zobaczył jak opada jej szczeka. Zalim Singh był bowiem obiecującym i pełnym dostojeństwa, ale zaledwie trzynastoletnim chłopcem.

– Ten dzieciak? To ma być maharadża? - szepnęła piosenkarka. Nigdy dotąd Indy nie słyszał w ludzkim głosie tyle niedowierzania.

– Może on lubi dojrzałe kobiety - zasugerował.

Władca zbliżył się tymczasem do stołu. Odziany był w srebrzysto-złotą brokatową tunikę wyszywaną drogimi kamieniami, a jego turban był nimi pokryty całkowicie. Oprócz tego miał kolczyki, pierścionki i łańcuchy również usiane tym samym towarem. Na szczycie turbanu diadem w kształcie fontanny zwieńczony był brylantem rozmiarów kurzego jaja. Z tej powodzi drogich kamieni wyłaniała się twarz chłopca, ale bez cech charakterystycznych dla swego wieku - była myśląca, poważna i nawet całkiem ładna.

Rozejrzał się po zgiętym w ukłonie tłumku patrząc kolejno na każdego... aż doszedł do Short Rounda. Ten bowiem wcale nie był zgięty w ukłonie, co tam w ukłonie, nawet głowy nie pochylił. Stał sobie spokojnie w swojej baseballowej czapeczce i patrzył prosto w oczy temu gówniarzowi, któremu się przewróciło w głowie i który sądził, że jest tu wszechmocny.

Nie da się ukryć, że obaj od pierwszego spojrzenia darzyli się głębokim i serdecznym uczuciem niechęci.

Indy posłał Shortiemu przez stół ostrzegawcze chrząknięcie i chłopak schylił głowę, ale obrócony twarzą w stronę Indiany.

W końcu maharadża spoczął na złotej poduszce i goście mogli przestać się zginać.

Jones uśmiechnął się z sympatią do Willie, przecież po rozwianiu się marzeń o monarchii należało się jej coś miłego.

– Głowa do góry! - mruknął pocieszająco. - Straciłaś swojego księcia, ale kolacja jest już w drodze.

To było dokładnie to, czego potrzebowała. Wróciła na ziemię.

– W życiu nie byłam taka głodna! - jęknęła. Służba pojawiła się ze srebrnymi półmiskami, na których się piętrzyły potrawy.

Willie zamknęła oczy rozkoszując się smakowitymi zapachami. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła po ich otwarciu był dzik upieczony w całości, jeszcze ze strzałami wbitymi w grzbiet i brzuch. W rozciętym podbrzuszu było widać małe - upieczone we wnętrzu matki. Półmisek przyozdobiony był paroma warchlakami też upieczonymi w całości.

Skrzywiła się z obrzydzeniem.

– Mój Boże, co to za obrzydlistwo?

Indy podniósł brwi w niemym zaskoczeniu. To było raczej dziwne - Hindusi nie jedzą mięsa, a już wieprzowiny w ogóle. Zerknął na Blumburtt - oficer wyglądał na ciężko zamyślonego. Willie w dalszym ciągu wpatrywała się z osłupieniem w stojący na stole półmisek.

Młody maharadża skinął dłonią i wyszeptał coś do pochylonego ku niemu Chattar Lala. Ten skinął potakująco i zwrócił się do siedzących przy stole:

– Jego Wysokość, przez moje usta pragnie powitać swoich gości, a specjalnie znanego i sławnego doktora Jonesa z Ameryki.

Indy skłonił się w stronę młodego radży.

– Jesteśmy zaszczyceni, Wasza Wysokość - powiedział.

Mała małpka wskoczyła na ramię Short Rounda, ukradła kwiatek z półmiska i wykrzywiła się pociesznie. Chłopiec zachichotał. Zwierzątko zabrało mu czapkę. Shorty odebrał ją z powrotem. Uścisnęli sobie dłonie coś do siebie szepcząc.

Indy kontynuował nieobowiązującą konwersację z Chattar Lałem, a Willie ciągle wpatrywała się w półmisek.

– Mam pytanie, panie premierze - zabrał głos Jones. - Oglądałem kilka eksponatów, jakie...

– Ładna kolekcja starożytności, nie sądzi pan? - wtrącił rozmówca.

– Nie jestem taki pewien, czy wszystkie można nazwać starożytnościami. Niektóre z nich dziwnie przypominają narzędzia używane przez Thugów, wyznawców Kali.

Gdy padło słowo „Thugowie” zapadła nagła cisza, a obecni Hindusi wpatrywali się w archeologa, jakby popełnił poważne świętokradztwo. Chattar Lal wykonał straszliwą pracę - udało mu się zapanować nad twarzą, ale nad głosem już nie zdołał:

– To niemożliwe, doktorze Jones - głos był zimny i prawie groźny.

– Wydaje mi się, jeśli dobrze pamiętam, że ta prowincja była centrum ruchu Thugów - Indy zdawał się niczego nie zauważać.

– Oh, Thugowie - do rozmowy wmieszał się Blumburt - straszne dzikusy, napadali i mordowali podróżnych. Słusznie pan przypuszcza, to było w tym rejonie. Walka z nimi została zakończona przez oficera brytyjskiego, majora...

– Sleemana - przerwał mu Indy. - Majora Williama Sleemana.

– Tak się nazywał - zgodził się kapitan.

– Spenetrował on dokładnie kult jako jeden z jego wyznawców i potem wykończył przywódców - kontynuował Jones. - W 1830 jeśli mnie pamięć nie myli. Nadzwyczajny człowiek.

– Ma pan zadziwiającą pamięć do dawno minionych spraw - wtrącił Chattar Lal z rosnącym zainteresowaniem.

– To mój zawód - zauważył Indy.

– Doktorze Jones - odezwał się w odpowiedzi premier - powinien pan także wiedzieć, że kult ten nie istnieje od ponad stu lat.

– Oczywiście - zgodził się Blumburt. - Mieli dziwny zwyczaj składania bogini Kali ofiar z ludzi. Armia brytyjska nie toleruje takich rzeczy.

Dlatego też zajęto się nimi szczególnie troskliwie.

Na stół przywędrował drugi półmisek - parujący jeszcze boa otoczony smażonymi mrówkami. Jeden ze służących rozciął potężne cielsko, ukazując drgającą masę żywych wężyków w środku.

Willie zrobiła się dziwnie blada. Siedzący obok niej kupiec chrząknął z wyraźnym zadowoleniem.

– Ach! Wąż, niespodzianka!

– Ładna niespodzianka - jęknęła słabo. Jakoś tak się dziwnie składało, że była mniej głodna niż poprzednio.

Indiana kontynuował tymczasem wymianę poglądów z premierem.

– Wydaje mi się, że historie o Thugach nadal krążą po okolicy - stwierdził z niewinnym uśmiechem. (Zwłaszcza jak mają podstawy - dodał w myślach).

– Nie ma takich historii - zaproponował twardo Chattar Lal.

– Nie chciałbym się spierać, ale przybyliśmy tu z małej wioski - odparł Indy łagodnie. - Jej mieszkańcy powiedzieli nam, że w pałacu Pankot ponownie rośnie moc z powodu jakiegoś starego i złego bóstwa.

– To tylko przesady i zabobony - parsknął Hindus.

– Tak też sądziłem - powiedział miękko archeolog. - Ale kiedy zbliżyliśmy się do drogi pałacowej znalazłem kamienną rzeźbę. Rzeźbę bogini Kali - bogini śmierci, zniszczenia i chaosu.

Zalim Singh i Chattar Lal wymienili błyskawiczne spojrzenia.

Indy zauważył to.

Premier zebrał się w sobie i odparł lekkim tonem:

– Ach, tak, bawiliśmy się tam często jako dzieci. Mój ojciec zawsze mnie ostrzegał, abym nie pozwolił Kali zabrać mojego Atmana, albo duszy jak kto woli. Ale nie pamiętam tam żadnego zła, tylko radość z tego, że byłem młody. A to co pan mówi to zwykłe plotki i zabobony krążące po wsiach. Zaczął pan straszyć, jak widzę, kapitana Blumburtt.

– Nie straszyć - sprostował Blumburtt. - Tylko zainteresować.

Choć rozmowa o ofiarach z ludzi była dla Willie przerażająca, to jedzenie, jakie serwowano, było jeszcze gorsze. Właśnie gdy rozważała możliwość spożycia któregoś z kwiatów będących ozdobą półmisków, służący przechylił się przez jej ramię i położył na jej talerzu sześciocalowej długości czarnego chrząszcza.

O mały włos nie zdążyłaby złapać w porę swojego żołądka, gdy obróciwszy się z obrzydzeniem od tego widoku zobaczyła swego sąsiada - grubego i powolnego kupca - który właśnie złamał takie paskudztwo na dwoje i odrzuciwszy nogi oraz głowę z lubością wyssał resztę, zostawiając tylko chitynowe osłonki. Przed oczami zaczęły jej latać kolorowe płaty.

– Ależ pani nic nie je - zdziwił się kupiec.

– Ja... miałam na obiad robaki - wykrztusiła, wychodząc z założenia, że na posiłku z maharadzą lepiej być uprzejmą.

Tymczasem po drugiej stronie stołu toczyła się dalej zajmująca rozmowa:

– Wie pan - zwrócił się niewinnym tonem Jones do Chattar Lala - mieszkańcy tej wioski, w której nocowaliśmy, twierdzą, że pałac Pankot zabrał im coś.

– Doktorze Jones - głos premiera nagle stwardniał.

– W tym kraju goście zazwyczaj nie usiłują obrazić gospodarza.

– Przepraszam - uśmiechnął się radośnie archeolog.

– Sądziłem, że rozmawiamy o folklorze.

– Co mianowicie zostało według nich skradzione? - spytał oficjalnym tonem Blumburtt. - Gościna gościńą, ale kiedy w grę wchodzi kradzież władza musi się tym zająć.

– Święty kamień - poinformował go Jones.

– Ha! - parsknął Hindus. - Widzi pan sam, kapitanie, kamień!

Wszyscy wybuchnęli niezbyt radosnym śmiechem. Willie słyszała chrzęst pękających wokół chitynowych pancerzy chrząszczy i miała tego

dość.

– Daj mi czapkę - szepnęła pochylając się do Short Rounda.

– Po co?

– Będę rzygać!

Widząc poruszenie wśród gości zbliżył się do nich jeden ze służących.

Zebrała resztki sił i uśmiechnęła się doń pytająco:

– Słuchaj no! Czy macie przypadkiem jakieś mniej wyszukane danie, wiesz jakąś zupę, czy coś w tym rodzaju?

Zapytany skłonił się i zniknął. Powrócił prawie natychmiast z niewielką wazą w dłoniach. Umieścił ją przed Willie i zdjął pokrywkę. Był to sądząc po zapachu jakiś rosół... z tuzinem gotowanych gałek ocznych pływających po powierzchni.

Kupiec zerknął na to i pokiwał głową pełen uznania dla wyboru jakiego dokonała.

– Wyglądała wspaniale! - stwierdził.

Łzy pojawiły się w jej oczach - miała dosyć!

Indiana kontynuował drażnienie Chattar Lala:

– Sam byłem rozbawiony, ale potem coś mi się przypomniało i skojarzyłem ten kamień ze starą legendą o kamieniach Sankary.

Hindus zaczął wyraźnie tracić nad sobą panowanie.

– Doktorze Jones, wszyscy słyszeliśmy kiedyś o jakichś dziwnych i niesprawdzalnych historiach. Sam pamiętam, że w Hondurasie był pan okrzyknięty hieną cmentarną, a nie archeologiem.

– Zwykła kaczka dziennikarska - uśmiechnął się promiennie Amerykanin.

– A potem sułtan Madagaskaru zagroził obcięciem pańskiej głowy, jeśli ośmieli się pan wrócić do jego kraju - przypomniał Chattar Lal.

Indy doskonale pamiętał sułtana.

– Nie o głowę mu chodziło - sprostował.

– To może o ręce? - z błysku oka premiera łatwo można było odgadnąć, iż doskonale pamięta, że nie chodziło o ręce.

– Nie, nie o ręce - Indiana poczuł się troszeczkę zmieszany - to było... pewne drobne nieporozumienie.

– Dokładnie takie jak tutaj, doktorze Jones - podchwycił Chattar Lal. - Nieporozumienie.

Nagle głos zabrał maharadża:

– Słyszałem straszliwe historie o diabelskim kulcie Thugów.

Jego słowa uciszyły błyskawicznie salę, jakby wyrażenie przez niego opinii było czymś niespotykanym.

– Z początku myślałem, że są to bajki, którymi straszy się dzieci - kontynuował. - Potem dowiedziałem się, że ten kult faktycznie kiedyś istniał. Wstyd mi z powodu tego co miało miejsce w tym pałacu wiele lat temu. Trzymamy te posążki bożków, aby przypominały nam o tym, co nigdy więcej nie może mieć miejsca w naszym królestwie.

Pawilon pogrążył się w ciszy wstrzymanych oddechów.

– Jeśli bezwiednie obudziłem przykre skojarzenia - odezwał się cicho Jones - to przepraszam. Nie było to moim celem.

Pokój ponownie napełnił się oddechami. Służba rzuciła się zmieniać naczynia, rozmowy wybuchły ze zdwojoną siłą...

Indy poczuł się lepiej poinformowany i jednocześnie bardziej ogłupiony co do kwestii o co tu właściwie chodzi.

– Ach! - westchnął kupiec obok Willie. - Deser!

Małpka Short Rounda nagle zaskrzeczała i prysnęła przez otwarte okno do ogrodu.

Dziewczyna postanowiła nie otwierać oczu, zdając sobie sprawę, że to co zaraz podadzą będzie gorsze od wszystkiego co było dotąd. Ciekawość była jednak silniejsza - usłyszawszy brzęk srebra nie mogła się powstrzymać. Gdy je rozwarła, było już za późno!

To co miała prosto przed nosem było zdecydowanie gorsze od jej najgorszych wyobrażeń - taca pełna małpich głów. Szczyt każdej z nich został odcięty i nałożony na wierzch niczym pokrywa. Każda głowa umieszczona była na srebrnym pucharku wzdłuż którego zwieszały się długie, białe włosy małpiego skalpu.

Short Round wyglądał na zaszokowanego.

Nawet Indy i kapitan Blumburtt wyglądali jakoś niepewnie. Willie z mieszaniną obrzydzenia i niewiary patrzyła jak maharadża i reszta Hindusów zdejmowała odcięte czaszki i zajadała się ich zawartością.

– Mrożone małpie mózdzki - westchnął z zachwytem siedzący obok kupiec.

Willie trzymała się dzielnie przez cały czas tego potwornego posiłku, ale ta uwaga przepełniła miarę jej wytrzymałości psychicznej. Świat zawirował jej przed oczami i bez jednego dźwięku padła w tył.

– Dość oryginalne menu, nie sądzi pan? - spytał Blumburtt.

Szli przez ogród po szczęśliwie szybkim zakończeniu kolacji. Ogród oświetlały setki latarni, a woń kwiatów mieszała się z wonią kadzideł.

– Nawet jeśli próbowali nas odstraszyć - mruknął Jones - to prawdziwie religijny Hinduś za nic na świecie nie ruszyłby mięsa. Ciekawe wobec tego czyimi wyznawcami stali się ci tutaj.

– Cóż... - w głosie oficera brzmiało niedowierzenie.

– Nie sądzę, żeby chcieli nas odstraszyć.

– Może nie...

– Miło było pana poznać doktorze Jones - odezwał się po chwili kapitan.

- Muszę wracać do domu.

– Mnie także, kapitanie.

Uścisnęli sobie dłonie i Blumburtt oddalił się.

– Chodź - Indiana zwrócił się do chłopaka. - Zobaczymy, czy uda nam się czegoś dowiedzieć.

Wrócili wobec tego przez kuchnię. Indy zawsze twierdził, że prawdy o właścicielach dowiaduje się najlepiej od służby.

W pomieszczeniu było z tuzin służących obojga płci zajętych sprzątaniami. Indy zagadnął jednego wyglądającego na kucharza, ale odpowiedziało mu milczenie. Zmienił dialekt - to samo. Spróbował szczęścia z kilkoma innymi - z takim samym efektem.

Na bocznym stoliku dostrzegł paterę z owocami wobec czego ją skonfiskował. Nie wywołało to żadnej reakcji u służby.

Short Round ziewnął, a Indy mu zawtórował. Przyjrzał się służącym z mieszaniną obrzydzenia i ciekawości, potem spojrzął na drzemiącego na stojąco małego Chińczyka i zdecydował, że wszyscy potrzebują nieco odpoczynku.

Pięć minut później maszerowali cienistym korytarzem do swojej sypialni.

Short Round niósł paterę z owocami i ziewał bezczelnie co dziesięć sekund. Indy gryzł jabłko. Gdy zbliżyli się do swoich drzwi Amerykanin stuknął chłopaka w głowę i odebrał mu paterę.

– Umm, myślę, że lepiej zajrzę do Willie - powiedział z lekkim uśmiechem.

– Lepiej - zgodził się Chińczyk otwierając drzwi do swojej sypialni, po czym dodał konspiracyjnym szeptem: - Ale powiesz mi potem co się działo!

Indianę wmurowało w podłogę.

– Zjeżdżaj! - rozkazał.

Short Round zamknął za sobą drzwi, ale nie całkiem. Zostawił sobie małą szparkę, ot taką, żeby mógł coś widzieć. To był przecież początek wielkiej miłosnej sceny, sceny która mogła doprowadzić do importu Short Rounda do Ameryki. Co prawda nie mogło iść źle - o tym był już

przekonany, gdyż Indy i Willie byli prawie tak idealnymi kochankami jak Hsienpo i Ying-t'ai, ale ciekawość pozostawała ciekawością. Co prawda ledwie co widział, gdyż oczy zamykały mu się same co chwilę, ale postanowił za wszelką cenę być świadkiem pierwszej sceny miłosnej w tym wspaniałym romansie.

Nieświadom tego Amerykanin podszedł do drzwi piosenkarki. Były zamknięte. Zabierał się właśnie do pukania, gdy te się otwały. Stała w nich lekko zaszokowana Willie w dalszym ciągu ubrana w książęce jedwabie.

– O, co za niespodzianka! - odezwała się.

– Mam coś dla ciebie - wychrypiął Indy przez zaciśnięte gardło.

Nie dość, że nie panował nad głosem, to miał poważne wątpliwości, czy udaje mu się ta sztuka z mięśniami twarzy. Dawno coś takiego mu się nie zdarzyło.

– Nie sądzę, żebyś miał cokolwiek czego mogłabym chcieć - zaczęła Willie, ale już w momencie wygłaszania tego frazesu wiedziała, że kłamie.

– Słusznie! - zgodził się Indy. (Nie ma sensu pchać się, gdzie cię nie chcą). Posłusznie odwrócił się, wyjął nadgryzione jabłko z zanadrza i odgryzł spory kęs.

Willie usłyszała chrupanie. Jednym susem znalazła się przy nim i wydarła mu jabłko z ręki. Nigdy nie przepadała za jabłkami, ale teraz gdy zatopiła w nim zęby i poczuła ściekający na język sok zamknęła z wrażenia oczy. To było cudowne. Gdy znów je otworzyła zobaczyła przed nosem paterę pełną: ananasów, pomarańcz, fig i innego jadalnego owocu. Westchnęła z zachwytem i zabrała tacę do swego pokoju.

Indy wszedł za nią.

Uśmiechnięty Short Round zamknął drzwi i podążył w kierunku łóżka.

Jones nie był całkiem zły - zdecydowała Willie - gdyby jeszcze był mniej zarozumiały. Jakby nie było zaopiekował się nią w końcu, a ludzie

słyszeli o nim, może więc w końcu miał już jakąś sławę? A teraz jeszcze ta taca no i... był naprawdę miły. Poza tym byli o tysiące mil od cywilizacji.

Włożyła do ust parę winogron i uśmiechnęła się do przedmiotu swoich myśli sterczącego nieruchomo w drzwiach. W odpowiedzi też się uśmiechnął. Cóż, dziewczyna desperacko go potrzebowała - to było widać. Nie miał nic przeciw temu. Ba! Był nawet jak najbardziej za tym. Zrobił krok do przodu.

– Jesteś bardzo miły - odezwała się. - Mógłbyś zostać niewolnikiem w moim pałacu.

Z każdym dniem wyglądała lepiej. Indy uśmiechnął się do swoich myśli.

– Nosi pani swoje klejnoty w łóżku, księżniczko - spytał.

– Tak, i nic więcej. Zaszokowany?

– Nie - zbliżył się o następny krok. - Nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć. Jestem naukowcem.

Teraz był już przy niej. Wziął z jej dłoni jabłko i ugryzł spory kęs.

– Aha, a więc jako naukowiec dokonujesz z pewnością masę różnych odkryć.

– Zawsze - szepnął.

– Oh, masz na myśli takie, jak na przykład: jaki rodzaj kremu kładę na noc na twarz? W jakiej pozycji lubię spać i jak wyglądam we śnie?

To było wszystko co mogła zrobić, ciąg dalszy należał do niego i miała nadzieję, że nastąpi szybko. Indy przytaknął jakby czytając jej myśli.

– Są to tak zwane odkrycia sypialne.

– Zwyczajne miłosne - poprawiła go.

– Raczej prymitywne praktyki seksualne.

– A więc jesteś autorytetem w tych sprawach? - spytała odwiązując mu krawat.

– Lata doświadczeń...

Pocałowali się - długo i mocno - jeszcze zachowując kontrolę, ale błyskawicznie nabierając szybkości. Przerwali dla nabrania powietrza.

– Nie gniewam się, że jesteś taki nachalny - była to forma przeprosin. -
Naprawdę ci się nie dziwię.

– Miałem już gorsze doświadczenia - stwierdził z noblesse oblige w
głosie.

– Nigdy nie miałeś lepszych - przyrzekła mu.

– Nie wiem - stwierdził zamykając drzwi do sypialni.

– Jako naukowiec nie lubię zakładać wyników eksperymentu. Powiem ci
rano.

– Eksperyment? - Willie aż zatkało z oburzenia.

– Jakbym była jakimś szczurem doświadczalnym! Mogła być kochanką
dla przyjemności, ale nie zdobyczą.

Otworzyła drzwi, które dopiero co zamknęła.

– Ty nieokrzesany gburze! Nie jestem aż taka łatwa!

– Ani ja - warknął zaskoczony, po czym dodał:

– Problem z tobą jest taki, że za bardzo się przyzwyczaiłaś stawiać na
swoim.

Przemierzył korytarz i zatrzymał się przy swoich drzwiach.

– A pan jest za bardzo zachłanny, aby się przyznać, że szaleje pan za
mną panie doktorze Jones! - dobiegło go z pokoju.

– Willie, jeśli mnie chcesz, to wiesz gdzie mnie znaleźć - odparł stając w
drzwiach.

– Pięć minut - odparła. - Będziesz z powrotem w ciągu pięciu minut.

Indy ziewnął omal nie łamiąc sobie szczęki.

– Za pięć minut, kochanie, będę spał. Po czym zamknął drzwi.

– Pięć minut! - powtórzyła. - Ty to wiesz i ja to wiem!

Indy cichutko otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz, po czym równie cicho
je zamknął.

Willie zamknęła swoje niczym ostatni rozdział.

Indy stał oparty plecami o drzwi - nic: ani kroków, ani przeprosin. Podszedł do łóżka. Do diabła z tym wszystkim.

Willie pomaszerowała od drzwi prosto do łóżka i siadła milcząco. Wróci. Nie jest aż tak cwany, ale jest mężczyzną. A ona była naprawdę kobietą. I to bez fałszywego wstydu - niezłą kobietą. Wzięła stojący obok łóżka budzik, nastawiła go.

Pięć minut - po czym zdjęła suknię.

Indy zdjął marynarkę i zerknął na zegarek.

- Cztery i pół minuty! - mruknął. - Dziwne! Ale ona była dziwną kobietą - pocieszał się - a to był dziwny pałac. I byli w dziwnej sytuacji.

Willie przeszła się po sypialni gasząc wszystkie świece. Z wyjątkiem najbardziej w kącie ustawionego świecznika i stanęła przed lustrem. Włosy miała w lekkim nieładzie, ale chyba nie dlatego... Szkoda, że tak szybko wyszedł. Ale wróci - nie ma obawy!

Indy spojrział w lustro. Co może być złego w jego wyglądzie? Nic! Taka jest naga prawda.

Oczywiście, że jest dumna. Źle byłoby, gdyby było inaczej, ale to jeszcze nie powód, aby miał się poddać. Wstał i podszedł do śpiącego Short Rounda.

Ach! Mieć znowu dwanaście lat i żadnych problemów.

Willie przyjmowała najrozmaitsze pozycje w łóżku szukając najlepszej na powitanie wchodzącego (i niespodziewanego!) gościa. Zegarek wskazywał dziesiątą minut osiemnaście.

Indy leżał na łóżku gapiąc się w sufit. Czy ona wyobraża sobie, że jest ze stali? Kto wytrzyma coś takiego? Zegarek wskazywał dziesiątą minut dwadzieścia jeden.

Willie złapała zegarek i przyłożyła go do ucha - tykał. Zdenerwowana zaczęła stukać w tarczę. Czyżby jej wdzięki zawiodły? Czyżby traciła wyczucie? Jakim cudem jeszcze nie dobija się do jej drzwi? Jak to możliwe?

Indy chciał wstać i nie wstał. Zegar nad głową tykał monotonnie. Praca archeologa nauczyła go cierpliwości. Prędzej czy później nie wytrzyma i przybiegnie tu. Miał tylko nadzieję, że prędzej.

Short Round spał.

Zegar wskazywał dziesiątą minut trzydzieści pięć. Indy złapał go i rąbnął o podłogę. Zerwał się z łóżka i zaczął przemierzać pokój tam i z powrotem wzdłuż ściany pokrytej malowidłami maharadzów, bitew i tancerek.

Willie maszerowała tam i z powrotem wzdłuż podobnej ściany, mrużąc do siebie:

– Nocne praktyki! Kretyn! Prymitywne życie seksualne! Powiem ci co o tym myślę bałwanie! Rano!!

Indy również zaczął monologować w trakcie spaceru: - Pałacowy niewolnik, co? Nieokrzesany gbur, tak? Pięć minut? Zobaczymy!

Willie zaprzestała spaceru i mrużenia. Stała przed lustrem i obejrawszy się w nim krytycznie stwierdziła ze zdumieniem:

– Nie mogę w to uwierzyć, ale go tu nie ma!

Indy również przystopował i stwierdził ze zdumieniem:

– Nie wierzę w to. Nie przyszła! I w to też nie uwierzę, ja nie poszedłem.

Zza ostatniego ze ściennych malowideł wysunął się ubrany na czarno strażnik i zanim Jones zrozumiał, że coś słyszy zarzucił mu na szyję jedwabny sznur.

Jedyną rzeczą, jaką zdążył zrobić, a i to tylko dlatego, że miał akurat podniesioną prawą rękę, było wsunięcie palców pomiędzy jedwab a własne ciało. Ale mimo tego czuł, że jego krtań zostanie za kilka sekund zmiażdżona. Gorączkowo łapiąc powietrze opadł na kolana. Kątem wytrzeszczonego oka dostrzegł malutką uśmiechniętą czaszkę zwisającą na sznurze, którego jego zabójca używał z wprawą sycylijskiego mafioso. Ostatnim, rozpaczliwym wysiłkiem przechylił się gwałtownie do przodu wytrącając z równowagi stojącą za nim postać.

Strażnik przeleciał przez niego wypuszczając końce sznura, aby nie ryzykować wyłamania rąk w stawach. Przekoziółkował, zerwał się błyskawicznie - w dłoni lśnił sztylet.

Indy wybił mu go celnym kopnięciem.

Short Round zaczynał zdradzać objawy powrotu do przytomności.

Z korytarza dochodziły jakieś nienaturalne odgłosy.

Strażnik skoczył mu ponownie do gardła.

W korytarzu Willie stała o metr przed drzwiami do pokoju Jonesa i krzyczała z wściekłością i żalem:

– To jest noc, której nigdy nie zapomnisz! Tej nocy przeleciałam ci między palcami! Wesółch snów doktorze Jones! Nie będę twoją największą przygodą!

Indy zwarł się ze strażnikiem i obaj wpadli na stół przewracając go z trzaskiem.

Short Round w końcu oprzytomniał i wpatrywał się w rozgrywającą się przed nim scenę nie wierząc własnym oczom.

Amerykanin poderwał się z ziemi. Chłopak przestał się gapić - złapał leżący obok pejcz i rzucił go Indiemu, który złapał przesyłkę. Pierwsze uderzenie owinęło się wokół ramienia niedoszłego mordercy, ale wyplątał się i pognął ku drzwiom. Z drugim już nie był w stanie dać sobie rady - bat owinął mu się wokół szyi. Strażnik szarpnął się gwałtownie. Rękojeść pejcza wyslizgnęła się z dłoni Jonesa i pięknym łukiem poleciała prosto w wirujące skrzydło wentylatora umieszczonego na suficie. Rzemień błyskawicznie zaplątany w urządzenie pociągnął za sobą napastnika, który został powieszony, zanim zrozumiał co się dzieje.

– Shorty, wyłącz to gówno! - zadysponował Indy. - Ja sprawdzę co z Willie.

Chińczyk zrobił co mu kazano, a archeolog wypadł na korytarz. Wtargnął do sypialni dziewczyny z obłędem w oczach. Leżała na łóżku z bijącym sercem.

– Och Indy!

W końcu jakby nie było - przyszedł, może nie wiedział co ze sobą zrobić?

Jednym susem znalazł się na łóżku.

– Bądź miły dla mnie - szepnęła.

Przewalił się przez łóżko jak tajfun. Zajrzał pod nie - pusto. Wygrzebał się z pościeli i rozpoczął metodyczne przetrząsanie pokoju.

– Jestem tutaj - odezwała się.

Mężczyzna kontynuował rewizję. Willie postanowiła mu pomóc w odnalezieniu siebie. Bez wątpienia był ślepy z miłości!

On tymczasem skończył przeszukiwanie i stał twarzą do drzwi.

– Nie ma nikogo - mruknął.

– Nie, ja jestem tutaj - sprzeciwiła się.

Indy ruszył w stronę lustra. Dziewczyna wyskoczyła z łóżka i podążyła za nim.

Sprawdził stojącą przy toaletce wazę z kwiatami - płatki poruszały się pod wpływem niewidocznego przeciągu. Jego zabójca wszedł do pokoju tajemnym przejściem. Z równym powodzeniem w tym pokoju mogło się znajdować coś podobnego. Zbliżył się do stojącego opodal filara - podmuch był tu mocniejszy; teraz odczuł go sam.

Piosenkarka podążała krok krok za nim.

– Zachowujesz się co najmniej dziwnie! - stwierdziła z dezaprobatą.

Indy obejrzał filar - były na nim wyrzeźbione tancerki. Zaczął obmacywać największy z wizerunków - stopy, nogi, brzuch i piersi...

– Hej, jestem tu! - Willie poczuła się co najmniej oburzona.

Przycisk był w piersiach. Nagle cały fragment kolumny z częścią ściany odsunął się ze zgrzytem starego żelastwa i ukazało się mroczne wejście do tunelu.

Archeolog wszedł do środka, zapalił zapałkę i przeczytał napis na ścianie:

„Podążaj śladem Siwy.”

– Co to znaczy? - spytała dziewczyna pozostająca nadal za jego plecami.

– Nie przeszkadzaj... - zwrócił wreszcie na nią uwagę.

Wyjął z kieszeni szmatkę i porównał ją z tym co widział na ścianie.

Shorty pojawił się nieśmiało w drzwiach sypialni, po czym już śmiało i błyskawicznie w wejściu do tunelu.

Indy przeczytał napis umieszczony pod rysunkiem na skrawku materiału trzymanym w dłoni.

– Nic zdradź jego wiary... Shorty, przynieś nasze rzeczy! - polecił.

Chłopiec wybiegł z pokoju, podczas gdy Jones zaczął znikać w tunelu.

Obaj nie zwracali uwagi na obecność Willie.

VI.

Świątynia przeznaczenia

– Co jest tam, w dole? - pisała Willie.

– To właśnie mam zamiar sprawdzić. Ty tu poczekaj. Jeśli nic wrócimy za godzinę, chcę żebyś obudziła kapitana Blumburta i przyprowadziła go na dół.

Przytaknęła zbyt oszołomiona, by oponować.

Tymczasem powrócił Short Round z torbą, kapeluszem i pejcem Indiany. Po chwili zniknęli w ciemnościach tunelu. Chłopak wysforował się do przodu. Doszedł do narożnika sprawdzając, czy droga jest bezpieczna. Tam stanął i odezwał się niepewnie:

– Doktorze Jones, nie jestem pewien, czy powinniśmy iść dalej.

Indy złapał go za kołnierz i odciągnął do tyłu.

– Zostań za mną Shorty. Idź po moich śladach i nie dotykaj niczego!

Jednakże ledwo ruszyli Shorty spostrzegł w jednej ze ścian drzwi, które najwyraźniej umknęły uwadze prowadzącego. Złapał za klamkę i pociągnął. Drzwi się uchyliły, a na niego zwały się dwa szkielety. Wrzasnął i usiadł na kamiennej posadzce. Znal tych dwóch - widział ich w „Mumii”. Od tego czasu nie miał najmniejszej ochoty spotykać tego typu osobników i to jeszcze w dodatku w mrocznych podziemiach. I właśnie na nich się natknął!

Indy jednym szarpnięciem postawił go na nogi i pociągnął za następny narożnik. Wiało tu przeraźliwie, a podmuchy niosły ze sobą szczątki czegoś co wyglądało na płaty skóry. Ludzkiej skóry.

Short Round wyciągnął nóż.

– Będę szedł tam, gdzie ty i niczego nie dotykał - zapewnił.

W powietrzu pojawiło się więcej latającej skóry. Parę płatków przyczepiło im się do twarzy.

Chińczyk zaczął mamrotać starą chińską modlitwę wyjątkowo skuteczną. Na duchy oczywiście. Na szczęście widział „Niewidzialnego człowieka” - nie zaskoczy go skóra bez właściciela.

– Spokojnie - uśmiechnął się Indy. - Po prostu starają się nas przestraszyć.

Ruszyli dalej kamienistym i chłodnym tunelem. Im dalej się nim posuwali, tym bardziej zdawał się on zakręcać i mrocznieć, wiodąc ich coraz niżej w głąb ziemi. Wkrótce stało się zupełnie ciemno.

– Ktoś zgasił światło - mruknął archeolog. - Trzymaj się blisko!

Po paru krokach Shorty poczuł, że na coś nadepnął.

– Włazłem na coś - poinformował.

– Coś tu jest na podłodze...

– Czuję jakbym szedł po prażonym ryżu.

– To na pewno nie jest to - zaproponował Indy. - Ryż się nie rusza!

Zapalił zapalkę. W świetle pełgającego płomyka rozejrzeli się wokół. Przed nimi była ściana, w której widniały dwa otwory. Z jednego z nich wylewał się potok drgających i wijących się owadów. Spływał on na podłogę pokrywając ją żywym, ruchliwym kobiercem, po którym się poruszali. To ich chitynowe pancerze trzaskały pod nogami.

Shorty spojrział w dół, akurat na czas, by zobaczyć kilkanaście stworzeń wążących mu na nogawki.

– Faktycznie, to nie jest prażony ryż - stwierdził.

Indy strzepnął je jednym uderzeniem i w tej chwili zgasła zapalka parząc mu palce.

– Jazda! - krzyknął popychając chłopaka do przodu.

Ruszyli przez otwór w ścianie i przeszli do następnej komnaty ku jaśniejącemu za nią prostokątowi drzwi. W trakcie tego biegu Short nastąpił

na małe, kamienne wybrzuszenie w podłodze. Wybrzuszenie ustąpiło pod naciskiem stopy i uruchomiło jakiś mechanizm. Wielkie, kamienne drzwi, przez które właśnie przebiegli, ruszyły ze zgrzytem mechanizmu odcinając im przebytą drogę.

– No nie! - jęknął archeolog.

Rzucił się z powrotem próbując je zatrzymać. Ale był to daremny wysiłek. Obrócił się i zobaczył, że na otwór w przeciwnej ścianie, do którego dążyli, opada kamienna płyta. Pobiegł z kolei w tym kierunku, ale tak jak poprzednio bez żadnego pozytywnego efektu. Zniechęcony siadł na podłodze, aby zebrać myśli. Pomieszczenie, wbrew oczekiwaniom, pogrążone było w jakiejś błękitnawej poświacie sączącej się ze ścian.

– Jesteś zły na mnie? - spytał niepewnym głosem Shorty.

Czuł się jak jeden z Małych Piorunów (dzieci Władcy Piorunów i Matki Błyskawicy), które choć pełne dobrych chęci zawsze były przyczyną kłopotów.

– Gniewasz się na mnie? - spytał ponownie.

– Nie - odparł zapytany, a potem mruknął ciszej: - Niedokładnie.

Był wściekły na siebie. Nie powinien zabierać ze sobą chłopaka, to było zbyt niebezpieczne.

– Jesteś wściekły? - upewnił się chłopak.

– Zgadza się - stwierdził Indy zapalając zapalniczkę. Na podłodze znalazł jakiś ogarek łójówki i zapalił go.

W jego świetle zobaczył ludzkie szkielety leżące na podłodze. Shorty ruszył w jego stronę.

– Stój! - zatrzymał go. - Stań prosto przy ścianie. Nie miał najmniejszej ochoty, żeby chłopak przypadkowo uruchomił następny mechanizm.

Chińczyk zrobił jak mu kazano. Przywarł plecami do ściany i wyprostował się. W trakcie tego ruchu natrafił na jakiś wystający ze ściany kamień. Kamień schował się w murze i coś za ścianą zgrzytnęło. Z sufitu zaczęły się opuszczać stalowe szpikulce.

- Do diabła! - jęknął Indy.
- Kazałeś mi stanąć przy ścianie! - krzyknął chłopak.
- To nie moja wina. Ja tylko cię posłuchałem.

Jones jednak nie słuchał tłumaczeń. Nabrał powietrza w płuca i krzyknął:

- Willie, zejź tutaj!!!

Siedząc w sypialni jak na szpilkach dziewczyna usłyszała głos Indiany, choć niedokładnie zrozumiała o co mu chodzi. Doszła jednak do wniosku, że o nią. Narzuciła czym prędzej peniuar i ruszyła w głąb tunelu.

- Indy!

Nie było odpowiedzi.

Cofnęła się i wzięła ze stolika małą, nocną lampkę oliwną, która stała przy łóżku, po czym ruszyła w głąb korytarza.

– Założę się, że znowu się wyświnię - mruknęła do siebie mijając pierwszy zakręt.

Z mroku wyłoniły się przed nią dwa szkielety.

- Indy! - wrzasnęła. - Tu są jakieś dwa umrzyki!

– Za chwilę będą dwaj tutaj, jeśli się nie pospieszysz! - dobiegło ją nieco przytłumione, ale wyraźnie zdesperowane wołanie za następnym zakrętem.

Przebiegła przez odcinek korytarza, w którym straszliwie wiało. Lampka stała się bezużyteczna, bo podmuch zgasił płomień. W kompletnych ciemnościach zbliżyła się do miejsca, w którym uderzył ją w nos straszny odór.

- Ależ tu śmierdzi - jęknęła.
- Willie, zejź tu na miłość boską!
- Mam was dość! - jęknęła przerażona.
- Willie!

Szpikulce poruszały się wolno, ale stale, teraz były już na tyle widoczne, że można było im się przyjrzeć - przypominały ostrza mieczy, tyle że

wyglądały na ostre jak brzytwy. Wyglądały nader nieprzyjemnie.

– Uwaga, idę! - dobiegł zza ściany głos Willie.

– Szybciej, mamy kłopoty! - ryknął Indy, po czym zwrócił się do Shortiego: - Daj mi swój nóż!

Złapawszy sztylet zaczął gorączkowo dłubać w kamiennej ścianie.

– Jakie kłopoty? - dobiegło ich.

Szpikulce zaczęły również podnosić się z podłogi.

– Poważne! - ryknął w odpowiedzi.

– Indy? - głos był wyraźniejszy.

– To jest poważna sprawa! - zapewnił ją.

– A co się stało?

– To długa historia. Pospiesz się, jeśli chcesz, żeby został ktoś, kto ci ją opowie.

– O Boże! A to co znowu?

Tym razem ona doznała uczucia, że chodzi po czymś żywym.

– Coś tu jest na podłodze! Indy, co to jest? Coś jakby drożdże? Indy, nic nie widzę!

Zapaliła zapałkę i zobaczyła. Wszędzie robactwo. Różnorodne. Czarne żuki z białymi kropkami na pancerzu, długonogie chrząszcze, jakieś niezidentyfikowane obrzydlistwo podobne do skorpionów, pajęczaki, modliszki, szarańcza, jakieś wielonożne glisty... Wrażenie było tak silne, że nie miała nawet siły krzyczeć. Wszystko na co się zdobyła to niezbyt głośne błaganie:

– Indy, wpuść mnie. Tu wszędzie jest pełno robaków, Indy!

– Willie - zabrzmiało z drugiej strony kamiennych drzwi, które ich rozdzielały. - Tutaj nie ma owadów.

– Otwórz i wpuść mnie!

– Otwórz i wypuść nas - przerwał jej Shorty. - Wypuść nas!

– Wpuść mnie Indy, proszę!

– Pracuję nad tym!
– Indy! Weszły mi we włosy! - pisnęła rozpaczliwie.
– Willie! Zamknij się i słuchaj! Po drugiej stronie musi gdzieś być lewar, który otwiera drzwi.

– Co?!
– Dźwignia, która otwiera drzwi!
– O Boże, Indy! Obłążą mnie!

Końce szpikulców były na poziomie ich głów.

– Otwórz oczy Willie! Rozejrzyj się! - wrzasnął desperacko. - Ta dźwignia musi gdzieś tam być. W jakiejś dziurze! Poszukaj!

– Tu są dwie dziury - jęknęła. - Widzę dwie dziury!

– Dobrze, grzeczna dziewczynka. Teraz podejdź do prawej.

Ach, też coś! Prawa był wypełniona przelewającymi się z niej owadami.

Wolniutko wyciągnęła dłoń do lewej, w miarę czystej. To znaczy nie tak zupełnie czystej, ale w każdym razie nie tak potwornie i obrzydliwie wypełnionej...

Z otworu wysunęła się ręka. Willie wrzasnęła rozpaczliwie, poczuwszy uchwyt na swej dłoni.

– Nie ta dziura! - rozległ się wściekły głos Indiego. - Ta druga! Po twojej prawej!

– Ona cała się rusza! - zaprotestowała. - Nie mogę tego zrobić!

– Możesz! Dalej dziecinko! Potrzebuję twojej pomocy! Sięgaj tam!

– Sięgaj sam! - pisnęła.

– Zrób to, do cholery! - ryknęło zza ściany.

Końce igieł zaczęły docierać im do skóry, a leżeli już na podłodze.

Willie wsunęła rękę w kłębiącą się masę owadów.

– O Boże! To obrzydliwe! To się rusza! Zupełnie jakbym włożyła rękę w gównno!

– Willie, za chwilę nas już nie będzie!

– Znalazłam!

Z całych sił pociągnęła dźwigienkę, którą namacała w tej ruchomej masie.

Drzwi zaczęły się odsuwać. Tuż przy nich na podłodze leżał Indy, obok niego Shorty. Obaj usiedli, kiedy pozwoliły im na to oddalające się ostrza. Willie wbiegła do środka gorączkowo wytrząsając robaki z włosów. Była prawie u kresu wytrzymałości, czując na sobie wszędzie dotknięcia wędrujących po niej owadów.

Short Round nie tracił czasu ani okazji - pognał do przeciwległych drzwi i szczupakiem prysnął na zewnątrz. Niezależnie od tego co nastąpi nie chciał przebywać w tej salce ani sekundy dłużej.

Willie podskakiwała i wykręcała się w klasycznej wersji tańca świętego Wita.

– Weź to ze mnie! Oblazły mnie! Są wszędzie! Zabierz je! Nienawidzę robactwa, Indy!

W trakcie tej wywijanki nadepnęła wystający w podłodze przycisk. Cały cyrk zaczął się od początku! Pierwsze drzwi zasunęły się z łoskotem. Zza drugich rozległ się wrzask małego Chińczyka:

– Ja tego nie zrobiłem, to ona! Dalej, wyłaźcie! Indianie nie trzeba było dwa razy powtarzać. Złapał Willie za rękę i pociągnął w kierunku zmniejszającego się błyskawicznie otworu. Przerzucił ją pod opadającą płytą prosto w ramiona oczekującego Short Rounda. Ten pociągnął przewracające się ciało z całych swoich dwunastoletnich sił. Ledwie zniknęły nogi dziewczyny, Jones rzucił się płasko na podłogę i przesunął pod płytą. Było tak nisko, że stracił przy tym swój kapelusz. Tego nie mógł podarować! Jego pamiątkowe nakrycie głowy! Obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i sięgnął w zmniejszającą się szczelinę między opadającą płytą a podłogą. Złapał swoją własność i cofnął rękę na chwilę przedtem nim oba kamienie zetknęły się głuchym trzaskiem.

Znaleźli się w obszerniejszym tunelu, tym razem wykutym w skale. Wiało w nim przeraźliwie, ale było dość jasno; czerwonozłote źródło blasku znajdowało się gdzieś w przodzie.

Zbliżyli się powoli do wylotu tunelu i stanęli zaskoczeni widokiem, jaki się przed nimi roztaczał. Pod nimi znajdowała się jaskinia. Bardzo wysoka i nader obszerna, bez wątpienia wykuta przez ludzi, na kształt katedralnej bazyliki. Strop jej podtrzymywany był przez kilkanaście gigantycznych kolumn, a wewnątrz było kolosalną podziemną świątynią. Granitowa posadzka otoczona była czymś w rodzaju balkoników mających z jednej strony schody, z drugiej zaś zamieniających się w mroczne tunele.

Miejsce, gdzie się znajdowali, było podobne do reszty, tyle że nie miało schodów i znajdowało się mniej więcej na dwóch trzecich wysokości jaskini.

Z tych balkoników, które były w dole, wylewali się wierni - setki wyznawców skandujących od wejścia w takt podmuchów wiatru hulającego po korytarzach. Ta dziwna muzyka miała swoją własną harmonię - wznosiła się i opadała w dziwacznym, ale zrozumiałym dla człowieka rytmie. Przy udziale wiernych zamieniało się to w rytmiczne zawodzenie:

*Gho-ram gho-ram gho-ram sundaram,
gho-ram, gho-ram gho-ram sundaram...*

Wokół ścian stały gigantyczne posągi wykute w skale: słonie, krowy, demony i poczwary półludzi, pół-zwierząt o twarzach tak wykrzywionych, że mogły być dziełem jedynie chorego umysłu.

Co parę metrów w ściany zatknięte były pochodnie, które dokładnie rozświetlały tę niesamowitą scenerię. W oddali, po prawej stronie znajdowało się centrum kultu - ołtarz oddzielony od reszty świątyni rozpadliną w podłodze, częściowo naturalnego pochodzenia. Z jej głębi bił

na ściany i sufit złocistoczerwony blask przytłumiony unoszącymi się w górę dymami czy parą, które prawie błyskawicznie były porywane przez szalejący wiatr. Te opary prawie cały czas zasłaniały ołtarz otoczony w tej chwili przez kapłanów w rytualnych strojach.

Na ołtarzu stała ogromnych rozmiarów rzeźba plecami dotykająca ściany, czy raczej specjalnej niszy. Przedstawiała szpetnie wykrzywioną sześcioramienną niewiastę.

– Kali - krwawą i okrutną boginię opiekującą się we współczesnych Indiach przestępcami, a dawniej - boginię kultu Thugów.

Posąg miał ponad dwadzieścia metrów wysokości i wykonany był z czarnego bazaltu. Jedna z rąk trzymała topór, druga - za włosy ludzką głowę, dwie pomagały utrzymać się jej na ołtarzu, a pozostałe - wygięte były w jakiś tanecznych gestach i połączone łańcuchem, z którego zwisała metalowa klatka. Wokół jej szyi biegł naszyjnik zrobiony z ludzkich czaszek. Twarzy nie sposób opisać, bo nie była to twarz kobieca, ba! to nie była w ogóle twarz ludzka. Nie miała wcale nosa - zamiast niego miał nieregularny otwór. Najbardziej charakterystyczne w niej było zło - przebijało się z całej fizjonomii, z każdego zagłębienia. Przyczyniały się do tego jeszcze niesamowite blaski, rzucane przez pełgające w dole płomienie. Krwawa czerwień odbijała się w jej wyszczerzonych kłach.

Zgromadzeni na dole zaczęli zawodzić głośniej, co odwróciło uwagę Jonesa od oglądania tego monumentalnego zabytku i skupienia się na sprawach bieżących.

- Co to wszystko znaczy? - dopytywała się szeptem Willie. - Co to jest?
- To ceremonia Thugów - odparł również szeptem.
- Są wyznawcami Kali.
- Widziałeś to już?
- Nikt tego nie widział przez ostatnie sto lat.

Nie da się ukryć, że Indy był zbulwersowany - odkryć religię uważaną za wymarłą przez tak długi okres! Poznać do czego służyły te wszystkie narzędzia i totemy - toż to była nie lada gratka.

Jego pełne radości rozważania zostały gwałtownie przerwane przez nieludzki, a przecież wydany przez człowieka, wrzask wydobywający się zza ołtarza.

– *Baachao, muze baachao. Baachao koi muze baacha-o!!!*

– Co to jest? - jęknęła Willie.

– Wygląda na nieprzewidzianą atrakcję - odparł Indy. - Ktoś krzyczał: „Ratunku, niech ktoś mnie uratuje!”.

Wielki bęben zabrzmiał trzykrotnie - i skandowanie ustało. Jedynym słyszalnym dźwiękiem było zawodzenie wiatru.

W tej ciszy zza ołtarza wystąpiła postać odziana w czarną tunikę i naszyjnik z zębów. Na głowie miała wydrążoną bawolą czaszkę z przekręconymi w dół rogami.

Był to najwyższy kapłan - Mola Ram. Doszedł do skraju szczeliny, stając twarzą w twarz z tłumem wiernych. Po drugiej stronie jaskini siedziała w odosobnieniu grupa osób - nieco ukryta w cieniu i dopiero ruch Mola Ram spowodował, że Indy ich zauważył.

– Spójrz tam - szepnął do Willie. - Nasz miły gospodarz, który tak nie lubi Thugów.

W samym środku tej grupki siedział młody maharadża Pankot.

– Kto jest ten rogaty? - zainteresowała się dziewczyna.

– Wygląda na Najwyższego Kapłana.

Dla Short Rounda wyglądał jak Frankenstein.

Mola Ram uniósł ręce i zza ołtarza ponownie dobiegł przeraźliwy krzyk. Dość szybko jego źródło stało się ogólnie widoczne - czterech kapłanów wyniosło związanego i rzucającego się dziko Hindusa i przymocowało go

do sześciobocznej klatki zawieszanej na łańcuchach zwisających z dwóch wyciągniętych równolegle do podłogi ramion Kali.

Najwyższy Kapłan podszedł do unieruchomionego, dziko wierzgającego więźnia i zaczął mamrotać zaklęcia. Człowiek znieruchomiał. Mola Ram wyciągnął dłoń i zbliżył ją do piersi związanego. Bez najmniejszego oporu dłoń wniknęła do wnętrza spazmatycznie drgającego korpusu... i błyskawicznym ruchem powróciła na światło jaskini. W ręku pojawił się jakiś krwawy i drgający kawał mięsa. Było to serce.

Willie jęknęła i zasłoniła usta.

Short Round wytrzeszczył oczy.

– Wyrwał mu serce! On jest martwy! - wymamrotał sam do siebie.

Poczuł się jakby się znalazł w samym środku piątego kręgu piekła, gdzie pokutujące dusze są bez przerwy męczone tym sposobem. Było dziesięć kręgów rządzonych przez Yama i były urozmaicone - od kąpieli w jeziorze z lodu, poprzez przykucie do rozpalonego do czerwoności słupa, aż do reinkarnacji jako Zagłodzony Demon. Short Round nie chciał tu być.

Indy co prawda w żadne piekło ani chińskie, ani jakiegokolwiek nie wierzył, ale uwierzył własnym oczom, a to co te widziały nie mogło mu się pomieścić w głowie. Z niedowierzaniem wpatrywał się w pozbawioną serce ofiarę.

– On nadal żyje! - wyjąkał z niedowierzaniem.

Rzeczywiście ofiara nie tylko żyła, ale całkiem zdrowo się miała, i darła jak opętana, a jej serce ciągle biło w dłoni Mola Rama. Ten podniósł je nad głową i z tysiąca piersi wydarł się okrzyk:

– *Jai ma Kali, jai ma Kali, jai ma Kali!!!*

Żeby było jeszcze dziwniej, Indy dostrzegł, że na piersi ofiary nie ma żadnej rany - jest tylko mały, czerwony ślad w miejscu, w którym pogrzyżyła się dłoń arcykapłana. Tymczasem kapłani odhaczyli łańcuchy przytrzymujące klatkę i pomanewrowali nią tak, że przybrała pozycję

horyzontalną. Przywiązany w niej człowiek znajdował się twarzą do ziemi. Otwarły się kamienne drzwi, nad którymi wisiała klatka, odsłaniając gotujące się wrzące wnętrze jakiegoś lokalnego wulkanu. Żelazna klatka zaczęła opuszczać się w ognistą czeluść. Ofiara zobaczyła, co ją czeka - ognista magma podnosiła się powoli na jej spotkanie, serce nadal biło w dłoni Mola Rama. Tłum skandował, wiatr zawodził...

I były to jego ostatnie doznania na tym świecie. Twarz mu zaczęła dymić, skóra zwęglać się, a włosy zapłonęły żywym ogniem, choć klatka nie dotknęła jeszcze płynnej powierzchni. A potem dotknęła i zanurzyła się.

Willie zamknęła oczy, Indy patrzył w osłupieniu, Short Round odwrócił się prosząc usilnie Niebiańskie Ministerstwo Ognia o zamknięcie tego przybytku.

Przed ołtarzem Najwyższy Kapłan uniósł w górę ciągle bijące serce - zaczęło dymić, po chwili błysnęło jasnym płomieniem i... zniknęło.

Klatka powoli unosiła się w miarę jak kapłani obracali potężny bęben, na który naciągnięty był łańcuch. Gdy wynurzyła się ponad poziom podłogi żelazo było rozgrzane do czerwoności, a po więźniu nie zostało nawet najmniejszego śladu. Na ten widok skandowanie uległo zmianie:

Jai ma Kali, jai ma Kali, gho-ram, sundaram...

Wiatr zamarł, a zgromadzona na balkoniku trójka bohaterów wytrzeszczała oczy nadal będą pod wrażeniem tego co przed chwilą widziała. Mola Ram skinął dłonią i zza ołtarza wyłoniła się miniprocja - trzech kapłanów, każdy z zawiniątkiem w dłoniach. Skierowali się w stronę ołtarza.

Willie zaczęła płakać.

– Uspokój się! - syknął Indy.

Kapłani ustawili się rzędem i odwinęli tkaniny ukazując w świetle jaskini trzy kawałki krystalicznego kwarcu. Pomiedzy nogami posągu znajdowała się wysoka na cztery stopy czaszka bazaltowa z otworami w miejscu nosa i oczu.

Kapłani zbliżyli się do siebie. Kamienie zapłonęły jasnym, żółtym blaskiem. Odsunęli się i blask zamarł. Przybliżyli ponownie, umieszczając je w pustych otworach czaszki. Kamienie jasno świeciły.

Indy obserwował to zafascynowany.

– Wiedzą, że te kamienie są magiczne - szepnął.

– Ale nie wiedzą, że są trzema z pięciu zagubionych świętych kamieni Sankary.

– Dlaczego one świecą w ciemnościach? - przestraszyła się Willie.

– Legenda głosi, że jeśli kamienie są w pobliżu, to zawarte w ich wnętrzach diamenty zaczynają świecić - wyjaśnił archeolog.

Dziewczyna jakby ocknęła się z letargu. Ten temat zawsze doprowadzał ją do przytomności.

– Diamenty?

Kamienie lśniły i wabiły swym blaskiem.

Na dole trzech kapłani pokłonili się jaśniejącym kamieniom i wycofali poza ołtarz. Ich śladem podążyli pozostali kapłani z Najwyższym na czele.

Zebrany w świątyni tłum zaczął się rozpraszać i wkrótce pozostała ona pusta i cicha, jeśli nie liczyć oczywiście wycia wiatru.

Indy zwrócił się do towarzyszących mu osób:

– A teraz słuchajcie! Macie tu cicho siedzieć i czekać na mnie!

Short Round skinął głową - nie miał żadnej ochoty zbliżyć się bardziej do jaskini niż już to zrobił. Willie nie wyglądała na tak zdecydowaną.

– Zaraz! Co ty właściwie chcesz zrobić?

Indy wskazał beztróska roztaczającą się przed nim panoramę.

– Zejść tam - poinformował ją.

– Na cóż? Zidiociałeś?
– Nie wyjdę stąd bez tych kamieni! - oświadczył stanowczo.
– Dasz się zabić dla tej swojej cholерnej sławy i majątku? - Nie wiedzieć dlaczego wstąpiła w nią nagle furia.

– Może kiedyś - uśmiechnął się do niej ciepło. A jednak obchodziło ją co się z nim stanie - ale jeszcze nie dziś. Przecież mam zamiar stać się szczęśliwym posiadaczem świętych kamieni.

Nie czekając na odpowiedź, która niechybnie nastąpi, gdy tylko Willie przyjdzie do siebie, zaczął złazić.

Wbrew pozorom, dla wygimnastykowanego człowieka nie było to takie niebezpieczne - w skale, jakieś pięć metrów niżej biegła wąska półeczka, prosto do najbliższego filara (w odległości półtora metra od ściany). Z kolei same ściany też nie były idealnie prostopadłe, ani gładkie. Była w nich wystarczająca ilość występów i zagłębień, aby można było w nie włożyć stopę czy ich się złapać i ostrożnie zejść w dół. Jedynym problemem było bezpośrednio dojście do filara. Ale od czego jego niezastąpiony pejcz? Krótki ruch i koniec rzemienia owinął się wokół głowy węża, będącego akurat na odpowiedniej wysokości. Wylądował dobrze i wykorzystując oplatające filar reliefy rozpoczął długotrwałą podróż na dół.

Ponieważ wszystko kiedyś się kończy, więc i ta podróż dobiegła końca - stanął na podłodze, rozejrzał się uważnie i cicho podbiegł do rozpadliny. Wydobywające się z niej opary owiały mu twarz, cofnął się instynktownie.

Szczelina biegła przez całą szerokość pieczary i, jak na jego gust, była troszeczkę za szeroka - miała około trzech metrów. Nie była to odległość, którą można spokojnie przeskoczyć, a perspektywa wpadnięcia do niej nie była specjalnie pociągająca.

Indy rozejrzał się wokół - potrzeba jest matką wynalazku - ołtarz był flankowany wysuniętymi przed niego kolumnami. Na górze jedna z nich miała wyrzeźbionego słonia z uniesioną trąbą. Uśmiechnął się i rozwinął

pejcz. Mistrzowskie uderzenie i końcówka owinęła się wokół trąby. Ścisnął oburącz rękojeść, nabrał powietrza w płuca i ... ruszył biegiem przed siebie. Na skraju szczeliny odbił się jak mógł najsilniej i skoczył. Rzemień skrzywnął, gdy zawisł na nim ciężar jego ciała, lekko się rozciągnął, po czym wrócił do swojej normalnej długości. Lekko kołyszące się ciało Jonesa znalazło się po drugiej stronie rozpadliny. Wylądował na nogach i jednym szarpnięciem uwolnił bicz.

Z otworu, z którego rozpoczął tę wędrówkę pokiwała dłoń Shortiego. Ciężko jest być długodystansową ochroną, ale Short Round traktował swoje obowiązki poważnie. Droga była wolna, więc dał o tym znać. Indy pokiwał mu w odpowiedzi, zwinął bat i zaczepił go o pas. Zwrócił się prosto do ołtarza, gdzie jaśniały poszukiwane kamienie. Ostrożnie zbliżył się ku nim i dokładnie je obejrzał.

Środkowy, ukradziony z Mayapore, miał tak jak powinien - trzy równoległe linie, a pozostałe były gładkie. Świeciły tak intensywnie, że dotknął pierwszego z nich z dużą obawą, ale na szczęście była ona bezpodstawna - nie parzyły, nie były nawet ciepłe. Ostrożnie wyjął jeden z nich i zbliżył do twarzy. Jego światło było hipnotyzujące i piękne. Ale gdy tylko oddalił go o kilkanaście centymetrów od pozostałych blask zaczął słabnąć i w końcu przygasł całkowicie. Wsadził kamień do przewieszanej przez ramię torby. A po nim dwa następne. Kamienie będąc razem zaczęły ponownie świecić. Wyglądało to tak, jakby we wnętrzu torby zapłonęło miniaturowe słońce.

Willie i Short Round z napięciem obserwowali Jonesa ładującego klejnoty.

Kali także to robiła.

Indiana zakończył to co było najistotniejsze i wyprostował się. Zerknął przy okazji na wykrzywioną twarz bóstwa. To oddało mu krzywe spojrzenie i ... przemówiło!

Aż podskoczył z wrażenia; demoniczna twarz zdawała się śmiać z niego, a echo niosło po pustej jaskini jej słowa...

Zaraz, zaraz! Dźwięk dochodził z za posągu, a nie z ust bogini. Chrząknął i ruszył za ołtarz. Nie lubił takich dowcipów z własnej osoby.

– Gdzie go znowu diabli ponieśli? - syknęła zdenerwowana Willie na widok znikającego z jej pola widzenia Jonesa.

Wiatr w tunelu zawodził przez cały czas, ale nagle jego ton uległ zdecydowanej zmianie. Zwróciło to uwagę Shortiego. Odwrócił się i z przerażeniem dostrzegł postacie zbliżające się w ich stronę.

– Co ci się ... - zaczęła dziewczyna, ale w tym momencie i ona ich zobaczyła.

W następnej sekundzie rzuciło się na nich dwóch masywnych strażników.

Short dobył swój sztylet i chlasnął na odlew jednego z nich. Ten odskoczył w osłupieniu patrząc na rozciętą rękę, z której sączyła się krew.

Drugi z nich złapał Willie. Tyle że nie docenił przeciwnika - piosenkarka była przyzwyczajona do obłapienia od czasu gdy zaczęła używać szminki. I doskonale wiedziała, jak się od takich natrętów uwalniać. Ruchem wskazującym na długotrwałą praktykę błyskawicznie podniosła zgięte kolano, trafiając bezbłędnie Thuga między nogi. Jęknął i zwinął się na ziemi.

Dziewczyna obejrzała się i stwierdziła, że drugi sprawnymi manewrami spycha małego Chińczyka ku krawędzi skały. Skoczyła mu na plecy, zakrzywionymi palcami sięgając twarzy, a szczególnie oczu. Ale ten zawodnik był niezły - gwałtownym chwytem uwolnił się od niej. Z głuchym odgłosem zetknęła się ze ścianą.

Ta chwila nieuwagi strażnika wystarczyła jednak Shortiemu - błyskawiczny skok, cięcie i jeszcze szybszy odskok. Tym razem trafił w nogę. Znokautowany przez Willie Thung zaczął wykazywać objawy

przytomności, toteż czym prędzej sypnęła mu piasku w oczy i dołożyła jakimś kamieniem w czoło.

– Uciekaj Willie! Uciekaj! - wrzasnął chłopak uskakując przed rozwścieczonym strażnikiem.

Zrobiła dziesięć kroków i stanęła.

W tym czasie napastnik wrzasnął coś do siebie i rzucił się szczupakiem na Shortiego. Zanim ten zdążył się uchylić został trafiony w brzuch i razem potoczyli się po ziemi. Sztylet z brzękiem upadł na skalną posadzkę świątyni. Atakujący złapał Chińczyka za kark i nie zwracając uwagi na wściekłe wierzgnięcia pozbierał się z ziemi.

Drugi strażnik zaczął robić to samo - co prawda trochę nieporadnie, z powodu ogólnego ogłuszenia i krwi zalewającej mu czoło. Ale zbierał się z uporem.

– Uciekaj! - wrzasnął dziko Shorty. - Leć po pomoc!

Willie nie trzeba było dwa razy powtarzać; jak wykazywał dobitnie ten krótki przykład ich własne siły były zupełnie niewystarczające.

Tymczasem nieświadom niczego Indy wszedł za ołtarz i znalazł się w mrocznej jaskini.

Oświetlenie pochodziło z dwóch miejsc - z dymiącego piekła pod salą świątyni i z cylindrycznego dosyć dużego otworu.

Powoli przeszedł przez wąski skalny most zwieszający się nie wiadomo na czym. Choć bardzo się starał, widział w dole tylko ciemność i pustkę. Kiedy osiągnął przeciwległy koniec tego tworu z kamienia, usłyszał głosy ludzkie i dziwny odgłos - jakby metalu uderzającego o skałę.

Zbliżył się powoli do dziury - znajdowała się ona na wysokości jego piersi. Cała posadzka była pogrążona w mroku. Jakoś mimo to nie narobił hałasu i nie skręcił sobie niczego. Dotarł do otworu i wyjrzał.

W dole była głęboka i nader obszerna jama, z której rozbiegały się promieniście liczne tunele. Biegły w nich szyny, po których wychudzone i wynędzniałe dzieci pchały pojedyncze wózki kolejki górniczej. W jedną stronę - pełne skał i ziemi, w drugą - puste. Inne dzieci, wszystkie zresztą skute łańcuchami, sortowały to co zostało przywiezione i wypychały wagoniki z urobkiem do jednego z korytarzy.

Była to po prostu kopalnia.

Wszystko było pogrążone w migotliwym świetle pochodni zatkniętych w szczeliny ścian i w odgłosie pracującego non stop parowego młyna do kruszenia skał. Pod przeciwległą ścianą niewielki wodospad napełniał olbrzymią cysternę, a to co z niej wyciekło tworzyło minijezioro.

Dzieci były ciche, albo zapłakane, a wszystkiego pilnowali thugijscy strażnicy o wybitnie sadystycznym usposobieniu, gdyż co chwila w powietrzu świstał bat i rozlegał się śmiech strażnika.

Akurat na wprost Indiego kilkoro dzieci napełniało jeden z wózków wysypując doń zawartość drewnianych nosideł. Pojemniki przechyliły się, ładunek rozsypał, a dzieciaki poleciały na ziemię - jedna dziewczynka już nie wstała - ta przynajmniej znalazła uspokojenie i ucieczkę z tego piekła na ziemi. Jeden z pilnujących wpadł między nie rozdając razy na prawo i lewo.

Indy widział wszystko co mógł zobaczyć i na dobrą sprawę mógł iść - ro co najcenniejsze miał już w torbie, ale coś go powstrzymało.

Usłyszał rozpaczliwe jęki - wyrżał i o mało go szlag nie trafił - tuż pod nim, paręnaście ładnych metrów niżej, półnagi i potężnie zbudowany strażnik okładał pejcem leżące na ziemi dziecko.

Ręka Jonesa zatrzymała się na odłamku skalnym.

Bijący chyba poczuł całą nienawiść we wzroku Indiego wbitym w jego plecy, bo nagle zaprzestał znęcania się i odwrócił. Ich oczy spotkały się, a na twarzy strażnika pojawił się uśmiech - najwyraźniej ścierwo było z

siebie zadowolone. Amerykanina zalała wściekłość - jeden błyskawiczny ruch i stał na skalnej półce, drugi - i w kierunku strażnika poleciał odłamek, który Jones trzymał w dłoni. Miał dobre oko - trafił tam gdzie chciał, coś chrupnęło w momencie, gdy skała zetknęła się z kością czaszki i z ust napadniętego buchnęła krew, ścierając z twarzy uśmiech. Jeszcze przez chwilę stał, a potem bez słowa runął na ziemię.

Przerażone dzieciaki wpatrywały się w Indianę w osłupieniu. Indy zdjął kapelusz i machnął nim parę razy. Specjalną przyjemność sprawił mu widok osłupienia na gębach zbiegających się zewsząd strażników.

„Poczekajcie ścierwa!” pomyślał mściwie. To dopiero początek.

Schylił się po następne pociski - oko miał zawsze dobre, a tu nie brakowało materiału do rzucania. I wtedy nastąpiło coś niemiłego i zgoła nieoczekiwanego.

Od gzymsu, na którym stał, spłynęła w dół mała, kamienista lawinka. W chwilę potem półki już nie było, była za to duża, potężna lawina, z którą zjeżdżał w dół. Wszystko to zatrzymało się rzecz jasna dopiero na podłodze kopalni. Oszołomiony i pokiereszowany znalazł się zupełnie nieodpowiednio oko w oko z pół tuzinem strażników. Nie wiedzieć dlaczego byli bardzo rozzłoszczeni.

Spojrzał na najbliższego i spytał go z zainteresowaniem:

– No i dlaczego się tak wściekasz?

VII.

W ogień...

Strażnicy złapali go bez żadnych problemów, właściwie sam wpadł im w objęcia, ale też zaraz dali trochę po pysku, a potem zanieśli do mrocznej, małej sali. Tu przykuli go do krótkich, wystających ze ściany łańcuchów. Przytomność wróciła mu akurat na czas, aby zobaczyć zatrważające się drzwi pomieszczenia.

W tej samej chwili trzech pozostałych więźniów, skupionych dotąd w kącie, zbliżyło się do niego. Dwójka z nich to były hinduskie dzieci, trzeci natomiast okazał się Short Roundem.

Z zewnątrz dobiegły odgłosy chłosty wymierzonej jakiemuś dziecku. Były to najpotworniejsze odgłosy, jakie Indy w życiu słyszał. Postanowił sobie solennie opuścić ten interes najszybciej, jak tylko się da. Tymczasem Shorty zbadawszy go dokładnie" doszedł do zgodnego z prawdą wniosku, że jak dotąd nic się Jonesowi nie stało i dał upust nagromadzonemu przez ostatnie wypadki rozżaleniu:

– Przyrzekłeś zabrać mnie do Ameryki. Takie rzeczy tam się nie zdarzają. Jeszcze raz ci mówię: słuchaj mnie, to pożyczysz dłużej!

Indy uśmiechnął się i przytaknął - zastanawiał się czy Chińczyk gadaniem uwolni go z łańcuchów. Jeśli byłaby tu Willie byłby pewien, że tak by się stało.

Chłopak tymczasem skończył prawienie morałów i wskazał na jednego z uwięzionych:

– To jest Nainsukh, z tamtej wioski. Mówi całkiem dobrze po angielsku. Mówi, że zostali tu przyprowadzeni do pracy w kopalni.

– Ale dlaczego dzieci?

– Dzieci są małe - odparł Nainsukh. - Możemy pracować w tunelach.
– To dlaczego was zamknęli?
– Jesteśmy już za starzy, zbyt wielcy, żeby pracować w wąskich tunelach... - głos chłopaka załamał się nagle i zamilkł.
– I co z wami zrobią? - zainteresował się Shorty.
– Modliłem się do Siwy, aby pozwolił nam umrzeć - jęknął zapytany. - Ale żyję i teraz zła Kali weźmie mnie.
– Jak?
– Zmuszą mnie do wypicia krwi bogini, a potem zapadnę w czarny sen Kali Ma.
– Co to znaczy? - przerwał mu Indy. Chłopakiem wstrząsnęło na samą myśl o tym co ma nastąpić.

– Stanę się takim jak oni - odpowiedział po chwili.
– Będę żył, ale jak zjawa senna. Wypijesz krew i nie zbudzisz się już ze zmory o Kali Ma.

Indy i Shorty zobaczyli najwyższe przerażenie na twarzy dziecka. Jednocześnie do ich uszu doszedł odgłos otwieranych drzwi. Do celi weszło dwóch strażników.

Nainsukh i drugi chłopak pisnęli z przerażenia i pobiegli w najciemniejszy kąt celi. Ale Thugowie nie przyszli po nich, tylko po dwóch przyjaciół. Odpięli pierwszego, znaleźli drugiego i wyprowadzili z celi.

Poprzez centralny plac kopalni przeprowadzili ich do ciemnego i długiego korytarza. Zakończony był drewnianymi drzwiami. Więźniowie zostali tam wepchnięci. Znaleźli się w przestronnej komnacie Najwyższego Kapłana.

Miejsce było galerią strachu - rytualne rzeźby i malowidła wyglądały jak uosobienie śmierci i zła. Sama skała zdawała się zdeformowana, a podłogę znaczyły niewielkie pęknięcia, z których wydobywał się czerwony dym dławiąc nowo przybyłym oddech. W jednym z narożników stał żelazny

trójnóg, na którym płonęły węgle. Krzątał się przy nich delikatnej budowy karzeł z twarzą wykrzywioną szaleństwem, nucący jakąś melodię bez rytmu. Naprzeciw wejścia stała najbardziej groteskowa statua, jaką Indy w życiu widział - kamienna personifikacja śmierci. Miała dwukrotną wysokość człowieka, a głowa uformowana była na kształt czaszki, ale po pierwsze zbyt dużej, a po drugie jej właściciel za życia musiał cierpieć na wodogłowie, na co wskazywał rodzaj zdeformowań. Szczeka była zbyt nisko opuszczona i do tego przeraźliwie rozwarta. W każdym z oczodołów tkwiła zapalona świeca. Taka sama świeca była również przyczepiona na szczycie czaszki. Jednakże posąg nie był szkieletem. Było to ciało kobiety, tyle że również okropnie zdeformowanej - bez szyi, bez ramion, z asymetrycznymi piersiami i nogami złączonymi w jedną całość. Ze szczytu czaszki i między oczodołami do otwartej nienaturalnie szczęki, poprzez mikroskopijne ramiona do piersi, biegł zastygający strumień stearyny i, jak Indy dopiero potem zauważył, krzepnącej już krwi.

Obok posągu stał potężnej budowy strażnik mający jako ozdoby bransolety z ludzkich włosów.

Na środku siedział w pozycji lotosu i z zamkniętymi oczami Mola Ram. Była to pierwsza okazja, aby obejrzeć go sobie dokładniej, toteż Indy nie omieszkał z niej skorzystać. Gratka jako taka, gdyż Mola Ram w dalszym ciągu siedział w bawolej czaszce, była trudna do opisanego, natomiast twarz miał wymalowaną w rytualne barwy, zęby w stanie kompletnej ruiny, oczka kaprawe, a oddech śmierdzący zgniłymi rybami - ogólnie czarująca całość.

Oczka spojrzały bacznie na Jonesa, a ich właściciel odezwał się nawet poprawną angielszczyzną:

– Jestem Mola Ram. A ty zostałeś złapany podczas próby kradzieży kamieni Sankary.

– Nikt nie jest doskonały - uśmiechnął się w odpowiedzi Indy.

Dopiero teraz zauważył, że odebrane mu kamienie zostały złożone u stóp posągu śmierci, gdzie pulsowały światłem.

Kapłan właśnie się w nie wpatrywał.

– Na początku było ich pięć - zabrzmiał jego głos.

– Ale poprzez stulecia zostały rozproszone na skutek wojen i kradzieży, takich jak twoja.

– Lepszych od mojej - zaprotestował uprzejmie Indy. - Nadal wam dwóch brakuje.

– Ale wiemy, gdzie ich szukać - zaprotestował Mola Ram. - Są tutaj, nie wiemy dokładnie gdzie, ale tutaj. Sto lat temu, gdy Anglicy napadli na świątynię jeden z kapłanów ukrył je w katakumbach.

Wszystkie fragmenty układanki wskoczyły na swoje miejsce w umyśle Jonesa.

– A więc po to są wam potrzebne dzieci?

– Zgadłeś. Wkrótce je znajdą, a gdy będziemy mieli je wszystkie Thugowie będą dysponować pełnią mocy. Przy okazji wydobywają drogie kamienie do naszego skarbcza.

– Nie da się ukryć, że masz wyobraźnię - uśmiechnął się promiennie Indy.

– Nie wierzysz mi? - Najwyższy Kapłan przyjrzał mu się z ironią. - Ale uwierzysz doktorze Jones, staniesz się prawdziwym wyznawcą tej wiary.

Dał znak i strażnicy pociągnęli archeologa do posągu. Został przypięty łańcuchami, tak że stał plecami do twarzy tego obrzydlistwa i poczuł słodkawy odór krzepnącej krwi. Dopiero w tym momencie Indy zaczął się naprawdę bać. Miał do czynienia z maniakami, a tacy zawsze są najgorsi i przynajmniej w tej chwili był całkowicie zdany na ich łaskę. To się mogło źle skończyć! Ale przy drzwiach stał Short Round, a za nic na świecie nie zgodziłby się, aby chłopak był świadkiem jego słabości.

Ogromny strażnik zbliżył się do archeologa przerywając dalsze, budujące skądinąd rozważania.

– Witaj ciołku! - uśmiechnął się do niego Indy.

Olbrzym w odpowiedzi tylko się uśmiechnął - widział już brawurę na pokaz nie raz i wiedział, czym się ona kończy.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł maharadża. Za nim postępował Nainsukh trzymając w dłoniach ludzką czaszkę. Chłopak wyglądał inaczej niż piętnaście minut temu, gdy widzieli się w celi - stąpał sztywniej i miał puste spojrzenie - to właśnie uderzyło Jonesa. W oczach dziecka nie malowało się już żadne uczucie - była to przepastna głębia bez wyrazu.

– Wasza Wysokość - zwrócił się do Zalim Singha Mola Ram - będzie świadkiem przemiany złodzieja.

Ten, do którego były zwrócone te słowa, zbliżył się do Jonesa, przyglądając mu się z mieszaniną obrzydzenia i pogardy.

– Pomyliłeś się - powiedział. - Osiągnąłem już wiek i piłem krew Kali. Nie doceniłeś mnie na kolacji.

Indy zignorował go. Zobaczył jak Mola Ram bierze czaszkę z rąk chłopca i unosi w górę. Gdy zbliżył ją do światła Jones poznał swoją pomyłkę - to nie była czaszka - to była rozkładająca się i gnijąca głowa ludzka. Wykrzywiona w grymasie uśmiechu, prawie bez nosa i wywalonym na wierzch językiem. Wypadały z niej włosy i płatami odchodziła skóra. Ale jej rysy były jeszcze rozpoznawalne.

Strażnik złapał go nagle od tyłu, wykręcając głowę i zmuszając do otwarcia ust.

Zanim do Amerykanina dotarło o co chodzi, Najwyższy Kapłan przechylił ten makabryczny kielich umieszczony nad otwartymi ustami więźnia i po wywalonym języku z wpółotwartych ust spłynęła kaskada brunatnej cieczy... prosto w otwarte usta Jonesa.

– Nie pij Indy! Wypluj to! - wrzasnął pełen przerażenia Short Round widząc rozgrywającą się przed jego oczami scenę.

W pierwszej chwili Indy został zaskoczony i zdezorientowany. Oczekiwał wszystkiego - tortur, czarów, perswazji, ale nie tak strasznej

zagrywki z piciem. Dlatego też usta miał pełne roztworu zanim go wypluł, a że od najmłodszych lat miał dobre oko, więc ucierpiał na tym Mola Ram. Opluty cofnął się wściekły. Oblizął wargi i coś zamamrotał po hindusku do maharadży.

W odpowiedzi Zalim Singh wyciągnął z zanadza małą laleczkę; miała spodnie i szerokoskrzydły kapelusz, jej twarz była jaśniejsza niż twarze krajowców, a na niej były wymalowane nawet dość dokładnie rysy twarzy Amerykanina. Wyglądała z daleka jak miniatuurka Indiany Jonesa. I była nią.

Młody adept sztuki magicznej pokazał ją najpierw oryginałowi, a potem dokładnie ją wytarł o ciało Indiany, żeby nasiąkła jego potem i zaczął przypalać ją nad żelaznym trójnogiem.

Lalka zaczęła dymić, a ciałem Amerykanina wstrząsnęły spazmy bólu, z ust wydarł się krzyk.

– Doktorze Jones! - wrzasnął Shorty.

Już samo obserwowanie tego co się działo było makabrą. Chińczyk posłał maharadży kwiecistą wiązanekę i skoczył na młodego monarchę. Palnięty w ucho młodzieniec przewrócił się na ziemię, a lalka poleciała w kąt.

Indy przestał się skręcać.

Short złapał pejcz, ale został posłany do przeciwległego kąta przez potężne uderzenie jednego ze strażników.

Mola Ram polecił coś swoim ludziom i Jones został momentalnie odcięty od posągu, a następnie przymocowany twarzą w stronę twarzy posągu. Jeden ze strażników podniósł bicz.

Nainsukh poszedł ponownie napełnić głowę, a strażnicy złapali wściekłe kopiącego Short Rounda i przypięli go do wiszących na ścianie łańcuchów.

A potem obaj dostali chłostę - najpierw Indy, potem Shorty i na końcu znowu Indy. Krew z pociętych pleców Jonesa zdawała się jeszcze bardziej doprowadzać do furii kapłana.

Powrócił młody Hindus z powtórnie napełnioną czarą.

Archeolog został ponownie przypięty plecami do posągu. Potężny strażnik odchylił jego głowę do tyłu i zmusił go do otwarcia ust, tyle że teraz zatkał mu nos. Mola Ram zaczął wlewać miksturę do ust Jonesa.

– Anglicy w Indiach zostaną zabici! - stwierdził w trakcie tej czynności.
- Potem zapanujemy nad muzułmanami i zmusimy ich Allacha, aby pokłonił się Kali. A potem to samo spotka Boga Hebrajczyków. I w końcu upadnie i zostanie zapomniany Bóg chrześcijan.

Operacja została zakończona, po czym usta Jonesa zostały zamknięte przez strażnika. Następnie nastąpił krótki, acz gwałtowny cios w brzuch i próbujący złapać powietrze Amerykanin połknął przynajmniej połowę płynu, zanim resztę zdołał wypluć.

– Wkrótce Kali Ma zapanuje nad światem! - obwieścił zadowolony Mola Ram.

Willie przedostała się przez korytarz, odblokowując drzwi-pułapkę i patrzyła dokładnie pod nogi, gdy przechodziła tę komnatę. Robaki oblaży ją dokładnie i przez cały dalszy marsz otrzepywała się z nich.

Teraz nie miała czasu na spory - musiała ratować siebie i Indiego. Na załamanie nerwowe przyjdzie czas potem, a przynajmniej taką miała nadzieję.

W końcu wpadła do swojej sypialni. Przebiegła ją i znalazła korytarz. Zaczynało już szarzeć, zbliżał się świt - co zresztą nie zmieniało faktu, że w zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Runęła przez korytarz i sale krzyżąc co się w płucach. Nagle zauważyła kątem oka jakiś ruch - obróciła się gwałtownie i omal nie zemdląca. Spoglądała na nią jakaś skołuniona, brudna i pokrwawiona poczwara w dodatku wykrzywiona szkaradnie. Minęła dłuższa chwila zanim uświadomiła sobie, że patrzy w lustro.

W chwilę później pojawiła się tam również inna twarz. Odwróciła się z okrzykiem przerażenia i wpadła prosto na premiera.

– O Boże, ale mnie pan przstraszył! - jęknęła.

– Niech pan słucha, musi pan iść na pomoc. Znaleźliśmy tunel...

W tym momencie zza narożnika wyłonił się kapitan Blumburt. Na Willie nie zwrócił uwagi, natomiast do Chattar Lala powiedział:

– Jonesa nie ma w pokoju.

Dopiero teraz zauważył dziewczynę. W jego twarzy nie drgnął żaden muskuł. Skłonił się na powitanie i powiedział:

– Miss Scott, moje oddziały wyruszają o świcie. Jeżeli pani chce, możemy panią eskortować do Delhi.

Willie zbladła.

– Nie, nie możecie odejść. Stało się coś strasznego. Złapali Short Rounda i myślę, że Indy został...

– Co? - zdumiał się Blumburt. Dziewczyna tłumaczyła chaotycznie.

– Znaleźliśmy tunel, który prowadzi do podziemnej świątyni rozciągającej się pod pałacem.

Proszę, chodźcie ze mną, to wam pokażę.

Obaj mężczyźni wymienili spojrzenia, ale Willie było już wszystko jedno. Złapała Blumburta za ramię i zaczęła go ciągnąć do swojego pokoju.

Chattar Lal podążył za nimi.

– Miss Scott - odezwał się. - Proszę mi wybaczyć, ale postępowanie pani jest trochę bez sensu.

Zęby Willie zaszczekały o siebie, ale zdołała się odezwać:

– Szybciej! Boję się, że ich zabiją. Widzieliśmy straszne rzeczy, tam w dole, ofiary z ludzi.

Przynieśli tego biedaka i jeden z nich sięgnął do jego piersi i wyrwał mu serce.

Obaj mężczyźni ponownie wymienili spojrzenia. Tym razem były o wiele bardziej sceptycznie.

– Kto? - spytał najuprzejmiej jak umiał Blumburtt.

– Kapłan! - sapnęła. - Zabrali Short Rounda i Indy zniknęły... Ja nie wiem gdzie. Dokładnie pod moją sypialnią jest ta gigantyczna katedra, świątynia śmierci. Tam jest jakiś kult ze świętymi kamieniami, których szukał Jones. Tylko nie wiem jaki kult.

Chattar Lal uśmiechnął się z przymusem.

– Czuję w tym wszystkim zapach opium. Może Miss Scott nabrała tego zwyczaju w Szanghaju?

Dziewczyna ponownie poczuła przyływ złości.

– O czym ty gadasz? Nie jestem jakimś głupim czubkiem! Widziałam to! I tobie też pokażę.

Wepchnęła ich do sypialni.

– Jest tu nadal! - krzyknęła z tryumfem wskazując czarną dziurę ziejącą w ścianie. - Mówiłam wam!

Blumburtt bez słowa wziął jedną ze stojących w pobliżu lamp i zbliżył się do ciemnego otworu... gdy nagle ukazał się w nim Indiana strzepujący żuki ze spodni.

– Dobry wieczór panom. Co to? Jakieś zebranie towarzyskie? - pozdrowił ich uprzejmie.

Wszystkich zaskoczyło jego nieoczekiwane pojawienie się, toteż przez chwilę panowała cisza. Pierwsza otrząsnęła się Willie. Podbiegła i objęła go mocno, czując że jej wytrzymałość minęła już dawno swoje granice.

– Indy! - jęknęła. - Powiedz im co się stało. Nie chcą mi uwierzyć!

Trzęsąc się zarówno ze zmęczenia, jak i po minionych psychicznych przejściach pozwoliła się doprowadzić do łóżka. Indy siadł przy niej.

– Już dobrze, już wszystko w porządku - szepnął.

– Jesteś bezpieczna.

– Oni myślą, że jestem niespełna rozumu - poskarżyła się. - Powiedz im, że nie, Indy, proszę, pomóż mi.

Amerykanin położył ją na łóżku i pogłaskał po policzku.

– Wiesz, jesteś już prawdziwym trampem - powiedział łagodnie.

– Co? - spytała przez łzy.

– Powinnaś teraz spać.

– Chcę do domu... - szepnęła zamykając oczy.

– Masz rację, to nie było coś co można nazwać wesołymi wakacjami.

Pod wpływem jego głosu poczuła się nagle bezpieczna i bardzo, ale to bardzo zmęczona... materace były takie miękkie i było jej tak dobrze... tak bezpiecznie... przy nim.

Indy, Blumburt i Chattar Lal wyszli na werandę. Świtało i powietrze było świeże, a w dolinie widać było kawalerzystów kulbaczących konie i krzątających się przy nich.

– Całe życie łąziłem po różnych tunelach i jaskiniach - odezwał się Jones. - Nie powinienem zabierać w takie miejsca kogoś takiego jak Willie.

Oficer przytaknął, jakby to potwierdzało jego podejrzenia.

– Miss Scott uległa atakowi paniki?

– Zemdlała na widok robactwa, więc odniosłem ją do jej pokoju, a potem wróciłem, żeby się dalej rozejrzeć.

– Indy spojrzał na Lala i dodał: - Musiała mieć koszmary.

– Biedactwo - dodał premier.

– Musiała się obudzić i nie dotarło do niej, że to sen - wybiegła z pokoju i wpadła na panów - dokończył Indy.

Blumburt przypatrywał się przez chwilę słońcu, wstającemu nad tym skrawkiem Imperium, po czym spytał:

– Znalazł pan coś w tym tunelu, doktorze?

Indiana wpatrzył się w to samo słońce, tyle że dla niego wschodziło ono w innej rzeczywistości.

– Nie - odparł. - Tunel po kilkuset metrach kończy się ślepo. Od lat zresztą nikogo tam nie było.

Przed werandą zatrzymał konia sierżant-major i zameldował gotowość oddziału do drogi. Blumburtt skinął na potwierdzenie i zwrócił się do Chattar Lala:

– Naturalnie zamelduję, że w Pankot nie stwierdziliśmy nic nienaturalnego.

– Pewien jestem, że to ucieszy maharadzę, kapitanie.

– Jak już proponowałem, doktorze - oficer skierował swe słowa do Jonesa - będę szczęśliwy mogąc eskortować państwa do Delhi.

– Dziękuję - uśmiechnął się Indy - ale nie sądzę, by Willie była już gotowa do drogi.

Kurz pokrył dolinę, gdy przeciągała kolumna wojsk brytyjskich - po kolei: piechota z pułkiem szkockim na czele (oczywiście prowadzili kobziarze), potem kawaleria (z kapitanem Blumburttem na czele), na końcu wozy taborowe i biedaki z cekaemami.

Dość szybko zniknęli za zakrętem pozostawiając pałac Pankot i jego mieszkańców samym sobie.

Willie na wpół obudziła się pod wpływem przeraźliwej muzyki kobziarzy. Ale ponieważ dźwięk był tak dziwny, nie była pewna czy to dalszy ciąg snu czy początek jawy. Przez zaciągnięte moskitiery zauważyła, że drzwi od sypialni otwierają się. Zobaczyła wchodzącego Indianę i uśmiechnęła się. W końcu do niej przyszedł. Przesunęła się robiąc mu miejsce. Usiadł na brzegu łóżka, ale został w tej pozycji - tyłem do niej z opuszczonymi ramionami. Biedak musiał być straszliwie zmęczony.

– Indy, rozmawiałeś z nimi?

– Tak.

– Więc już mi wierzą? - upewniła się.

– Więc już ci wierzą.

Jego głos był dziwnie monotony. Musiał być bardziej zmęczony niż przypuszczała. Teraz jej kolej być miłą.

– A więc posłali na dół żołnierzy? - zapytała.

Nic nie odpowiedział. Miała cichą nadzieję, że nie usnął siedząc. Postanowiła to sprawdzić.

– Byłam śmiertelnie przerażona ostatniej nocy - wyznała - kiedy myślałam, że chcę cię zabić.

– Nie chcieli mnie zabić.

A więc nie spał! Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Wiesz, od samego naszego poznania byłeś przyczyną moich kłopotów - powiedziała miękko. - Ale żałowałabym, gdybym cię utraciła.

Powoli odwrócił się.

– Nie straciłaś mnie, Willie.

Cofnęła rękę i zobaczyła, że palce ma pokryte krwią. Odwrócił się tak, że jego twarz znalazła się na wprost jej twarzy.

Muślinowa zasłona wisiała między nimi odbierając ostrość widzenia, ale nawet przez nią dostrzegła, że coś się w nim zmieniło. Zmieniły się oczy. Normalnie takie głębokie i czyste z tymi irytującymi złotymi iskierkami teraz były puste i mroczne, jakby coś blokowało dostęp do ich wnętrza.

Wstrząsnął nią dreszcz. Pomimo wszystko straciła go.

Poranna uroczystość rozpoczęła się w świątyni śmierci. Morze wiernych zalało jej wnętrze skandując w rytm wichury.

Pomiędzy wyznawcami na małej platformie siedział młody maharadża wpatrując się z natężeniem w ołtarz Kali Ma i skandując razem z innymi:

Jai ma Kali, jai ma Kali...

Znów trzy kamienie lśniły magicznym blaskiem u stóp demonicznej bogini. Spoza oparów otaczających posąg zmaterializował się Najwyższy Kapłan. On również skandował w tym rytmie.

Jai ma Kali, jai ma Kali...

Z bocznej sali wyszły kapłanki odziane w czerwone tuniki i dołączyły do stojących po obu stronach ołtarza kapłanów. Mola Ram przemówił w sanskrycie do zgromadzonych.

Głowy wiernych pochyliły się ze czcią.

Chattar Lal również ubrany w powłóczyste szaty, tyle że białe, stał po lewej stronie ołtarza.

Obok niego Indiana Jones wpatrywał się w ognistą czeluść.

Amerikanin przeżywał teraz swoje nocne zmory.

Płynny ogień w dole czeluści opadał, podnosił się i skręcał, aby zmienić w czarne ptaki, które fruwały wściekle i próbują znaleźć miejsce do lądowania. Ciągłe wyżej i wyżej lecą, obijają się o siebie i o ściany. Wzlatują z przepaści ... i wpadają do wnętrza głowy. Głowa jest pusta. Wypełnia ją tylko trzepot skrzydeł, tylko ... Ptaki chyba nie mają gdzie usiąść, bo przez cały czas latają i obijają się o wnętrze czaszki.

Cienie szepczą w południe ...

Gdzieś coś się kołacze poza zasięgiem świadomości.

Gdzieś skwierczy łuczywo.

Poruszył się bez ruchu i z powrotem - w czasie, w przestrzeni. Podziemia.

Spragniony krwi w takt czarnej pieśni poprzez tunele jasno oświetlone obecnością śmierci zjawił się w pokoju Willie.

„Dobry wieczór panom. Co to? Jakieś zebranie towarzyskie?”

Willie była też czarownicą. Dotykała jego pleców - jej palce były ognistymi szponami rozdzierającymi skórę.

„Indy, powiedziała. Powiedz im co się stało. Nie chcą mi uwierzyć”. Jej włosy były w ogniu, a jej usta to była bezdenna przepaść, jej język był salamandrą, a oczy tysięcznym odbiciem jej wstrętnej duszy.

Położył ją do łóżka i jej płonące włosy dotknęły jego twarzy powodując, że ptaki zaczęła wściekle się obijać o ściany.

„Już dobrze, już wszystko w porządku, jesteś teraz bezpieczna”.

„Oni myślą, że jestem niespełna rozumu, powiedz im, że nie, Indy, proszę, pomóż mi”.

Salamandra wysunęła się z jej ust, gdy położyła mu głowę na piersiach i połykała kawały ciała wyszarpywane z jego piersi.

Gdy położył ją w końcu do łóżka i powiedział, że jest prawdziwym trampem, po jej policzkach popłynęły łzy - krwawe łzy. Dotknął ich i zamieniły się w lawę palącą jego palce do kości.

„Co?” szepnęła.

„Powinnaś teraz spać”.

Wąż z jej ust zabrał się teraz do jego żebra.

„Chcę do domu” powiedział.

Jego dom był w piersiach Indiany. Wpełzł tam i uspokoił się zwinięty w kłębek.

„Masz rację, to nie było coś, co można nazwać wesołymi wakacjami”.

Czarownica spała.

Ptaki fruwały.

Poszedł z Blumburtem i Chattar Łałem na werandę.

Kapitan nie miał twarzy. Premier mówił, ale słowa wypowiadały usta Indiego.

„Całe życie łąziłem po różnych tunelach i jaskiniach. Nie powinienem tam brać ze sobą kogoś takiego jak Willie”.

Oficer bez twarzy przytaknął.

„Zemdląła na widok robactwa, więc odniosłem ją to jej pokoju, a potem wróciłem, żeby się dalej rozejrzeć”.

Wąż w jego piersi zmienił pozycję ocierając się o żebra.

„... Musiała mieć koszmary. Biedactwo”.

Dwa ptaki uderzyły boleśnie o sklepienie czaszki i ranne spadły w dół. Leżały tam bezsilne i przerażone.

„Znalazł pan coś w tym tunelu, doktorze Jones?”

„Nie. Tunel po kilkuset metrach kończy się ślepo. Od lat zresztą nikogo tam nie było”.

Ślepy koniec.

Pustynie.

Puste wnętrze jego czaszki załomotało echem, echem łamanych dziobów skrobiących skałę.

Martwo i pusto.

Ptaki zniknęły.

„Dziękuję, ale nie sądzę, żeby Willie była gotowa już do drogi”.

Wrócił do jej pokoju. Nadal spała.

Czarownica skulona na swoim łóżku.

Wąż w jego piersi poruszył się.

Czarownica obudziła się Usiadł przy niej, ale twarzą w stronę pokoju, aby nie zobaczyła krwawej dziury w jego piersi, przez którą wystawał łeb gada.

„Indy, rozmawiałeś z nimi?”

„Tak”.

„Więc teraz mi wierzą?”

„Tak, teraz ci wierzą”.

Bez wątpienia nas opuścisz czarownico z płonącymi włosami. Zginiesz, zanim bestia wewnątrz mnie dotrze do serca.

„Myślałam, że chcą cię zabić”.

„Nie chcieli mnie zabić”.

Wczepiła się paznokciami w jego plecy, drąc skórę i upuszczając jego krew.

„Nie chcę cię stracić”.

Obrócił się i zobaczył w jej zwierciadlanych oczach swoje odbicie. Człowieka z dymu, z twarzą wykrzywioną przez strach, broczącego krwią, starającego się uspokoić węża i słuchającego w napięciu czy nie rozlegnie się przeraźliwy krzyk.

Wąż zwinął się.

Z daleka słyhać było trzepot skrzydeł.

Indiana wpatrywał się w ogień, podczas gdy Najwyższy Kapłan przemawiał. Chattar Lal tłumaczył jego przemowę Jonesowi.

– Mola Ram mówi o naszym zwycięstwie. Powiedział, że Anglicy opuścili pałac, co jest nowym dowodem mocy Kali Ma.

Indy przytaknął mechanicznie.

– Tak, rozumiem.

I co dziwniejsze - rozumiał to doskonale.

Kapłan zakończył orację. Skandowanie wzmocniło się. Wiatr zawodził, a opary z czeluści gęstniały. Indy obrócił się i wpatrywał z natężeniem w twarz górującego nad nim bóstwa.

Poniżej świątyni w mrocznej kopalni dzieci darły ziemię i skały krwawiącymi rękoma. Gruby strażnik poganiał batogiem leniwych i zbyt wycieńczonych. Często w kopalni obsuwały się lawiny kamieni grzebiąc pod sobą małych niewolników.

Teraz, razem z hinduskimi dziećmi, przebywał tam przykuty za kostki do wspólnego łańcucha Short Round. Razem z pięciorgiem innych zaczynał nowy tunel, kiedy w końcu sytuacja zaczęła małemu Chińczykowi zdecydowanie śmierdzieć. Coś tu było nie w porządku, nie wiedział tylko co - toteż usiadł sobie spokojnie na ziemi i zaczął się zastanawiać.

Modły do bogów zawiodły, przodkowie go opuścili, Indy... nie, o nim lepiej nie myśleć. Doktor wypił to zaczarowane świństwo i stał się jednym z nich. Jest stracony!

Ale ... ale ciągu dalszego nie było, gdyż skórzany pejcz świsnął w powietrzu i przez plecy Shorta przebiegła błyskawica bólu. Nie wrzasnął tylko dlatego, że doświadczenie nauczyło go, iż strażnicy z równą wściekłością tępią lenistwo, co i wrzaski. Zabrał się więc czym prędzej do roboty zacisnąwszy zęby.

Razem z dwoma innymi chłopcami wyłamali potężny odłam skały ze ściany. Długo się trzymał, ale w końcu odskoczył z łoskotem i zleciał w dół razem z małą lawiną odłamków.

Shorty spojrział w powstały w ten sposób otwór i nie mógł powstrzymać się od krzyku. Odkryli jedną z odnóg strumienia lawy. Strumień poruszał się powoli, ale teraz nagle spiętrzył się i zasyczał jak podrażniona kobra.

Dzieci uderzyły w krzyk ścigając strażnika. Ten najpierw je stłukł, klnąc na ich głupotę, a potem popatrzył na to, co było w otworze.

Nagle coś zabulgotało i ze świstem mały strumyczek przelał się przez krawędź, tworząc błyskawicznie kałużę wokół nóg strażnika. Ten wrzasnął dziko i odskoczył próbując utrzymać się na nogach. Nie udało mu się to i w powietrzu rozniósł się swąd spalonego mięsa.

Gdy zafascynowane i, nie da się ukryć, uradowane z nieszczęścia dzieci obserwowały swojego prześladowcę, zaszło nagle coś bardzo dziwnego. Jego twarz jakby odtajała, a oczy, jeszcze przed chwilą krwawe i zamglone, wypełniły się teraz nagle uczuciem.

Strażnik przestał kłać. Jego wzrok skupił się na Shortym. Mężczyzna wyglądał na bardzo wdzięcznego. Tak jakby zrozumiał, że przeżywał upiorny sen, a teraz obudził się. Zaczął przeproszać małego Chińczyka - najpierw w hindi, potem po angielsku, ale nie dane mu było dokończyć. Zwabieni krzykiem zbiegli się inni pilnujący i widząc co się dzieje podnieśli leżącego i ruszyli w głąb tunelu. Ranny próbował z nimi walczyć. Próbował uciec. Nie chciał wracać do koszmaru Kali. Short Round obserwował tę scenę roziskrzonym wzrokiem. Ledwie zdołał powstrzymać

się od okrzyku radości, gdy strażnicy byli jeszcze w pobliżu. Ale gdy tylko się oddalili, chłopak uśmiechnął się do siebie.

– Ogień - szepnął. - Ogień ich budzi. Mogę uwolnić doktora Jonesa!

Zanim skończył przedstawiać swoje odkrycie w artykułowanej formie, sprawdził, że dozorczy zniknęli z pola widzenia za zakrętem. Złapał spory odłamek skały i zabrał się do roboty. Pozostałe dzieci obserwowały go zatrwożone, nie rozumiejąc tych poczynań i obawiając się, że jego działanie może spowodować ogólną chłostę.

Shorty tymczasem z zapalem walił głazem w łańcuch skuwający jego nogi. Był on porządnie przerdzewiały co zauważył z dużą radością. Nie powinien więc zbyt długo się opierać. Dodatkowym atutem chłopca było to, że strażnicy nie obawiali się próby ucieczki. No bo i gdzie miał taki dzieciak uciec? Shorty uśmiechnął się na myśl o swojej nowo nabytej wiedzy.

„Wiedza to potęga!” mawiał doktor Jones. I dzięki tej potędze on mógł teraz uwolnić swego przyjaciela.

Chińczyk był zdecydowany uciec i ku zaskoczeniu strażników, gdyby się o tym dowiedzieli, miał gdzie uciekać.

Wiatr zawodził w potężnej jaskini dołączając do monotonnego skandowania zgromadzonych w niej wiernych.

Mola Ram skończył mówić.

Młody maharadza wpatrywał się z ekstazą w płomienie i dym.

Za Indianą stał Chattar Lal.

– Rozumiałeś co powiedział? - spytał szeptem neofitę. Jones skinął głową i monotonna wyrecytował:

– Kali Ma strzeże nas. Jesteśmy jej dziećmi. Radujemy się składając jej ofiary z mięsa i krwi.

Premier wyglądał na zadowolonego - uczeń okazał się pojętny i szybko przyswajał sobie wiedzę. Jego rozmyślania przerwał donośny i przerażający kobiecy krzyk dochodzący zza ołtarza.

Bez śladu emocji Indy obserwował, jak dwóch kapłanów przynosi stamtąd Willie. Była ubrana w strój, w jakim brała udział w uroczystej kolacji, tyle że teraz był on dodatkowo ozdobiony świeżymi kwiatami.

Chattar Lal zbliżył usta do ucha Indiego.

– Twoja przyjaciółka widzi i słyszy, ale już wkrótce nie będzie mówić.

Ciągnięta przed statuę Kali, Willie zobaczyła Indianę.

– Indy! Pomóż mi! Na litość boską co się z tobą dzieje?!

Wołany stał nieruchomo patrząc jak kapłani stawiają ją przed kamiennym posągami.

Czarownica syczała na niego: „Indy, pomóż mi! Na litość boską co się z tobą dzieje”, ale mógł się z tego już śmiać. Wszystko teraz było czerwone, ale w ten sposób, że wszystko co było ciemne stało się jasne i odwrotnie.

Tylko czarownica była czarna. Czarna i brzęcząca jakby składała się z dziesięciu tysięcy wściekłych szerszeni.

Zzzzzzzzzzzzzzzzzzzzz - wrzeszczała do niego.

Ciiii... - pomyślał. - Obudzisz węża. Ale teraz jest tu Kali. Samo polecenie bogini było w stanie uciszyć szerszenie i uspokoić węża w jego piersi. Ale tylko przez ból i tortury Kali Ma dawała się nakłonić do takiego działania.

Indy zerknął na podłogę - żywy boa przemykał po kamiennej posadzce zmierzając do jakiejś mrocznej kryjówki. Wziął go na rękę i głaskał po głowie - teraz byli braćmi. Trzymał gada przy piersi w pobliżu jego kuzyna, który spał w niej. I trzymał go wysoko, żeby dziewczyna mogła go zobaczyć.

Willie nie mogła uwierzyć w to co się dzieje.

– Indy? - jęknęła. - Nie pozwól im tego zrobić!

Ale Indianie nie drgnął ani jeden mięsień. Dalej bawił się tą cholerną zmiłą. A więc musiała umrzeć. I to umrzeć w straszliwych męczarniach. W boleściach. I samotnie. Musieli w jakiś sposób go opanować - w końcu to dostrzegła. Tylko jak go spętali? Bo Indy był spętany - przynajmniej tak wyglądał.

Kapłani zamknęli żelazne obręcze wokół kostek jej nóg i nadgarstków i przymocowali ją do żelaznej klatki.

– Przestańcie! To boli! - krzyknęła. - Wy wstrętne, brudne chamy!

Ponieważ nie dawało to żadnego rezultatu zmieniła taktykę.

– Panowie, nie bądźcie tacy. Przecież nic wam nie zrobiłam.

Gdy i to nie wywołało żadnego efektu krzyknęła rozpaczliwie:

– Indy!

Mola Ram pojawił się przed nią, a Indy odwrócił wzrok, upuszczając jednocześnie węza, który czym prędzej podążył do ciemnego i spokojnego kąta.

Mola Ram pokłonił się nisko i wyciągnął dłoń w stronę jej serca. Gdyby nie to, że była przykuta do klatki niechybnie padłaby na podłogę. Widziała poprzednio tę operację i sam jej widok był wystarczająco okropny, a teraz ona brała w tym udział. Poczuła, że nogi ma jak z waty i zaczęła się targować:

– Poczekaj, przecież nic a nic nie zrobiłam. Znam osobiście dużo ważnych osobistości: polityków, przemysłowców. Byłam na obiedzie z Czang Kai-Szekiem. Znam ludzi, którzy pracowali dla Al Capone. A ty chyba masz kuzyna nazwiskiem Frank Nitti, żyje w Chicago. Jesteście bardzo do siebie podobni.

Hindus nie zwrócił na tę przemowę najmniejszej uwagi.

Poczuła, że jego lodowate palce dotykają sukni ponad piersią. Było to obezwładniające uczucie zupełnie jakby ktoś złapał za szyję i zaczął dusić.

Zemdląca.

Short Round tymczasem pracował wytrwale. Ramiona mu mdlały, ale zdawał sobie sprawę, że bez niego zginą wszyscy i Willie też.

Pozostałe dzieci wpatrywały się w niego z napięciem. Co prawda pomoc by mu się przydała, ale wyglądały tak dziwnie, że przestał na nie liczyć.

W końcu po kolejnym uderzeniu łańcuch pękł. A raczej nie łańcuch tylko obręczce ^obejmujące kostkę. Jakby nie było i co by nie było - był wolny.

Mali więźniowie wpatrywali się w niego z niedowierzaniem. Jak na tutejsze warunki był to niebywały luksus - być wolnym - mógł robić co chciał, jak długo go nie złapią, i iść gdzie tylko chciał, jak długo nie zaczną go gonić.

Shorty rozejrzał się po na wpół ciemnym, rozświetlonym tylko migotliwym blaskiem pochodni, pomieszczeniu. Nie opodał dwójka dzieci pchała wypełniony gruzem wagonik. Przemknął się ku nim wykorzystując cienie zalegające tunel i pod tą osłoną wy dostał się na szersze wody, czyli na inny poziom kopalni.

Pozostałe dzieci obserwowały go uważnie, ale nie odezwały się słowem.

W świątyni Willie ocknęła się i odetchnęła z ulgą - Mola Ram nie zabrał jej serca. Nikły płomyk nadziei zaświecił jej w mroku. Może jeszcze nie wszystko stracone. Szarpnęła się desperacko próbując uwolnić ręce i... dobry Boże, udało jej się! Jedna z bransolet przytrzymujących dłonie otwarła się ze szczękiem. Sięgnęła prawą ręką, aby uwolnić lewą i jednocześnie po raz ostatni spróbowała przemówić Jonesowi do rozsądku:

– Indy, pomóż mi! Nie jesteś jednym z nich. Proszę! Proszę cię, wróć do mnie!

Powoli zbliżył się do niej i delikatnie ujął jej wolną dłoń, zbliżył ją do ust i złożył na niej pocałunek.

Spojrzeni sobie głęboko w oczy. Potem powoli umieścił jej rękę tam, gdzie była przed chwilą i zatrzasnął obręcz unieruchamiając ją. Po czym równie spokojnie zamknął drzwi klatki i obrócił się w stronę arcykapłana.

Ten skinął z uśmiechem głową i dołączył do ogólnego skandowania.

– Nie! Coś ty zrobił? Zidiociałeś do reszty?!

Willie w pierwszym momencie była całkowicie ogłupiona. Przytomność i zdolność mówienia wróciły jej dopiero po pewnym czasie. Żeby tak się zachować! Toż to przechodzi ludzkie pojęcie!

Indy spojrzał na nią. Splunęła mu w twarz. Nigdy nikogo nie nienawidziła z taką mocą. I już nikogo nie będzie. Miała cichą nadzieję, że Jones usmaży się w piekle.

Czarownica splunęła - z przepastnych głębin jej mrocznych ust wyleciała błyskająca niczym płonąca kometa ślina. Jej brzęczenie stało się bardzo głośne, prawie zagłuszając trzepot skrzydeł. Ślina trafiła go w twarz.

Brzęczenie ustało, ale kometa paliła teraz jego skórę niczym ogień. Ból obudził węża, który zaczął się ruszać...

Tylko Kali może ukoić to cierpienie. Jeśli tylko zwróci się do niej i połączy z nią. Wszystko jest możliwe dla Kali Ma.

Spokojnie i z godnością wytarł twarz i odszedł od niej dołączając do orszaku stojącego obok ołtarza.

Zaczął skandować razem z innymi:

Mola Ram, Sunda Ram, jai ma Kali, jai ma Kai...

Arcykapłan i Chattar Lai wymienili zadowolone spojrzenia.

Skandowanie stało się głośniejsze, a wycie wiatru przeszło w wysoki jęk.

Short Round znalazł się w następnym korytarzu, który wydał mu się dziwnie znajomy. Ostrożnie wyjrzał zza rogu i uśmiechnął się zadowolony sam z siebie. Tak jak pamiętał była to komnata tego wstrętnego czarownika.

Wszedł ostrożnie do środka - nie było nikogo. Były natomiast rzeczy Indiego. Pozbierał je błyskawicznie. Kapelusz wsadził na głowę, torbę przerzucił przez ramię, bicz zaczepił przy pasku.

Poczuł się jak zmniejszona kopia Indiany Jonesa.

Wyprostowany wymaszerował z komnaty i ruszył tunelem prowadzącym do głównej jaskini. Tu zobaczyło go dwóch strażników. I natychmiast zaczęła się pogoń.

Teraz naprawdę poczuł się jak Indiana Jones.

Rzucił się biegiem przez labirynt korytarzy, poprzez sale, gdzie zwożono urobek, poprzez miejsca, gdzie brygady skute wspólnym łańcuchem pracowały przy powiększaniu tunelu. Słowem - przez całe to kretowisko.

Mając dobrą zaprawę w lego typu gonitwach i mocne nogi dość szybko zgubił pościg, ale i sam stracił rozeznanie kierunku. Na właściwy cel trafił zupełnie przypadkowo. Ale to co zobaczył zaparło mu z wrażenia dech - jakieś dwadzieścia jardów od niego stała potężna drabina prowadząca, jak pamiętał, na poziom świątyni.

Z jednego z tuneli wyszedł dzieciak niosący worek odłamków skalnych, podszedł do drabiny i usiadł przy niej wyczerpany. W następnej chwili już stał wytrzeszczając zdumione oczy. Short rzucił się bowiem biegiem w kierunku drabiny. Oszołomiony chłopak stał gapiąc się bez słowa. Patrzył, jak mały Chińczyk przebiega obok niego i zaczyna się wspinać po szczeblach (wyglądało to zupełnie jak ostatnia scena „Wroga publicznego” w wykonaniu Jamesa Cagney).

Short Round miał tylko nadzieję, że nie będzie to jego ostatnia scena. Był gdzieś w połowie drogi, gdy dojrzał go jeden ze strażników. Z głośnym okrzykiem runął w stronę drabiny.

Dzieci pracujące w pobliskich alkowach przestały dłubać w ziemi i z przejęciem obserwowały rozgrywającą się w górze scenę. Gdy Shorty osiągnął szczyt, miał już niezłe audytorium i o dziesięć stóp niżej strażnika.

Chińczyk wbiegł do tunelu, o którego wyjście opierała się drabina i zniknął., aby po chwili wrócić biegiem i użyć całego impetu do odrzucenia drabiny. Skok był piękny, a efekt wspaniały - drabina przechyliła się w tył razem z przyczepionym z całych sił strażnikiem, zatrzymała na moment w położeniu prostopadłym do podłogi, ale wygięty na jej czubku Shorty przeważył i runęła w tył.

Patrzące na to dzieciaki wstrzymały oddech. To co zrobił było pewnym samobójstwem, a szkoda im było tego odważnego i przedsiębiorczego rówieśnika. Nie wzięły tylko pod uwagę jednego - liny zwieszającej się z otworu położonego na poziomie wyższym niż ten, z którego wybiegł Shorty. Ponieważ ściana była skośna im bliżej sklepienia, lina owa wisiała na poziomie szczytu drabiny pionowo. W chwili gdy przeważona drabina była już na najlepszej drodze w tył, jej czubek minął linę, a Short wyciągnąwszy się na całą swoją długość dosięgnął jej końca. Drabina dokończyła swoją drogę już tylko z jednym pasażerem i z donośnym trzaskiem wylądowała na ziemi.

Short wisiał przez chwilę na bujającym się sznurze, po czym błyskawicznie się po nim wdrapał i żegnany owacją młodej widowni zniknął w korytarzu.

Korytarz był ciemny, prosty i krótki. Zza zakrętu dochodziły jakieś pomruki i z tego chłopak wywnioskował, że jest tam więcej ludzi. Ale i tak nie miał innej drogi, toteż ostrożnie podkrał się do zakrętu i wyjrzał.

W oczy uderzył go czerwony blask ognia oświetlający czarną postać posągu Kali znajdującego się na wprost niego. Był w małym pokoju znajdującym się dokładnie za ołtarzem.

W świątyni tymczasem rozległ się szcęk łańcuchów i jęk zawiasów, gdy kapłani manewrowali metalową klatką.

W końcu Willie znalazła się twarzą w twarz ze szczeliną wypełnioną bulgocącą lawą. Twarzą w twarz ze swoją własną śmiercią. Nie wierzyła w

karmę, reinkarnację, niebo czy cuda - a teraz tylko cud mógł ją uratować.

Wstrzymała oddech - miała tylko nadzieję, że zanim się zapali, zdąży się udusić trującymi wyziewami płynnej magmy.

Mola Ram dał znak i kapłani przy potężnym drewnianym kołowrocie zwolnili zapadkę. Klatka powoli zaczynała się opuszczać. Tłum skandował, Willie krzyknęła, Indy odwrócił się i patrzył.

Czarownica wisiała nad otworem w swojej prawdziwej postaci - gigantycznego kruka, nieporadnie się trzepocząc. Teraz nie była już groźna, tak jak ptaki we wnętrzu jego czaszki. Teraz była tylko zmieszana, unosiła się i krzyczała widząc swoje przeznaczenie i widząc swój koniec.

Pustka i cisza - te dwa odczucia wypełniły jego czaszkę.

Trucizna wypełniła jego piersi. Teraz wie. Teraz ona wie już wszystko.

A za chwilę umrze.

Indiana dołączył do ogólnego skandowania.

Willie wisiała w żelaznej klatce patrząc na gotującą się w dole magmę, która z każdą chwilą, cal po calu, zbliżała się do niej w miarę, jak opuszczano klatkę do wnętrza ognistej jamy.

Prosto w ogień.

VIII.

Ku wolności

Short Round wyjrzał zza ołtarza akurat na czas, aby zobaczyć klatkę z Willie znikającą w czeluści i Indianę obserwującego to z jej brzegu. Zrozumiał, że jest sam. I że musi działać szybko, jeśli chce uratować swoich przyjaciół.

Położył torbę i bicz w cieniu rzucanym przez drzwi i przekreślił do tyłu baseballową czapkę, Naciągnął na nią kapelusz i wyskoczył zza ołtarza.

Najpierw jednak przyrzekł Bogom Trzech Gwiazd wierność na wieki, w rewanżu za sukces tego zadania, naturalnie, Lou Gehringowi zaś nigdy nie zwątpić w jego umiejętności, nawet jeśli Chu powróciłby jako stadko słońątek.

Pomachał Indiemu, ale pierwszą osobą, która go dostrzegła był Chattar Lal. Premier wykazał godną podziwu przytomność umysłu - nie zastanawiając się, skąd ten mały Chińczyk tu się wziął, wrzasnął na dwóch najbliższych stojących strażników, aby go czym prędzej złapali.

Ale to nie było tak proste. Dzieciak był zbyt szybki i zbyt zwinny. Wymknął się ociężałym strażnikom i pognął prosto ku Jonesowi. Na jego drodze znalazł się jeden z kapłanów i nawet udało mu się pochwycić Shortiego, ale zaraz go puścił; chłopak też działał odruchowo, coś go złapało to on ugryzł. Inny zaszedł mu drogę, Shorty odbił się z całych sił, kopnął zagradzającego mu drogę. Ten potoczył się po podłodze.

W następnej sekundzie był już przy Jonesie. Uśmiechnął się z nadzieją - może Indy już sam się obudził?

Ale Indy się nie obudził. Brutalnie uderzył małego Chińczyka w twarz, rozcinając mu wargi i strącając kapelusz. Chłopak poturlał się po podłodze i

łzy popłynęły mu po policzkach.

– Doktorze Jones, niech się pan obudzi! - krzyknął rozpaczliwie.

Chwila słabości nie trwała jednak długo - Short liczył się z tym, że doktora trzeba będzie obudzić na siłę i był na to przygotowany. Zerwał się z ziemi i pędem ruszył wzdłuż ściany.

W ślad za nim pognał strażnik.

Chattar Lal obserwował to wszystko najpierw z lekkim zdumieniem skrzyżowanym z paniką, potem z niepokojem.

Ale zachowanie Indiany uspokoiło go, więc teraz przyglądał się z zainteresowaniem i dużą dozą przyjemności.

Tak samo zresztą jak obserwował finalną zagładę Willie.

Willie tymczasem w dalszym ciągu zbliżała się do ognistego piekła. Jej płuca wypełnione były gorącym powietrzem, a oczy łzawiły pod wpływem trujących oparów siarki. Zbliżała się do kresu swej drogi.

Short Round tymczasem dopadł ściany i wyrwał z niej pochodnię, po czym zwrócił się przeciw swemu prześladowcy i celnym uderzeniem osmalił mu twarz.

Strażnik cofnął się w ostatnim momencie, ale mimo to bliskość ognia odurzyła go - zachwiał się na nogach. Shorty nie tracił czasu na dokańczanie go, pognał w stronę obracającego kołowrót kapłana wymachując wściekle pochodnią.

Ten na jej widok zrejterował i Willie zawisła nieruchomo. Kołowrót miał automatyczny hamulec uniemożliwiający zbyt szybkie opuszczanie klatki, najprawdopodobniej w celu uniknięcia zbyt szybkiej śmierci ofiary.

Mola Ram obserwując poczynania chłopaka nie był tak spokojny jak premier. Ten gówniarz zakłócił ceremonię. Obraził Kali. Coś takiego musiało być ukarane. I to natychmiast!

– Złapać i zabić! - rozkazał.

Następni strażnicy rzucili się za Short Roundem, który gnał co sił w nogach ku Jonesowi.

– Indy, obudź się! - zawołał ponownie.

Brak reakcji. Chińczyk obrócił się na chwilę, strasząc swoich prześladowców pochodnią, i w tym momencie Indiana złapał go od tyłu za kark.

Trzymał go w powietrzu na odległość swojej wyciągniętej ręki i powoli obracał, tak że ich twarze znalazły się naprzeciw siebie.

Short Round zaczynał się dusić w tym żelaznym uścisku, który wypychał mu powietrze z płuc.

W piersi syczał i skręcał się wąż wściekły z powodu nagłego zakłócenia spokoju. Wyczuł on atak tego małego demona, zanim Indy w ogóle był w stanie go zauważyć. Do czasu, gdy zbliżył się z pochodnią, Indy był gotów i wąż był gotów do uderzenia.

„Obudź się, Indy!” - wrzeszczał demon. Słowa odbijały się w pochodni, którą trzymał. Wąż uderzył i demon zmienił się w to czym był w rzeczywistości - bezkształtną formę parującą w zimnym powietrzu jaskini i rozsiewającą wokół trujący odór śmierci.

Jones złapał to coś. Złapał i ścisnął starając się zmniejszyć ten ciemny kształt do czegoś o normalniej szych rozmiarach, czegoś w kształcie Kali, czegoś o rozmiarach jego pięści. Ciągłe ścisnąc obrócił tę rzecz tak, by była zwrócona twarzą do niego. Aż jego wyłupiaste ślepia omal nie wylazły z tej krwawej masy będącej twarzą demona plującego ogniem, wrzeszczącego i wymyślającego wężowi.

Ostatnim oddechem chłopak pisnął:

– Kocham cię, Indy!

I wzywając w myślach na pomoc Najwyższego Specjalistę od Egzorcyzmów w Niebiańskim Ministerstwie do spraw Czarów przeciągnął

Jonesowi pochodnią przez pierś. Indiana padł na podłogę. W powietrzu rozszedł się swąd spalonej skóry. Zwinął się z bólu i wypuścił z uścisku Short Rounda.

Ogień wypełnił mu głowę hulając bezkarnie w jej opustoszałym wnętrzu. Wąz syczał i spazmatycznie drgał.

Demon przywoływał go, przywoływał go rozwścieczonego nowo odzyskaną pamięcią.

Shorty był na najlepszej drodze do ponownego poczęstowania Jonesa pochodnią, gdy w końcu jednemu ze strażników udało się go schwytać i wytrącić ognistą broń.

Indiana zwinął się z bólu na posadzce.

Światło było oślepiające.

Skandowanie ogłuszyło go, zaś kapłan powrócił do kołowrotu i klatka zaczęła się ponownie obniżać.

Chattar Lal uśmiechnął się.

Strażnik wyciągnął nóż i przyłożył go Short Roundowi do gardła.

– Zaczekaj! - krzyknął Jones podnosząc się. - On jest mój!

Złapał Shortiego i unióśł go w powietrze podchodząc do brzegu czeluści.

Chińczyk spojrzał na gotujące się wnętrze i zrobiło mu się słabo. Potem spojrzał, po raz ostatni, w twarz Indiany i zobaczył, że ten mrugnął.

– Jestem już w porządku - szepnął. - A ty?

Shorty odmrugnął w odpowiedzi.

Indy pchnął chłopaka na wolny kawałek posadzki, obrócił się i trzasnął najbliższego kapłana w twarz. Ten bez jednego dźwięku zniknął w ognistej otchłani. Następny dostał kopa w krocze i zwinął się na posadzce.

Short Round rąbnął najbliższego ze strażników kantem dłoni pod ucho (ciosy karate ćwiczył z bratem, gdy byli jeszcze razem) i w tym samym

momencie zaatakował go jeden z kapłanów. Chińczyk złapał go za szatę na piersiach, podkulił nogi i zrobił klasycznego koziołka w tył, pociągając za sobą przeciwnika. Gdy ten był nad nim, wyprostował gwałtownie nogi i druga sylwetka zniknęła za krawędzią ognistego piekła.

Tłum zgromadzony po drugiej stronie tej czeluści był nadal pogrążony w ekstazie nie widząc niczego co rozgrywało się przy ołtarzu. Zastaniała to gęsta mgła ulatniającej się pary i gazów, a własne wycie zagłuszało stłumione odgłosy walki. Zresztą jak dotąd nikt z walczących nie krzyknął.

W przeciwieństwie do nich Chattar Lal dobrze widział, co się dzieje, a jednocześnie zdawał sobie sprawę z tego, czym to grozi. Błyskawicznie schował się za ołtarzem.

Tymczasem przed ołtarzem dwóch kapłanów rzuciło się na Jonesa, ale Short wpadł pierwszemu pod nogi wywracając go, Indy złapał drugiego i rzucił nim w obsługującego kołowrót. Obaj spadli z platformy, ale nieszczęściem któryś musiał uwolnić hamulec, gdyż kołowrót zaterkotał jak szalony i klatka z Willie zaczęła zjeżdżać w oszalamiającym tempie.

Indy skoczył na platformę i zablokował hamulec. Powtórnie w podróży dziewczyny nastąpiła przerwa.

Widząc co się święci, Mola Ram nie tracił czasu - chyłkiem zaczął przemykać się ku ołtarzowi i świętym kamieniom.

Następny kapłan rzucił się na Jonesa, ten odskoczył, podstawiając mu nogę i własna szybkość uniosła atakującego prosto w otchłań ognia. Shorty stał oparty o ścianę plecami trzymając na dystans kilku strażników, z pochodnią w jednej ręce a nożem w drugiej. Kapłan egzekucjonista dopełził do kołowrotka i zaczął ponownie opuszczać klatkę.

Suknia Willie zaczęła dymić, a ona sama zemdląła z gorąca.

Indy, wściekły, jednym susem dopadł do kręcącego i potężnym ruchem złączonych dłoni przetrącił mu kark. Zanim jednakże zdołał podnieść klatkę choć o cal, inny kapłan rzucił się na niego z kijem. Przechwycił narzędzie wydzierając je atakującemu jednym szarpnięciem, po czym nastąpił zamach, krótki świst i następna postać w powiewnej, białej szacie zniknęła poza krawędzią przepaści. Amerykanin rozdał parę błyskawicznych ciosów pomiędzy otaczających Short Rounda strażników, sprowadzając na paru z nich odpoczynek w postaci narkozy. To przywiodło go w pobliże ołtarza, gdzie zauważył Mola Rama wyjmującego z czaszki kamienie.

Indy podbiegł... i złamał pałkę na jego plecach. Arcykapłan runął na twarz pod wpływem tego ciosu upuszczając kamienie. Jones uniósł resztkę palki z zamiarem dokończenia zbożnego dzieła, gdy Najwyższy Kapłan podniósł głowę, uśmiechnął się i zniknął w sekretnym przejściu ukrytym w podstawie ołtarza. Archeolog zaklął, odrzucił resztę pałki i wrócił do kołowrotka. Powoli klatka z nieprzytomną Willie zaczęła się unosić w górę. Nie dane jednak było Indianie dokończyć swego dzieła - za nim pojawił się Chattar Lal ze sztyletem w dłoni.

– Obejrzyj się! - wrzasnął Shorty, opędzając się od trzech strażników.

Indy złapał uzbrojone ramię i obaj zaczęli walczyć obok kołowrotka. Mimo że miał on założony hamulec, mechanizm nie był przyzwyczajony do takiego traktowania. Ledwie - ledwie trzymał.

Tymczasem tłum, kiedy opary się nieco rozwiały, w końcu się zorientował, że coś tu nie jest w porządku i przestał wyć. Zamiast tego zaczął niktnąć w oczach. Jako jeden z pierwszych opuścił świątynię maharadża wraz z obstawą.

Indy odrzucił od siebie Chattar Lala i potężnym uderzeniem popchnął go w stronę kołowrotu. Hamulec puścił i noga Lala została zmiażdżona przez jeden z drągów. Premier zdołał się jednak uwolnić i odpełznął w mrok.

Short wskoczył na platformę oganiając się pochodnią od ostatniego z ocalałych strażników. Indy odwrócił się, aby mu pomóc, ale strażnik na ten widok poddał się.

Obaj przyjaciele, kiedy zostali na placu sami, zaczęli z zapalem obracać kołowrót. Klatka wyjechała na poziom posadzki, Shorty został przy kołowrocie, trzymając go ze wszystkich sił, a Indy podbiegł do niej i przestawił na stały grunt. Widząc to chłopak popuścił trochę łańcuchy i klatka spoczęła na kamieniach. Archeolog otworzył drzwi, odpiął klamry i wyniósł z niej nieprzytomne ciało.

– Willie, Willie, obudź się, Willie - za wszelką cenę starał się przywrócić ją do przytomności.

Niewiele pamiętał z ostatnich kilku godzin - jedynie oderwane fragmenty: jakieś natrętne ptaki, głodne węże (węże!), demona, który był Shortym i czarownicę, która wypalała mu duszę (Willie). I to, że próbował ją zabić i śmiał się, gdy opuszczano ją ku śmierci. Dzięki Bogu koszmar się skończył i znów była wśród żywych i w normalnym świecie.

Dziewczyna jęknęła, poruszyła głową i otworzyła oczy.

– Willie! - ucieszył się Jones.

Zobaczyła go przed sobą i... spoliczkowała. Wyglądał na ucieszonego.

– Willie, to ja. Jestem sobą z powrotem, Willie.

Omam powtórnie nie zemdląa. Ale zamiast tego zaczęła płakać, kaszleć i śmiać się - wszystko naraz i w dużych ilościach. Dlatego też Chattar Lala z nożem w dłoni dostrzegła w ostatniej chwili.

– Uważaj! - wychrypiała.

Indy odwrócił się i przewracając na plecy wykopał napastnikowi nóż z ręki. Ten nie czekając ani sekundy skoczył na niego i potoczyli się po podłodze. Wpierw ku czeluści, potem w odwrotną stronę. Po chwili rozdzielili się i pozbiali na nogi - Indy stał między Hindusem a otworem.

Willie odpełza od nich kierując się ku kołowrotowi pilnowanemu przez Shorta.

– Zdradziłeś Kali Ma. Kali Ma zniszczy cię! - ryknął Lal w hindu i skoczył. Szaleństwo albo dewocja dodały mu sił i zbił Jonesa z nóg. Upadli obaj na ofiarną klatkę, a ta pchnięta niespodziewanie przez ich ciała przejechała po podłodze i zawisała nad czeluścią.

Indy zdołał uwolnić się od uchwytu Lala i złapać brzegu otworu, co widząc Willie zwolniła hamulec. Ze szczękiem wysłużonej maszyny klatka zjechała w dół z ucepionym jej Chattar Lałem.

Plusk lawy był dla Willie niczym słodki dźwięk owacji, zemsta jest słodka.

Archeolog zerknął w dół - ciało Chattar Lala rozbłysło jasnym płomieniem przez króciutką chwilę i zniknęło. Jones powoli podciągnął się na rękach, przerzucił ciało przez krawędź i legł na stałym gruncie. Po chwili zebrał siły na tyle, by zbliżyć się do Willie i Shortiego. Wziął dziewczynę w ramiona, do nich dołączył mały Chińczyk i tak odpoczywali przez moment ciesząc się chwilą wytchnienia, tym że znowu są razem i że są nadal żywi.

Świątynia była pusta, jeśli nie liczyć trupów i nieprzytomnych - ale z ich strony przynajmniej w najbliższym czasie nic nie mogło zagrażać.

Indy podszedł do ołtarza ku trzem kamieniom, które choć leżały razem nie świeciły. Shorty przyniósł mu jego rzeczy. Indiana wsadził kamienie do torby, tę przewiesił sobie przez ramię, wziął do ręki bicz, po czym podszedł do miejsca, gdzie leżała baseballowa czapka chłopca. Podniósł ją, otrzepał i nałożył właścicielowi na głowę. Dopiero potem nałożył kapelusz. Short Round uśmiechnął się szczęśliwy.

– Indy, znowu jesteśmy przyjaciółmi - stwierdził. Willie stanęła wreszcie na nogi i dołączyła do nich.

– Mam nadzieję, że masz jakiś pomysł, jak nas stąd wyprowadzę - spytała z nadzieją w głosie.

Archeolog rozejrzał się po tym przybytku zła, teraz cichym i pustym i usłyszał daleki łoskot górnych wózków i krzyk bitych dzieci...

– Tak! I to wszystkich - odparł.

Ruszyli nie tracąc czasu ku komnacie położonej za ołtarzem.

Tymczasem w kopalni nastąpiło epokowe wydarzenie - dzieci ujrzały oblicze wolności. Parę ich tuzinów było świadkami ucieczki Short Rounda. Oni rozgłosili wiadomość, która zelektryzowała całą kopalnię.

– Ktoś uciekł!

– Jeden z nas uciekł!

– Każdy może uciec!

Pracowały teraz inaczej. Obserwowały dozorców przez na wpółprzymknięte powieki, zamiast jak dotąd pochylać głowy. Niektóre nawet policzyły strażników.

Kiedy Mola Ram uciekł ze świątyni, pospieszył prosto do kopalni. Powiedział nadzorcy, co się stało na górze i skierował część dozorców do świątyni. Ostrzegł resztę, aby była w pogotowiu, bo trzech uciekinierów może się skierować w tę stronę starając się przejść przez kopalnię.

Nie ostrzegł natomiast nikogo o możliwości wybuchu rebelii niewolników. Nikt bowiem o niej nie pomyślał.

Pięć skutych łańcuchem dzieci niosło z wysiłkiem tragi, pełne kamieni, w stronę pustego wagonika, mała dziewczynka na końcu grupy osunęła się na ziemię. Stojący u wejścia tunelu strażnik zobaczył to i odczepiając od pasa bicz zbliżył się w stronę stojącej teraz grupy.

Zamachnął się do pierwszego ciosu i szczęka mu opadła - zobaczył wynurzającego się z cienia Jonesa.

Indy wykonał krótki ruch prawą ręką zamykając otwartą gębę strażnika i posyłając go na ziemię. Shorty zabrał ogłuszonemu klucz i odpiął bransolety wiążące dzieci wspólnym łańcuchem. Gdy były już wolne Indy

pokazał im jak zapakować strażnika do wózka. I od tego się zaczęło. Ta piątka była nader pojętna - zaskoczyła w następnym tunelu innego dozorcę. Nie zdążył nawet krzyknąć, a już parę celnych rzutów kamieniami wyłączyło go z dalszej akcji. Następnie uwolnili kolejną piątkę.

I już ich było dziesięcioro.

Dalej była reakcja łańcuchowa. Tunelami biegały już tuziny wyzwolonych dzieci, gdy straż dopiero zorientowała się o co chodzi. A potem był już ogólny harmider i chaos. Został podniesiony alarm. Dozorcy starali się spędzić dzieci do głównej jaskini. Wielu z nich zatrzymał Indy, jeszcze więcej dzieci. On przy pomocy bata i noża, one miały tylko kamienie i łańcuchy. Każdy wykończony strażnik umacniał coraz większą przewagę dzieci.

Siła jest zawsze ważna, ale jeszcze ważniejsze jest poczucie tej siły. A to właśnie stało się z dziećmi - uwierzyły we własne siły. Wiarę stracili natomiast strażnicy, którzy nie dość że niedokładnie zdawali sobie sprawę z tego, co się dzieje, to jeszcze w dodatku na każdym kroku coś im leciało na łeb. A to łańcuch, a to kamienie, jak nie bicz, to kilof, a nierzadko spadały całe ładunki wagoników. Jak łatwo było przewidzieć strażnicy rozpoczęli gremialny odwrót na z góry upatrzone pozycje. Nadszedł taki moment, w którym mali więźniowie zorientowali się ku swemu zaskoczeniu, że są już wolni.

Przed dziećmi stanął Short Round - rzeczywisty spiritus movens tego powstania i zawołał:

– Za mną!

I poprowadził je do wyjścia.

Indy i Willie szli za nimi przez tunele, aż na samą górę do pomieszczeń znajdujących się za ołtarzem.

Nieliczni strażnicy znajdujący się na ich drodze, bądź przez przypadek, bądź przez brak kondycji, byli tratowani bez zatrzymywania się. Ilość

dzieci i pęd, jaki miały, zapewniał im bezpieczne przejście przez wszystko. Aż doszli do świątyni. Teraz tylko wiatr wygrywał w niej swoje melodie, stała w niej tylko Kali.

Jones, dziewczyna i co starsze dzieci zabrały się do wyłamywania drewnianych drągów z ozdób przystrajających świątynię. Dwa z nich zostały ułożone jako pomost nad ognistą jamą oddzielającą je od prawdziwej wolności.

Po tym pomoście kolejno przechodziły na drugą stronę. Indy kierował ruchem, uważając, aby zbyt duża liczba nie znalazła się na kłodzie jednocześnie - mógł się załamać. Po pewnym czasie pod wpływem bezustannie z dołu płynącego gorąca drzewo zaczęło dymić. Dzieci zaczęły piszczeć, gdyż gorące belki parzyły ich bose stopy. Biały dym zmienił się w czarny i w dwóch miejscach ukazał się ogień. Ostatnie dzieci przebiegały już między płomieniami. Kiedy na pomost wszedł Short, ten z trzaskiem pękł w połowie i runął w otchłań. Indy ledwo zdążył go złapać za kołnierz i wyciągnąć z powrotem na brzeg. Po drugiej stronie część dzieci zatrzymała się czekając na swoich wyzwolicieli.

– Idźcie! Do wyjścia! - krzyknął Indiana. Poszły. Przez główne wejście, przez setkę schodków, dziesiątki korytarzy i sekretnych przejść wydostały się na teren pałacu. Potem przemierzyły sale, korytarze, ogrody, aż doszły do głównej bramy i mostu. I nagle ukazała się przed nimi otwarta przestrzeń prowadząca w dżunglę i ku górskim przełęczom. Drogi prowadzące do domu. Były wolne.

– Co robimy teraz? - spytał Shorty, gdy ostatnie dzieci opuściły świątynię.

– Idziemy na skróty - odparł Indy kierując się w stronę ołtarza.

Odbyli tę samą co przed chwilą drogę, tylko w odwrotnym kierunku i znaleźli się w kopalni. Po szynach przesuwano się kilkanaście pustych i wypełnionych gruzem wagoników. Ich napęd stanowiły biegnące pod ziemią kable.

– To powinno nam ułatwić podróż! - stwierdził Jones ruszając za jednym z wózków biegiem.

– Gdzie znowu? - zdenerwowała się Willie.

– Po transport i na zewnątrz!

Złapał jeden z pustych wagoników i uwiesił się go, aby spowodować zatrzymanie. Udało mu się, gdyż pojazd najpierw zwolnił, a po chwili się zatrzymał. Tyle że nie sam. Po drugiej stronie wyłoniła się prawdziwa przyczyna postoju - gigantyczne ramię należące do potężnie zbudowanego mężczyzny. Ubrany był w strój rajputańskich gwardzistów. Był to ten sam, który tak gościnnie namawiał archeologa do picia w komnacie Najwyższego Kapłana. Na widok Jonesa uśmiechnął się promiennie. Opanowawszy zaskoczenie Indy złapał kawał skały leżący pod ręką i trzepnął strażnika z całej siły w łeb. Albo narzędzie nie było najlepszej jakości, albo łeb był nienormalny. Skała pękła, a strażnik ani drgnął.

Sprawa wyglądała poważnie. Amerykanin złapał oskard leżący na wózku, ale zanim zdążył go użyć olbrzym mu go odebrał i złapawszy za koszulę Indiany jedną ręką, a za spodnie drugą posłał w kierunku najbliższej ściany.

Co prawda Indy nie doleciał tam, tylko wylądował na ziemi, ale mimo natychmiastowego powstania i parokrotnego trafienia przeciwnika w twarz i brzuch nie wywarło to dokładnie żadnych skutków. To zaczęło wyglądać naprawdę poważnie. Tymczasem strażnik zdenerwował się najwidoczniej rolą worka treningowego i przystąpił do akcji.

Archeolog trafiony kolejno w żołądek, szczękę i splot słoneczny upadł na ziemię. Dozorca pozbierał go i załadował do wózka. Teraz Short włączył się do gry trafiając strażnika pejcem, co wywołało reakcję - strażnik zawył, ale drugi raz chłopak nie zdążył już użyć bata, gdyż potężny chwyt posiał go w drugi koniec tunelu.

Strażnik rozpędził wózek, po czym wskoczył do niego i obaj wrogowie, gdyż Indy zdążył już zebrać się w sobie, wymieniali zażarte ciosy wewnątrz kołyszącego się wagonika.

Willie podążała za nimi częściowo obserwując rozgrywające się wydarzenia, częściowo ciskając kamieniami w olbrzyma.

Jones znalazł wreszcie słaby punkt przeciwnika, a mocny argument dla siebie - żelazny łom leżący w wagoniku. Ale za każdym razem, gdy miał zamiar zdzielić go w ucho tym argumentem, straszliwy ból wykrzywił jego rysy i powalał go na dno pojazdu, gdzie dosięgały go ciosy strażnika.

– Co się z nim dzieje? - zastanawiała się na głos dziewczyna.

Short Round pierwszy znalazł odpowiedź na to pytanie - wskazał do góry, gdzie na skalnej półce stał maharadża. Był on zajęty na przemian obserwowaniem walki i wbijaniem szpilki w laleczkę wyobrażającą Jonesa.

Wagonik tymczasem sięgał szczytu wzniesienia, na które od pewnego czasu wjeżdżał i wysypał swoją zawartość na taśmociąg prowadzący do młyna kruszącego skały.

Strażnik złapał za łopatę. Jego przeciwnik usiłował się zasłonić, maharadża wbił szpilkę w twarz lalki. Jones wykrzywiony w paroksyzmie bólu runął na taśmociąg. Zrobił to akurat na czas, aby uniknąć potężnego ciosu, który najprawdopodobniej zdjąłby mu głowę z ramion.

Zalim Singh wyjął szpilkę, Indy wstał i zabrał się za rzucanie różnych rzeczy przeważnie tego co miał pod ręką - to znaczy kamieni we wroga.

Tymczasem Chińczyk był już w połowie drogi na skalną półkę. Wykorzystał do tego koło wodne przenoszące wodę z płynącego opodal strumienia. Przenosiło ono wodę na wyższy poziom, przy okazji dopełniając zbiorniki parowej kruszarki. Shorty wskoczył w jeden z rozwieszonych na obwodzie kubłów i tym sposobem wjechał na samą górę. Tam wyskoczył i znalazł się na jednym poziomie ze swoim wrogiem. Przebiegł w paru susach dzieląc ich odległość i skoczył. Laleczka upadła

na podłogę, a obaj młodzieńcy zwarli się w śmiertelnej, jak na dwunastolatków, walce.

Indy zwarł się ze strażnikiem czując nowy przyływ sił - zobaczył bowiem czym kończy się taśmociąg. A kończył się on potężnym, żelaznym walcem kruszarki, ku któremu, jako stojący bliżej, zbliżał się nieustannie.

Willie w dalszym ciągu rzucała kamieniami w rajputańczyka, na co ten nie zdawał się zwracać najmniejszej uwagi.

Shorty złapał maharadzę za gardło, ten wbił mu w nogę szpilkę. Chińczyk zwinął się z bólu i wypuścił przeciwnika. Ten był czymś więcej niż uliczni bokserzy, ale i Chińczyk nie był debiutantem.

Strażnik złapał w końcu uskakującego Jonesa, ale pechowo, bo za rękaw. Indy szarpnął się ostro i ta część garderoby zmieniła właściciela. Niezauważona przez Rajputa szeroka taśma służąca mu za pas odwiązała się w trakcie walki i teraz dostała się w zasięg walca. Zachwiał się pod wpływem nieoczekiwanego szarpnięcia i zorientowawszy się co się dzieje, starał się uciec. Ale nawet jego potężne mięśnie były bezradne wobec siły kruszarki. W ślad za szarfą podążył pod walec. Najpierw nogi, potem reszta. Potężny wrzask urwał się nagle, a przeciwległa ściana została obryzgana rozpyloną krwią.

Trochę wyżej Shorty skończył zabawę i złapał pochodnię. Zalim Singh skoczył na niego z nożem. Chińczyk przykucnął i wyciągnął rękę. Młody książę nadział się na pochodnię w zasadzie bez udziału Rounda. Zachwiał się przy tym zderzeniu i ciężko klapnął na ziemię. Short Round przełożył pochodnię do drugiej ręki gotując się do ponownego starcia z monarchą. Ale wysiłek ten okazał się zgoła zbyteczny. Maharadża spojrzął na niego jakby akurat obudził się ze złego snu, co było zresztą częściowo prawdą. Short odrzucił łuczywo i siadł przed nim. Widział to już parę razy, tak że wiedział czego się spodziewać.

– To był zły sen o Kali - wyjaśnił księciu.

Ten skinął głową i dodał przepaszająco:

– To spowodowało, że zrobiłem wiele złego. Może Kriszna mi kiedyś wybaczy.

Tymczasem Jones zeskoczył z taśmociągu i zbliżył się do Willie, która zatrzymała jeden z, tym razem faktycznie, pustych wagoników.

Czas po temu był najwyższy, gdyż w kopalni ukazał się Mola Ram na czele posiłków. Jako dobry strateg rozpoczął od otoczenia miejsca akcji.

– Złaź Shorty! - wrzasnął Indiana. - Urywamy się!

Najbliższy strażnik skoczył ku Willie i dostał w łeb odłamkiem skalnym, który trzymała przez zapomnienie w garści.

Chińczyk zaczął spuszczać się z półki.

Maharadża wychylił się i powiedział:

– Żeby wyjść stąd musicie wybrać lewy tunel.

Short spojrzał na niego podejrzliwie, po czym przypomniał sobie, że w tej chwili i tak będzie to prawda (obudzony był zawsze otumaniony przez pierwsze minuty) i mruknął:

– Dzięki! - zjechał w dół starym zwyczajem po kole.

W tym czasie na dole Indy popadł w tarapaty. Trzech strażników zeskoczyło na jego poziom i zmuszało do stałego cofania się na wyższe kondygnacje. Zaczął biec. Atakujący zaczęli strzelać. Jones prysnął za osłonę wagoników.

Willie puściła tymczasem wagonik, który zaczął toczyć się z góry, nabierając pędu, po czym wdrapała się do wnętrza. Obserwujący ją z cienia strażnik wyczuł swoją szansę i złapał ją za nogę.

Jednakże był tu Short Round. Z wprawą wskazującą na długoletnią praktykę wybrał odpowiedni kamień, zmierzył dystans i rzucił. Odłamek skalny trafił strażnika pod ucho i mężczyzna wsunął się do wnętrza wagonika. Inny strażnik złapał Shortiego od tyłu, ale zaraz puścił dostawszy piętą między nogi i łokciem w żołądek.

Dziko wyglądający kapłan gonił za wagonikiem i udało mu się nawet złapać za burłę, ale Short był już w drodze. Przeciwnik miał pecha - potknął się i teraz włókł trzymając kurczowo wagonika. Mały Chińczyk skoczył lądując mu na plecach, a następnie wszedł po nim jak po pomoście do środka, nie zapomniawszy uprzednio poczęstować go solidnym kopniakiem w głowę. Głuchy łomot i wyraźne przyspieszenie pojazdu świadczyły o tym, że nieproszony pasażer został na torach. Rozejrzeli się wokół i zobaczyli Jonesa uskakującego od osłony do osłony wśród rykoszetujących pocisków. Był już znacznie wyżej niż oni.

– Indy, szybciej! - wrzasnęła zgodnie zawartość wagonika.

Indiana spojrział, stwierdził, że go wyprzedzają i zobaczył, że ich droga prowadzi prosto do dużego tunelu. Zygzakami rzucił się za nimi wbiegając na drewniany pomost ciągnący się prostopadle do torów. Towarzyszył temu gwizd pocisków i eksplozje, gdy odbijały się od skał lub trafiały w drewno.

Słysząc też było donośne rozkazy Mola Ram.

– Uciekają! Zabić ich!

Pod wpływem tych bodźców strażnicy podwajali wysiłki, lecz bez widocznych efektów.

Amerikanin dobiegł do połowy pomostu i stwierdził, że z obu stron zbliża się do niego pogoń.

To samo tyczyło się zresztą dołu. Nie namyślając się długo, złapał jakąś przywiązaną do pomostu linę, odbił się i frunął w przestrzeń. Okazało się, że lina była przymocowana do bloku wbitego w sufit i służyła najprawdopodobniej do podnoszenia na górę ładunków, dzięki temu mógł gonić wagonik nie narażając się na bezpośredni kontakt z pościgiem.

– Za nim! Zabić go! - ryknął jeszcze głośniej na ten widok Najwyższy Kapłan.

Indy najwyraźniej doganiał pojazd. Gdy był parę stóp z tyłu - ale już nad nim - puścił linę i skoczył do środka. Lądowanie nie było specjalnie

miękkie, ale udane. Nie tracąc czasu pozbiierał się i zauważył na dnie nieprzytomnego strażnika. Odebrał mu broń i... ulżył wózkowi. Nieprzytomne ciało zetknęło się z ziemią, a pojazd wjechał do tunelu.

Nagle zapanowała cisza i ciemność.

Na ten widok przebywający w jaskini Mola Ram omal nie zadusił się z wściekłości.

– Ukradli święte kamienie! - wychrypiał przez zaciśnięte gardło. - Muszą być zatrzymani!

IX.

Zawieszeni na skale

Korytarz oświetlony był umieszczonymi w ścianach pochodniami. W ich świetle Jones dostrzegł, że w pewnym momencie rozdzielają się tory - jedne prowadzą prosto, drugie z powrotem ku jaskini, z której przed chwilą wyjechali. Złapał łopatę, która leżała na dnie wagonika, i w ostatnim momencie przełożył zwrotnicę. Pojechali dalej.

Tory wkrótce poprowadziły do następnej jaskini i ponownie się rozdzieliły. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, wagonik skręcił w prawo.

– Nie, Indy. Duży błąd. Lewy tunel! - Shorty wyglądał na przestraszonego.

Ale już było za późno. Mogli tylko zdać się na to, gdzie zawiezie ich rozpędzający się pojazd.

Amerikanin miał co do tego złe przeczucia - na jego gust to zjeżdżali coraz niżej w głąb góry. Nie sądził, aby ta droga przybliżyła ich do wyjścia.

Shorty widział wiele rollercoasterów w kinie, ale żaden nie był tak dobry, nawet ten z King Konga.

W jaskini Mola Ram organizował pogoń.

Strażnicy uzbrojeni w mauzery wsiedli do dwóch wagoników i rozpędziwszy się zniknęli w tunelu.

Kapłan również zajął miejsce. Miał na oku dobry plan zgładzenia złodziei, który nie narażał na szwank życia lojalnych strażników. Razem z paroma zaufanymi podążył w stronę jaskini, w której znajdował się sztuczny zbiornik podziemnego jeziora.

Indy zainteresował się dźwignią hamulca próbując poprzez różnorodne naciski, choćby w pewnym stopniu, sterować ruchem pojazdu. Nie na wiele się to przydawało, gdyż mimo tych wysiłków parę zakrętów pokonali na dwóch kołach. Jedyne co mógł zrobić w takim wypadku to błyskawicznie skulić się na dnie w celu obniżenia środka ciężkości.

Short Round spoglądał do tyłu oczekując kłopotów. Pół swego życia parał się złodziejstwem i doskonale wiedział, że gdy się ucieka po udanym skoku najlepiej jest mieć oczy na plecach.

Willie obserwowała strop, który zdawał się być coraz niżej - najwyraźniej tunel się obniżał.

Chciała o tym powiedzieć Indiemu, gdy nagle runęli w dół na ostrym zjeździe i jej zołądek znalazł się w niebezpiecznej bliskości gardła.

Gdy po chwili znów jechali po równym Jones zajął się hamulcem, a Short tyłem. Przewrotność ta została szybko nagrodzona. Z tyłu zabrzmiał strzał i kula przeleciała im nad głowami. Chłopak zobaczył pierwszy wagonik strażników biorący zakręt. Na całe szczęście byli oni tak zajęci pokonywaniem go, że dalsze strzały na razie nie nastąpiły.

– Shorty, chodź tu i zajmij się hamulcem! - krzyknął Indy.

– Słyszę cię głośno i wyraźnie - rzucił w odpowiedzi Chińczyk i przelazi do przodu.

Archeolog zajął jego miejsce na tyłach.

– Zwalniaj na zakrętach! - wrzasnął. - Albo zaczniemy latać!

– Słyszę cię głośno i wyraźnie - zabrzmiało powtórnie z przodu i Short z całych sił naparł na hamulec.

Willie poczuła, że włosy stają jej dęba.

– Mam nadzieję, że poradzisz sobie lepiej niż z samochodem! - wrzasnęła.

– Powinniśmy cię tu wysadzić - odparł wściekły chłopak.

Nie była jego mamą - już nie!

Dziewczyna zamknęła oczy.

Mój Boże - pomyślała. - Z niego rośnie drugi Indiana Jones.

Mola Ram i jego ludzie dotarli do zbiornika. Najwyższy Kapłan rozstawił ich wzdłuż brzegu i nakazał wybić odpowiednie dziury w kamiennym spojonym ziemią wale.

Rozbrzmiały uderzenia żelaza o kamień.

Uciekający spędzili większość czasu pod osłoną ścian wagonika przeczekując kanonadę jaką zasypywali ich goniący. Tylko od czasu do czasu Shorty miał możliwość zaopiekowania się hamulcem, a Indy goniącymi. Robił to za pomocą zdobycznego karabinu, ale zostało zaledwie sześć kul, toteż musiał to robić nader ostrożnie. Fakt faktem - zdjął jednego ze strzelców, ale następny zajął natychmiast jego miejsce. Wyglądało na to, że w ten sposób nie będzie w stanie ich powstrzymać, a byli coraz bliżej.

Korytarz najwyraźniej się obniżał. Sufit był na tyle blisko, że Indy omal nie stracił głowy oddając następny strzał. Jeden ze strażników nie miał szczęścia - wychylił się trochę dla lepszej widoczności i jedna z belek szalunku trafiła go w głowę zrzucając z wózka. Pozbawiony następnego ciężaru wózek pomknął szybciej.

Jones przypadł do dna. - Na dół! - krzyknął - Wszyscy na dół! Za chwilę będziemy mieć ich na karku!

Ludzie arcykapłana pracowali wytrwale; co prawda chwilowo nie było widać efektów tej pracy, ale Mola Ram wiedział, że na wyniki przyjdzie czas później i to w gwałtownym natężeniu. Przyczyni się do tego nacisk tysięcy ton wody na osłabioną ścianę.

– Szybciej! - rozkazał.

Oskardy zdwoiły tempo.

– Puść hamulec! - wrzasnął Shortiemu Indy.

– Co? - zdziwił się chłopak.

Zdumienie było jak najbardziej uzasadnione, gdyż pędzili właśnie w dół po dość ostrym zjeździe.

– Puść! Naszą jedyną szansą jest ich przegonić!

– A co z zakrętami?

– Do diabła z nimi!

Chińczyk wzruszył ramionami i posłusznie puścił dźwignię. Prawie natychmiast wagonik wyskoczył w powietrze i opadł z ogłuszającym rumorem z powrotem na szyny.

– Jedziemy za szybko! - pisnęła Willie. Ścigający wózek podskakiwał na boki omal nie wypadając z torów.

Zakręt wzięli na dwóch kołach.

– Na drugą stronę! - ryknął Indy.

Rzucili się pod wskazaną ścianę i jakoś wyrównali przechył. Wagonik strażników również wziął zakręt z pełną szybkością. Byli ciężsi, ale byli dorośli - więc dłużsi i mieli długie strzelby. Nie wyrobili zakrętu. Wagonik wyleciał z torów szerokim łukiem. Twarze strażników wyrażały najwyższe przerażenie, ale nie trwało to długo. Trafili w ścianę z takim hukiem, że wstrząsnął on tunelem.

Następny wagonik najwyraźniej zwolnił - widocznie kierowca złapał za hamulec nie mając ochoty podzielić losu poprzedników.

Wózek Indiany mknął tymczasem z pełną szybkością. Skwitował tę sytuację radosnym uśmiechem.

– Jeden poszedł, jeden został.

Strażnicy przy zbiorniku pracowali w pocie czoła i powoli zaczęły być widoczne efekty tej pracy. Tama w kilku miejscach zarysowała się. Jeszcze się trzymała, ale jej chwile były policzone. Teraz głównym czynnikiem destrukcyjnym było nie żelazo, ale nacisk masy wodnej.

Indy złapał leżący na dnie wagonika podkład i wyrzucił go na tory w przerwie kanonady dochodzącej z tyłu. Upadł gdzie powinien i pogoń dojrzwawszy go wrzasnęła w przestrachu, ale nie zdążyli zahamować i pojazd uderzył w niego. Zamiast jednak się wykoleić jedynie przeskoczył kłode i jechał dalej, zmieniając po drodze podkład na drzazgi. Strażnicy wyglądali na szczęśliwych. Jones na zmartwionego.

– Jakieś nowe pomysły? - spytała uprzejmie Willie.

Porzuciła już myśl o wyjściu stąd żywą. W ten sposób może przeżyje miłą niespodziankę. Jakby nie patrzeć wynik tej jazdy i tak nie zależał od nich.

Tymczasem wagonik wpadł do ciemnego tunelu, a moment później goniący skręcili w inną stronę i zniknęli.

– Żli odeszli - odezwał się z zadumą Shorty. - To nie może być takie proste. Gdzie oni są?

Pościg wyłonił się nagle na równej wysokości z nimi - byli na sąsiednim torze. Jeden ze strażników podniósł broń do oka i wypalił. Musiał być ślepy albo mieć potwornego pecha - nie trafił z tak minimalnej odległości.

Jones złapał dymiący karabin za lufę i jednym szarpnięciem wyrwał go z rąk dotychczasowego właściciela. Obrócił nim młynka i trzasnął strażnika w szczękę. Ten zniknął jak zdmuchnięty.

Następny goniący złapał Shortiego za ramię i ciągnął w swoją stronę.

– Indy, na pomoc! - wrzasnął chłopak. Amerykanin złapał go za drugie ramię i zaczęli ciągnąć - każdy na swoją stronę, podczas gdy Willie grzmociła na oślep po sąsiednim wózku kolbą zdobycznego karabinu. Przeciąganie wygrał Indiana. Obaj z Shortem zwalili się na dno wagonika, a w sekundę później zrobił to samo jeden z prześladowców przeskoczywszy minimalną odległość, która je dzieliła. Nie tracił czasu i błyskawicznym ruchem złapał Jonesa za szyję. Napadnięty potoczył się do tyłu i plecy napastnika zetknęły się dość gwałtownie z tylną ścianą wagonika. Strażnik

zwolnił uścisk, a Amerykanin wpakował mu łokieć w żołądek. Nacisk znikł. Indy odwrócił się i trzasnąwszy go ze dwa razy w zęby, złapał za ubranie i wyrzucił z pojazdu. Teraz obrócił się, aby pomóc Willie, która akurat zdzieliła celnie innego z atakujących kolbą, ale zanim zdążył coś zrobić wyrzucony strażnik powrócił i poczęstował go ciosem w kark. Cios był celny i Indiana zwałił się.

Willie cofnęła się o krok, przymierzyła się i zamachnęła trzymanym w dłoni karabinem. Cios zadany półkoliście trafił go z prawej strony w twarz i po prostu wypchnął jadącego z wózka. Głuchy huk świadczył o tym, że ciało nieproszonego gościa zetknęło się z ziemią.

Indy pozbierał się.

– Mój błąd! - mruknął przeproszająco.

Dziewczyna bez słowa wręczyła mu kapelusz.

W wagoniku strażników, który tymczasem został jakieś pięć jardów z tyłu, gdyż tory ponownie się połączyły, zaczął się gorączkowy ruch wskazujący niedwuznacznie, że za chwilę nastąpi regularna kanonada.

– Padnij! - wrzasnął Indy.

Dostrzegł coś pożytecznego. Złapał mianowicie z dna łopatę i wzięwszy zamach, na tyle, na ile mógł zrobić to wewnątrz wagonika i nie zabić nikogo ze współtowarzyszy, z całych sił uderzył w sufit. Z góry oberwały się kawały skał, odłamków, kamieni i lawina ziemi. To wszystko zawałiło się na nich, ale w przeważającej większości na goniących dopełniając ładunku wózka do pełna, a nawet trochę dodając na górę.

Jeden ze strażników został zmiażdżony, drugi wyrzucony, reszta przysypana, a wagonik jako taki z hukiem wyleciał z szyn.

Indy wyjrzał, żeby zobaczyć czym to się skończyło i ledwo zdążył cofnąć głowę - wystający stalaktyt roztrzaskał się o burtę wózka. Pojazd stracił troszkę na szybkości, ale mknął dalej.

Tym razem wyjrzała Willie i ponownie nie było nic innego do zrobienia poza zamknięciem oczu - dwadzieścia stóp przed nimi kończył się tor.

Wyrwa miała jakieś dziesięć stóp długości, a pod nią - ziała czarna bezdenna głębia.

Koniec torów wzięli z szybkością jakiś sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Jediną dobrą rzeczą w tym wszystkim był fakt, że pomiędzy obu fragmentami była różnica poziomów. Tory za przerwą były położone o pięć stóp niżej niż te, które właśnie opuścili. Przez chwilę, gdy wózek leciał nad dziurą, panowała cisza. Potem nastąpił głośny trzask, potężny wstrząs i... pojechali dalej.

Willie z westchnieniem otworzyła oczy. I jak tu nie wierzyć w cuda?

Oskardy uderzały bez przerwy i efekty tych uderzeń stały się widoczne. Parę kamieni wypadło ze ściany, która zaczęła się zarysowywać z głośnym trzaskiem. Pocięły pierwsze strumyki wody, a strażnicy z krzykiem rzucili się pod ściany, aby osiągnąć wyższy poziom.

Mola Ram obserwował to stojąc na platformie położonej wyżej i uśmiechał się.

Nie wszystkim strażnikom się to udało, a raczej udało się to nader niewielu. Ściana kruszyła się bowiem w błyskawicznym tempie. Dosłownie sekundę po trzasku nastąpił ogłuszający huk i cała jej środkowa partia runęła pod naporem wody, która natarła powiększającym się strumieniem. W miarę jak rozbijała ścianę powiększając błyskawicznie wyłom zmiatała przed sobą wszystko. Z ogłuszającym rykiem miliony galonów wody runęło przez jaskinię pieniąc się i piętrząc w klasyczne fale, które rycząc pomknęły w tunele.

Nowy tunel był wysoki, a tory biegły prosto. Indy uśmiechał się nonszalancko i stwierdził:

– Shorty! Możemy teraz spokojnie stanąć!

Short Round trochę się zmartwił, że tak wspaniała zabawa już się kończy, ale usłuchał bez sprzeciwu. Nacisnął na dźwignię hamulca. Bez efektu. Zrobił to silniej. Dźwignia została mu w dłoniach.

– Och, co za pech! - stwierdził z lekkim przestraczem.

– Pasuję - jęknęła Willie.

Tymczasem w tunelu zaczął się wyraźny spadek w poziomie i nastąpiła stromizna. Wyglądało na to, że tory biegną cały czas w dół. I to była prawda. Rzecz jasna spowodowało to, że znowu poruszali się szybciej.

Indy wychylił się przez przednią ścianę i spojrzał w dół. To co zobaczył wcale mu się nie podobało - cały mechanizm hamulca wisiał sobie swobodnie najprawdopodobniej urwawszy się przy lądowaniu. Cofnął się i wszyscy troje bez słowa popatrzyli na siebie z całkowitym zrozumieniem nieuniknionej przyszłości.

Willie i Shorty złapali Jonesa za ręce, gdy ten nadal bez słowa zaczął wyłazić przez przednią ściankę wagonika.

Indy opuścił się tak, że jego stopy były na poziomie kółek i zawisnął o cal ponad torami. Wyciągnięte nogi kurczowo szukały podkładki hamulca, aby przycisnąć ją do kół i spróbować zahamować. O mało co nie zawadził przy tym stopą o jakąś grudę leżącą na torach i nie został w efekcie wciągnięty pod rozpędzony wózek. W ostatniej chwili udało mu się unieść ją wyżej. W końcu oparł jedną nogę na ośce łączącej przednie koła, a drugą odnalazł szczęki hamulcowe. Powoli powiększał na nie nacisk aż zamknęły się wokół kół wózka. Pojazd zaczął hamować. Rozległ się przeraźliwy zgrzyt i sypnęły się iskry.

– Jedziemy za szybko! - krzyknęła dziewczyna.

A potem słowa zamarły jej w gardle - spojrzała do przodu i zobaczyła, że tunel się kończy.

Tory zresztą też i to w bezpośredniej bliskości kamiennej ściany.

Shorty też to ujrzał.

– Rozbijemy się! - wrzasnął. - Taka jazda nie powinna się tak kończyć.

Indy obejrzał się przez ramię i to, co zobaczył, wcale mu się nie spodobało. Zbliżali się z całą szybkością do skalnej ściany, a tym kto

pierwszy się z nią zetknęli był on. Nie namyślając się zrobił jedyne co mógł - nacisnął z całych sił szczęki hamulca.

Odpowiedzią był jeszcze przeraźliwszy zgrzyt i potężny snop iskier. Podeszwy zaczęły go parzyć, ale nie miał czasu zwracać uwagi na drobiazgi. Całym ciałem nacisnął oporny metal. Ściana zbliżała się nieubłaganie, ale z niedostateczną szybkością. Szczęki hamulca zaczęły dymić, ale wóz wyraźnie zwolnił, ostatnie metry pokonując w iście żółwym tempie. Zatrzymał się, gdy plecy Jonesa prawie dotknęły ściany.

Indy stanął po chwili na nogi i momentalnie zaczął podskakiwać.

– Wody! - jęknął.

Podeszwa prawego buta z lekka dymiła.

Z wagonika dobiegł histeryczny śmiech.

Korytarz skończył się, ale w prawo odchodziła od niego wąska odnoga pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Szyn tam już nie było wobec czego ruszyli piechotą. Nikt się nie odzywał - wszyscy byli pod wpływem przeżyć ostatnich kilkunastu minut.

Niespodziewanie powiał gwałtowny podmuch wiatru, a dziwny, ryczący odgłos dobiegł z kierunku, z którego przybyli. Ściany tunelu zdawały się wibrować.

Wymienili niepewne spojrzenia i ruszyli szybciej. Indiego szczególnie zaniepokoił wiatr - tak nisko pod ziemią nie powinno być wiatru, a już z całą pewnością o takim natężeniu.

Odgłos nasilił się. Obejrzeliby się przez ramię, ale w tunelu była tylko ciemność.

– Indy? - to była Willie.

Złapał ją za ramię i pociągnął za sobą ruszając biegiem. Ściany dudniły, z sufitu zaczęły się sypać kamyki i drobny żwir. Short Round zaczął się

poważnie zastanawiać, czy Władca Grzmotów nie zdenerwował się na coś poważnie.

Biegli, choć nie wiedzieli, dlaczego to robią. Grzmot wypełniał całą długość korytarza i błyskawicznie się zbliżał.

Willie obejrzała się i stanęła sparaliżowana tym, co zobaczyła. Była niezdolna zrobić kroku, tak wstrząsnęło nią to co się zbliżało. To co było nieuchronne i co stanowiło jej przeznaczenie - wyrok na nich wszystkich - potężna, spieniona i dzika ściana wody wypełniała korytarz, zbliżając się z szybkością ekspresu.

– Cholera! - jęknęła.

Shorty i Jones obrócili się szukając przyczyny tego niecodziennego wystąpienia i na chwilę również ich wmurowało w podłogę. A potem Indy złapał ich za ręce i ruszyli całym pędem, jakby za nimi otwarło się piekło.

Za nimi ogromna fala zbliżała się z każdą sekundą, połykając dosłownie przestrzeń i niosąc przed sobą szczątki szalunku i resztki zmasakrowanych trupów.

Nie byli w stanie jej uciec. Chyba że tym małym tunelem, którego wyjście było w połowie wysokości ściany.

– Tu! - ryknął Indy przekrzykując ryk wody. - Skacz!

Shortiemu nie trzeba było powtarzać - odbił się i złapał dłońmi brzeg otworu. Jeszcze jeden wysiłek i ciało chłopca znalazło się wewnątrz. Amerykanin podał mu Willie i skoczył sam - akurat zniknął w otworze, gdy podłogę zalały pierwsze fale nadchodzącego potopu.

Tunel biegł stromo w górę i był w zasadzie jakby korytarzykiem łączącym większe tunele, gdyż po jakimś czasie trafili do takiego właśnie - bliźniaczo podobnego do poprzedniego całkowicie już zalanego.

Zatrzymali się dla nabrania oddechu i dziewczynie wydało się, że w oddali widać światło. Światło słoneczne. Miała o tym podniosłym fakcie poinformować pozostałych, gdy z tyłu dobiegła ich potężna eksplozja.

Obejrżeli się tylko po to, aby zobaczyć dobrze znany obrazek - fruujące resztki ściany i spienioną wodę wypełniającą tunel. Zbliżała się z taką samą jak poprzednio szybkością. Ruszyli pędem w jednym możliwym kierunku. Jak na złość w ścianach nie było żadnego otworu.

Z przodu zbliżało się do nich światło słońca - jedyna ich nadzieja. Z tyłu narastał łoskot pędzącej wody. Wylot tunelu osiągnęli ostatkiem tchu. Światło oślepiało, ale nie na tyle, żeby w ostatniej chwili nie zatrzymali się. Tunel kończył się obszerną pieczarą, której wylot był na środku urwiska - pod nimi było trzysta stóp przepaści zakończonej skalistym dnem.

Ledwo utrzymali równowagę na skraju przepaści. Indy rozejrzał się gorączkowo słysząc tuż za plecami ryk zbliżającej się fali i jednym szarpnięciem postawił Willie na wąziutkiej skalnej półeczce biegnącej po prawej stronie otworu, w którym stali. W następnej sekundzie dołączył do niej Short Round. Indy skoczył na coś podobnego, tylko znacznie węższego, po drugiej stronie otworu.

W ślad za nimi poleciały z otworu kawałki szyn, szczątki szalunku, zmasakrowany wózek, jakieś trudne do zidentyfikowania śmieci i potok rwącej, pieniącej się wody. Ciśnienie wody było tak potężne, że powybijało kilkanaście mniejszych i większych otworów w skalnej ścianie. Wszędzie tryskały fontanny wody.

Indy rozejrzał się po okolicy, czepiając się jednocześnie kurczowo zbocza. Trzysta stóp niżej pod nim, zasilana spadającą z góry kaskadą, rwała szeroka rzeka, w której kotłowało się kilkadziesiąt krokodyli. Przepaść miała ze sto jardów szerokości, a po drugiej stronie rozciągała się trawiasta równina prowadząca, z tego co widział, prosto do domu.

Nad nimi jakieś dwadzieścia stóp wyżej i dwadzieścia bardziej w prawo od miejsca, gdzie kulili się przy ścianie Willie i Short - wisiał most. Taki sobie zwykły, pleciony z lin most łączący oba wierzchołki wzgórz.

- Willie! - ryknął z całych sił starając się przekrzyczeć łoskot wodospadu, który się między nimi utworzył. - Wdrapcie się na most!

Dla zobrazowania o co mu chodzi pomachał w górę ręką, przez co o mały włos nie odpadł od ściany.

Dziewczyna spojrzała w ślad za jego ręką niedokładnie słysząc o co mu chodzi i jęknęła. Czy to nigdy się nie skończy?

– Nie ma się czego bać - oświadczył spoglądający w tymże kierunku Shorty. - Chodź za mną!

Faktycznie nie było to takie trudne - skalna perć, na której stali, choć wąska, pozwalała na marsz a prowadziła dokładnie pod most.

Gdy tam dotarli pozostało im jeszcze pokonanie tych dwudziestu stóp w pionie. Nie mając innego wyjścia rozpoczęli wspinaczkę wyszukując miejsca, gdzie można było postawić stopę i gdzie można było się złapać. Nie szło im to z szybkością, która zadowoliłaby początkującego alpinistę, ale poruszali się w górę. Włożenie na różne rzeczy (w tym i na skały) jest rzeczą, w której jak wiadomo dwunastolatki zdecydowanie przodują, a Short był żywym potwierdzeniem tej reguły. Wspinał się z szybkością kozicy i zręcznością małpy. Willie co prawda wkładała we wspinaczkę mniej entuzjazmu, ale była tancerką, a co więcej walczyła o życie, toteż niewiele pozostała w tyle za chłopakiem.

Indy poszedł w ich ślady, ale mimo lepszej zaprawy i większego treningu szło mu gorzej - po pierwsze stopa oparzona podczas hamowania coraz bardziej dawała o sobie znać, po drugie miał dłuższą drogę do przebycia, a po trzecie między nim a mostem znajdowało się kilka mniejszych wodotrysków, przez co skała była śliska i bardziej zdradliwa. Tym niemniej powoli i ostrożnie, ale piął się w górę.

Willie i Shorty osiągnęli most jako pierwsi - wciągnęli się na niego ostatkiem sił. Za nimi czerniał wylot tunelu, w którym most się zaczynał, a przed nimi rozciągała się falująca na wietrze konstrukcja linowego mostu...

Ich jedyne wyjście z sytuacji.

Most wyglądał jak efekt pracy gigantycznego pająka. I to pająka, który był w dodatku pijany.

Miał co najmniej sto lat. Z całą pewnością nie był dziełem Królewskiego Korpusu Inżynieryjnego. Składał się z dwóch grubych lin, między którymi umocowane były setki przeżartych przez termity i spróchniałych ze starości desek. Jak również setki dziur, w których kiedyś były deski. Nad tym przeciągnięte były dwie cieńsze liny, gdzieś na wysokości trzech stóp ponad powierzchnią, które były połączone płataniną linek z obydwoma grubymi linami. Dwie stopy nad płataniną były jeszcze dwie grube liny robiące, najprawdopodobniej za poręcze.

Willie przestała wierzyć, że się uratuje, kiedy zobaczyła z bliska to co się szumnie nazywało mostem.

Short Round natomiast mając duże doświadczenie w spacerach po dachach, rynnach i oknach Szanghaju nie wydawał się ani zaskoczony, ani przerażony tym, że trzeba było przejść po bujającej się konstrukcji.

Obrócił się z uśmiechem do Willie i stwierdził:

– To proste jak świński ogon! Dziecinada!

Nagle deska, na której stał, pękła, a jej obie połówki runęły w przepaść pełną krokodyli.

Dziewczyna ledwo zdążyła złapać go za ramię i wyciągnąć na stały grunt.

Chińczyk wyglądał na lekko poszarzałego na twarzy i lekko mniej pewnego siebie w zachowaniu. Jakby nie patrzeć na sprawę bezpieczeństwa i tak nie mieli innej możliwości niż iść do przodu.

A do przodu - znaczyło przez most.

Ponownie wszedł na tę chwiejną konstrukcję, tylko tym razem o wiele ostrożniej i uważniej.

Trzymało.

Po rozważeniu alternatywy: iść i ryzykować, czy zostać i mieć pewność, że złapią, Willie podążyła za nim.

Ostrożnie krok po kroku posuwali się do przodu omijając jak najuważniej puste miejsca lub deski, których już sam wygląd był zdecydowanie zabytkowy. Musieli się przy tym dobrze trzymać, gdyż bujnięcia, jakim był poddawany most były nie dość że nieoczekiwane, to jeszcze gwałtowne. Short poprosił w myślach *Feng-p'o* (Damę Wiatrów), by była uprzejma bawić się gdzie indziej.

Była to najdłuższa i najwolniejsza przechadzka, jaką Willie kiedykolwiek w swoim życiu zrobiła.

Za nimi wydostał się w końcu na most Indy i zatrzymał się dla nabrania oddechu.

Mały Chińczyk był już w połowie drogi ostrożnie wyważając każdy krok.

Jones zastanawiał się właśnie, czy nie poczekać tu, zanim nie zakończą przeprawy, gdyż jego skromna osoba mogła okazać się zbyt mocnym obciążeniem dla staruszka, gdy usłyszał kroki za sobą. Odwrócił się w stronę wlotu tunelu odpinając jednocześnie od pasa bicz.

W wylocie pojawiło się dwóch strażników. Obaj wywijali wojowniczo szablami i Indy z uśmiechem na ustach sięgnął do kabury po pistolet. Uśmiech znikł z jego twarzy - kabura była pusta, a strażnicy coraz bliżej. Wziął zamach - pejcz świsnął w powietrzu i pierwszy z atakujących zaczął się dusić, po czym gwałtownie poleciał w kierunku archeologa pociągnięty silnym szarpnięciem rzemienia owiniętego wokół szyi. Jones złapał go, jednym ruchem ręki wyłuskał szablę i trzasnął go rękojeścią w głowę. Strażnik osunął się bez przytomności.

Z bronią w garści Indy ruszył na drugiego wydając jednocześnie zwycięski okrzyk. Również z bronią w garści drugi napastnik spojrzał krytycznie na całą sytuację i ruszył w tył.

Ze zwycięskim uśmiechem Amerykanin zaczepił swój bicz zostając panem sytuacji. Ale tylko na parę sekund, bowiem z głębi tunelu nagle wrzasnęło coś, co było na pewno niezgranym męskim chórem i rozległ się tupot wielu nóg. Uśmiech znikł z twarzy Indiego, gdy zobaczył jak z mrocznych czeluści wyłania się wrzeszcząca wataha strażników błyskających groźnie bronią i gnająca co sił w nogach ku niemu.

Nie zastanawiając się ani sekundy dłużej puścił się przez most. Poruszał się szybko zmuszony do tego sytuacją za plecami. W związku z tym nie miał czasu na zabawy i co kilka kroków deski sypały się za nim, albo jego noga lądowała z głośnym trzaskiem w szparze. Na całe szczęście liny przeznaczone do podtrzymywania mostu były w sumie najmocniejszym elementem konstrukcji i na nich opierał też swoje ciało. Mimo wszystko i tak cały czas spoglądał pod nogi, żeby o ile się da nie wlecieć w już istniejącą wyrwę i w ten sposób do minimum zmniejszyć niebezpieczeństwo spotkania się z krokodylami.

Te, podniecone sypiącymi im się na łeb odłamkami desek, wyglądały na żywo zainteresowane tym, co się dzieje nad nimi. Najprawdopodobniej miały nadzieję, że w ślad za wykałaczkami spadnie stamtąd i przekąska.

Z tyłu zabrzmiał wściekły ryk zawodu, gdy straż wyłoniła się z tunelu i zobaczyła go na moście. Natychmiast dodatkowe wibracje i zachwiania całej konstrukcji dały mu znać, że pogoń jest uparta.

Willie i Short Round osiągnęli tymczasem przeciwległy skraj mostu i wpadli prosto w objęcia drugiej watahy strażników. Próba walki skończyła się rzecz jasna przegraną - było ich zbyt wielu. Pozostało tylko jedno - powiadomić o tym fakcie Jonesa, co też zrobili niezwłocznie. - Indy, uważaj! Złapali nas!

Amerykanin zatrzymał się gdzieś w połowie mostu, niepewny co dalej ze sobą zrobić. W podjęciu decyzji pomogli mu strażnicy - część tych,

którzy złapali Willie i Shortiego skierowała się w jego stronę po bujającej się powierzchni mostu.

Był w pułapce - z obu stron zbliżała się pogoń, pod nim była przepaść, w dodatku pełna krokodyli, a nad nim słoneczne niebo. Niestety, jedyny wolny kierunek był mu niedostępny - nie opanował sztuki latania.

Przed nim tymczasem pomiędzy strażnikami trzymającymi Willie i Shortiego pojawił się Mola Ram. Najwyższy Kapłan miał na twarzy uśmiech człowieka, który trzyma w dłoni wszystkie atuty. Ale miał do czynienia z Indianą.

– Puść moich przyjaciół! - krzyknął rozkazująco Jones.

Mola Ram w odpowiedzi wydał jakąś komendę po hindusku i straż podjęła dalsze wysiłki, aby zbliżyć się do archeologa.

– Wystarczy! - krzyknął ponownie Indiana.

– Nie jesteś w pozycji umożliwiającej wydawanie rozkazów - przypomniał mu kapłan.

Indy wskazał na przewieszoną przez ramię torbę.

– A chcesz mieć kamienie? - spytał uprzejmie.

– Możesz je wyrzucić! - parsknął arcykapłan. - Będzie je łatwo znaleźć. Te krokodyle nie ruszają się stąd od lat. Teraz chcę przede wszystkim ciebie!

Zanim Jones zdołał przetrwać otrzymane informacje Najwyższy Kapłan wrzasnął:

– Yanne!

Strażnicy zdwoili wysiłki. Bez dalszej gadaniny Amerykanin spuścił trzymaną szablę na prawą poręcz. Ta pękła z głośnym świstem przecięta w połowie.

Napastnicy stanęli, most zakołysał się gwałtownie.

– Ładnie! - dobiegł go głos Mola Rama. - Ale nie wierzę, że chcesz się zabić!

Skinął na strażników, którzy jakoś mniej chętnie niż dotąd, ale jednak podjęli dalszą wędrówkę.

Indy uderzył ponownie, tym razem mocniej, druga lina pękła, a ostrze zatrzymało się na cieńszej linie nad deskami. Tym razem mostem szarpnęło potężnie, strażnikami mocniej, a Mola Ram stracił swój uśmiech. Skinął ręką i strażnicy wprowadzili na most Shortiego i Willie. On sam podążył za nimi ze sztyletem w dłoni. Przyłożył go do pleców dziewczyny i odezwał się:

– Teraz twoi przyjaciele zginą razem z tobą! Tymczasem Jones zdążył przepleść nogę wokół płataniny linek nad deskami.

Teraz rozejrzał się po otoczeniu i odkrzyknął:

– A więc będzie to towarzyski upadek!

Jego oczy napotkały wzrok Short Rounda stojącego jakieś dziesięć stóp od skraju mostu i przekazały mu wiadomość - to nie są żarty. Po czym wzrok Indiego opadł na jego własną stopę uwięzioną w linach.

Chińczyk zrozumiał. Willie nie. Ale za to zobaczyła, jak stopa chłopaka wykonuje dziwne ruchy zaplątując się w linki. W tym momencie ją olśniło. Najspokojniej i najdyskretniej zrobiła to samo ze swoim ramieniem.

Mola Ram najwyraźniej tracił cierpliwość.

– Oddaj kamienie! - wrzasnął.

– Mola Ram! - odkrzyknął w odpowiedzi Jones. - Przygotuj się na spotkanie z Kali!

I opuścił szablę na nie tknięty dotąd sznur z całą posiadaną siłą. Ostrze świsnęło w powietrzu i przecięło obie liny, które pozostały po prawej stronie tego co jeszcze było mostem.

Dwóch strażników spadło natychmiast krzycząc. Zniszczyły ich dopiero krokodyle. Reszta zaczęła się ewakuować. Nie byli jednak wystarczająco szybcy.

Jones wziął zamach i z równą co poprzednio łatwością rozciął drugą połowę lin.

Przez chwilę most jeszcze istniał, ale po chwili obie połówki rozpadły się każda w stronę swojej góry. Powietrze wypełniły przeraźliwe krzyki strażników, gdy pokonywali trzysta stóp dzielących ich od przeznaczenia (czyli krokodyli). Wszyscy starali się desperacko złapać lin czy desek, aby pozostać na tym iluzorycznym i jedynym jednocześnie oparciu. Udało się to nader nielicznym. Spora część z nich odpadła w chwili, gdy połówki mostu zetknęły się ze skalnymi ścianami - wstrząs był raczej silny.

Na tej części, na której końcu wisiał Indy pozostało łącznie sześć osób. Na szczycie drabiny wisiał Mola Ram, pod nim byli kolejno: strażnik, Willie, Short Round, drugi strażnik, długa przerwa i Jones.

Przez parę długich sekund całe towarzystwo pozostało w bezruchu, z pewnym trudem uświadamiając sobie, że jeszcze znajdują się wśród żywych i czekając z napięciem czy liny wytrzymają, czy też odmówią posłuszeństwa.

Pierwszy poruszył się Mola Ram - wspinając się desperacko ku górze. Prawie mu się udało, gdy trafił na spróchniałą deskę. Ta, rzecz jasna, pękła z trzaskiem, a Najwyższy Kapłan zleciał w dół strącając po drodze strażnika. Złapał się czegoś dopiero między Willie i Shortym.

Drabina się zatrzęsła. Nikt nie próbował nawet drgnąć.

Po długiej chwili archeolog rozpoczął ruch ku górze. Minął strażnika, który nie zareagował na jego pojawienie się (oczy i ręce miał kurczowo zaciśnięte) i szedł ku górze - ku arcykapłanowi Kali.

W końcu udało mu się złapać go za nogę i szarpnięciem próbował ściągnąć fanatyka na dół. Ten okazał się sprytniejszy, uwolnił nogę i poczęstował go tęgim kopniakiem. Indy zatrzymał się oszołomiony, a Mola Ram ruszył w górę. Nie trwało to jednak długo. Jones słynął ze swego uporów. Po paru chwilach powtórzył całą operację, tyle że z lepszym skutkiem - sprowadził Najwyższego Kapłana na swój poziom drabiny. Tu

rozpoczęły się śmiertelne zmagania, które każdy z nich prowadził jedną ręką, druga była kurczowo zaciśnięta na jednej z lin.

Amerikanin na początek poczęstował kapłana sierpem w żołądek, po czym hakiem w głowę. Mola Ram nie pozostał dłużny - strzelił go kolaniem w twarz, po czym sięgnął ku jego piersi.

Z góry dobiegł przeraźliwy okrzyk Willie: - Och, mój Boże! Indy, uważaj na serce! Z nagłym przerażeniem zrozumiał, co było celem kapłana. Raz widział ten numer w jego wykonaniu i miał dość samego widoku. Spojrzał ku swojej piersi - dłoń Mola Rama zaczynała w nią wnikać. Z całych sił złapał go za nadgarstek, ale palce nie zatrzymały się. Z nagłym przypływem siły wyrzucił ku górze lewą nogę. Trafił - świadczył o tym zduszony jęk. Dłoń zniknęła. Obaj wyczerpani walką osunęli się poniżej ostatniego strażnika. Ten nadal pozostawał nieruchomo przyczepiony do drabiny, w którą zamienił się most.

Mola Ram przyszedł pierwszy do siebie. Zaczął wspinać się w górę. Wszedł niedaleko - kawałek ponad nieruchomego strażnika. Potężnym kopnięciem pozbawił go przytomności, a może i życia - palce rozluźniły się i bezwładne ciało osunęło się w dół.

Willie i Shorty krzyknęli równocześnie: - Uważaj! Indy!

Jones przytulił się mocniej do drabiny. Spadający uderzył go w ramię i bez jednego dźwięku zsunął się po jego plecach i dalej w trzystustopową przepaść.

Z drugiej strony przepaści dobiegły jakieś odgłosy. Indy odwrócił się i zobaczył parę dziesiątków strażników mrowiących się przy jaskini będącej wylotem tunelu.

Mola Ram też ich zauważył.

– Zabić ich! - ryknął. - Strzelać!

Jego ludzie rozbiegli się po całym szczycie pagórka zajmując stanowiska strzeleckie. Na szczęście musiały to być jakieś tylne oddziały, gdyż karabiny miało niewielu z nich - reszta uzbrojona była w łuki. Nie było to dużą różnicą w normalnych warunkach, ale teraz gdy dzieliła ich spora odległość i wiał silny wiatr - wiele strzał nie miało w ogóle żadnej szansy dolecieć, a wszystkie miały o wiele mniejszą siłę przebicia.

Indy nie miał ochoty sprawdzać jednak osobiście prawdziwości tego rozumowania, więc czym prędzej podążył ku górze, łapiąc przy okazji za długą szatę spowijającą Najwyższego Kapłana. Strażnicy dali ognia, ale kule chybiły, a większość strzał albo nie doleciała, albo nie trafiła. Zaledwie jedna dotarła do celu. Okazało się, że rozumowanie było słuszne, strzała trafiła go w dłoń, ale zamiast przebić ją na wylot zaledwie rozcięła skórę.

Skorzystał z tego Mola Ram i ruszył ku górze wyrywając ubranie z ręki archeologa. Tylko że tym razem Willie i Shorty oczekiwali go: ledwie dłonie kapłana pojawiły się w ich zasięgu zaczęli w nie kopać. Niczego niespodziewający się Mola Ram został tym brutalnym traktowaniem wytrącony dosłownie z równowagi i runął w dół zabierając po drodze Jonesa. Zatrzymali się na jednej z dolnych desek.

Indy zawisł na obu rękach, tyle że jednej zranionej i nie miał szans na jakąkolwiek walkę.

Mola Ram miał natomiast jej w zupełności dość - jego jedynym pragnieniem było znaleźć się bezpiecznie na stałym gruncie, a jak już tam będzie, postara się coś wymyślić. Nie zwlekając dłużej ruszył ku górze.

Shortiemu udało się w końcu dotrzeć do skraju platformy, od której jeszcze niedawno zaczynał się most. Wlazł na nią i pomógł dostać się Willie. Przez chwilę leżeli na skałach łapiąc oddech podczas gdy wokół latały strzały.

Na szczęście wszyscy strażnicy z tej strony albo poszli za Najwyższym Kapłanem, albo gdzieś się pochowali, bo żadnego nie było widać. Jedynie strzały stanowiły pewien problem.

Nie był to natomiast jedyny dylemat jaki miał Jones. Zaczął ponownie wspinaczkę, ale zraniona dłoń w pewnym momencie odmówiła posłuszeństwa i zawisł na zdrowej ręce. Nie było to specjalnie wesołe, tym bardziej że na końcu jego połówki mostu liny zaczęły się powoli rozplątywać. Gdy spojrzął w dół akurat stał się świadkiem uwolnienia jednej z desek. Spadała jak ułamane śmigło kręcąc się na wietrze.

Mola Ram zaś był na najlepszej drodze do sukcesu - osiągnął już prawie skraj skały i wyciągnął dłoń, aby wciągnąć się na górę. I w tym momencie Willie trzasnęła w jego dłoń największą ze skał, jaką miała pod ręką. Najwyższy Kapłan zawył z bólu i zjechał w dół, aż do poziomu Indiany Jonesa i ponownie, z braku innej możliwości, zawrzała walka.

Z brzegu Short Round i Willie obserwowali przebieg wydarzeń. Z prawej strony Chińczyk usłyszał jakiś hałas. Obrócił się gotów do ucieczki lub walki.

– Willie, obejrzyj się - wrzasnął.

Obróciła się akurat na czas, aby zobaczyć wyskakujących zza zakrętu kilkunastu strażników. Tuż za nimi jechała kawaleria brytyjska z dobytymi szablami siekąc każdego, kto im się nawinął pod ostrze. Zanim uciekający dobiegli do mostu zostali albo wycięci, albo wzięci do niewoli.

Na kawalerzy stów sypnął się grad strzał strącając paru z nich z siodeł, ale jadący na ich czele Blumburt wydał komendę i pięćdziesięciu ludzi z karabinami w dłoniach zajęło pozycję na skraju przepaści. Ponowna kanonada i w odpowiedzi na strzały gruchnęła salwa, po której strzelcy przeszli na ogień ciągły.

W powietrzu grzmiało i gwizdało, a po drugiej stronie przepaści zakotłowało się. Widać było doskonale, jak po salwie kilkanaście sylwetek padło na ziemię, albo stoczyło się w przepaść. Potem wybuchła panika, tyle że niewielu miało szansę ratunku - co chwila któraś z podskakujących i

uciekających figurek zamierała w bezruchu, aby potem zwalić się bezwładnie na skały.

Strzały z łuków nie były już wypuszczane, w związku z czym Willie i Short mogli bezpiecznie wyjrzeć w dół, aby sprawdzić, czy przypadkiem nie są w stanie pomóc w czymś przyjacielowi. Nie byli.

Obaj - Jones i Mola Ram - uczepli kurczowo resztek mostu nie zwracali najmniejszej uwagi na to, co się wokół działo. Byli skoncentrowani tylko na jednym - wykończyć wreszcie tego drugiego. Wymieniali potężne ciosy, ale nie wydawało się, aby wywierało to na nich większe wrażenie. W trakcie tej szarpaniny torba osunęła się z ramienia archeologa. Złapał ją w ostatnim momencie, ale ruch ten przypomniał Najwyższemu Kapłanowi co jest w jej wnętrzu. Mola Ram złapał za nią również.

– Kamienie są moje! - wychrypiał.

Indy ciągnąc ją do siebie rzucił mu w twarz:

– Zdradziłeś Siwe!

Po czym zbliżywszy twarz do jego twarzy zaczął powtarzać ostrzeżenie z przepowiedni o kamieniach Sankary:

– *Shive de vishwas kate ho. Vishwas kate ho. Vishwas...*

I stała się godna zapamiętania rzecz. W trakcie jego wypowiedzi kamienie w torbie zaczęły świecić. Ale nie tak jak poprzednio - światło było oślepiające, było prawdziwym ogniem. Torba najpierw zadymiała, a potem buchnęła płomieniem. Kamienie uwolnione od przytrzymującego je materiału zaczęły spadać.

Mola Ram desperacko po nie sięgnął.

Jones powtarzał zaklęcie:

– *Vishwas kat ho. Vishnu kate ho...*

Najwyższy Kapłan złapał jeden z nich i zawył z bólu - kamień palił mu dłoń żywym ogniem. Puścił go i jednocześnie jego druga ręka odruchowo puściła linę.

Indy przechwycił spadający kamień - dla jego dłoni był on jak zwykle zimny.

Przez długą jak wieczność sekundę oczy Mola Ramy i Indiany Jonesa były w sobie utkwione - po tej sekundzie Najwyższy Kapłan runął w przepaść nie wydawszy z siebie jednego dźwięku. Zanim jego ciało uderzyło w wodę już zajęły się nim krokodyle. W ślad za nim spadały dwa kamienie nadal błyszcząc oślepiająco. Uderzyły w wodę - przez chwilę było widać jeszcze ich blask, po chwili nie było już nic. Tylko spieniona woda, w której się kotłowały krwiożercze zwierzęta.

Pozostał tylko jeden kamień.

Indy wsadził go do kieszeni, teraz już nie świecił, i ruszył powoli w górę, gdzie przez skalną krawędź wyciągnęły się ku niemu ręce Willie, Short Rounda i Blumburta. Pomogli mu się wydostać na stały grunt.

Po drugiej stronie przepaści pojawiły się oddziały brytyjskiej piechoty dorzynające resztki strażników. Z głównego tunelu wyłonił się oddział piechoty z bagnetami. Na czek siedł młody maharadza. Zobaczywszy zebranych po drugiej stronie pomachał im wesoło.

Widząc to Short Round zdjął swoją baseballową czapkę i oddał mu salut. Ten książę był zdecydowanie porządnym chłopakiem!

– Żałuję, że Mola Ram dostał w końcu te kamienie - odezwała się stojąca nad przepaścią Willie patrząc w dół.

Jones uśmiechnął się i wyciągnął to, co wypychało mu kieszeń.

– Nie całkiem - powiedział. - Ostatni kamień Sankary!

Dziewczyna ostrożnie wyjęła go z jego ręki i uniosła do góry, tak że załśniły w jego wnętrzu odbite promienie słońca. Wszyscy wpatrywali się w nie w milczeniu.

Przez parę dni pozostali jeszcze w pałacu Pankot, aby nabrać sił i przyjść do siebie po przejściach ostatnich dni. Wojsko w tym czasie odszukało większość ukrywających się po dżungli i w górach dzieci, opatrzyło ich

rany i nakarmiło je. Gdy wszyscy wzmocnili się na tyle, aby być zdolnymi do niedługiej, ale zawsze męczącej wędrówki, grupy niedawnych niewolników z poszczególnych wiosek zostały odtransportowane pod eskortą żołnierzy do domów.

Było rzeczą oczywistą, że jeden z oddziałów został oddany do dyspozycji Indiego, Willie i Short Rounda - aby eskortować dzieci do wioski Mayapore.

Dwa dni później pożegnali się z wojskiem. Byli już na polach należących do wioski. Żołnierze podążali prosto do Delhi, a oni i tak zdawali sobie sprawę, że tak natychmiast nie będą się w stanie wymigać od podziękowań mieszkańców.

To co parę dni temu było brunatną, wypełnioną kurzem pustynią teraz zieleniało, ponownie budząc się do życia. Drzewa były obsypane liśćmi - różnorodne kwiaty kwitły nad brzegami wesoło płynących strumieni, zbocza pagórków jeszcze dość nieśmiało zmieniały barwę, na polach kiełkowały pierwsze kłosa.

W samej wiosce widać było ożywiony ruch, podobnie zresztą jak na polach. Zewsząd podniosły się radosne okrzyki, gdy wieśniacy zobaczyli zbliżającą się grupę. Każdy rzucał to co miał aktualnie robić i pędził na spotkanie dzieci, gnających z kolei na złamanie karku ku swoim, tak cudownie odzyskanym bliskim. Była masa łez i jeszcze więcej śmiechu.

Z tego ogólnego zamieszania wyłonił się szaman. Zbliżył się do Willie, Short Rounda i Indiany. Dotknął palcami czoła i skłonił się przed nimi. Cała trójka odkloniła się uprzejmie.

Szaman przemówił, kierując swoje słowa najwyraźniej tylko do Indiany.

- Wiedzieliśmy, że wracasz... Wskazał na otaczający ich krajobraz.
- ... od chwili, gdy życie powróciło do naszej wsi.
- Nigdy dotąd nie widziałam takiego cudu! - przerwała mu Willie.

Czarownik uśmiechnął się.

– Teraz widzisz moc i magię „skały”, którą przynieśliście - odparł łagodnie.

Indy wyjął z kieszeni kamień owinięty w szmatkę, którą otrzymał owej nocy od małego zbiega. Odwinął go i wręczył szamanowi ze słowami:

– Tak, widzieliśmy już jego moc i magię.

Hindus odebrał kamień z szacunkiem, skłonił się przed nim, potem wraz ze starszyzną wioski zbliżył się do kapliczki. Ukłąkł przed nią, złożył odzyskany skarb w zagłębieniu i monotonnym głosem zadeklamował:

– *Om sivaya namah om...*

Indy i Willie odeszli w stronę wioski.

– Mogłeś go zatrzymać! - powiedziała po chwili.

– Po co? Żeby go włożyli do muzeum, żeby kurzył się wśród setek innych?

– Mogło przynieść ci to poszukiwaną sławę i majątek.

Archeolog najpierw wzruszył ramionami, a potem uśmiechnął się.

– Nic straconego, do Delhi jest długa droga. Kto wie co jeszcze może się wydarzyć? - stwierdził z nadzieją w głosie.

Dziewczyna przyjrzała mu się uważnie. Z chorym trzeba postępować łagodnie, ale to było ponad jej nerwy.

– No nie! Tego już za wiele! Niech pan sobie zapamięta - żadnych więcej przygód, jak długo jesteśmy razem, doktorze Jones!

– Kochanie, po całej tej zabawie...

Podejrzliwie spojrziała na mówiącego, zastanawiając się, czy jej podejrzenia są słuszne. Zostali przy życiu, zresztą całkiem przez przypadek, a teraz to jeszcze nie wystarcza? Tego już było nadto! Willie eksplodowała:

– Jeśli wyobrażasz sobie, że po tym wszystkim w co mnie wpakowałeś, mam zamiar jechać z takim narwańcem jak ty do Delhi, to powinieneś zgłosić się do najbliższego psychiatry! Mam dość takich przygód, w

których chcą ci wyrwać serce, potem cię usmażyć, utopić, zastrzelić i zrzucić w przepaść! Mam dosyć i nigdy więcej... - przerwała i złapała za ramię przechodzącego obok wieśniaka.

– Przepraszam pana, potrzebuję przewodnika do Delhi. Naprawdę dobrze jeżdżę na słoniu! Czy mógłby pan...

Przerwał jej trzask bicia - rzemień delikatnie owinął się wokół jej nadgarstka i pociągnął w stronę stojącego nieruchomo Jonesa. Opierała się bez przekonania - nie można walczyć ze swoim losem. A jej przeznaczeniem był ten bezczelny typ - i to od momentu, gdy spotkali się w tym nieszczęsnym nocnym klubie.

Indy wziął ją w ramiona i ich oczy spotkały się ponownie. Przez chwilę nic się nie działo, a potem ich usta złączyły się w długim i gorącym pocałunku - takim jak ten upalny dzień.

To dziwne, że do tej pory nie lunął deszcz. Deszcz nic, ale kaskada wody spadła na nich. Oskoczyli od siebie i rozejrzeli się.

Parę metrów od nich uśmiechnięty od ucha do ucha Short Round siedział na młodym słoniatku, które właśnie opuszczało trąbę. Chłopak wybuchnął śmiechem. Indy i Willie wybuchnęli śmiechem. Młody słonik zaryczał radośnie.

– Bardzo zabawne! - wykrzyknął Chińczyk. - Bardzo śmieszny kawał!

Może w końcu udało im się szczęśliwie dotrzeć do Ameryki, ale to już zupełnie inna historia...